

**ANNIE**

**SOLOMON**

**Fotograf śmierci**

*Larry'emu,  
dzięki któremu dokonałam kolejnego cudu*

# Rozdział 1

Obserwował, jak wielka czarna limuzyna podjeżdża powoli do wejścia Centrum Sztuk Plastycznych Graya. Stał na skraju rozjuszzonego tłumu.

Reflektory przecinały noc jak noże. Flagi, wywieszane z okazji pierwszych urodzin muzeum, trzepotały na nocnym wietrze jak ptasie skrzydła. Ktoś zaintonował rytmiczny okrzyk:

- Przy-zwo-i-tość! Przy-zwo-i-tość! - Tłum ochoczo podchwycił gniewny ryk. Zaciśnięte pięści kołysały się do taktu. - Przy-zwo-i-tość!

Jeden z protestujących przedarł się przez kordon policji, podbiegł do limuzyny i natarł na przednią szybę z transparentem własnej roboty. Obserwator nie widział, co na nim napisano, ale domyślał się, czytając pozostałe: „Do domu, wariatko; nie - sztuce śmierci; Jezus naszym zbawcą”. Falanga policjantów oderwała demonstrującego od samochodu i zaciągnęła na bok.

On stał w samym środku zamieszania, między wozami transmisyjnymi i antenami satelitarnymi, wśród rozwścieczonego tłumu i podenerwowanych policjantów. Stał spokojnie, z rękami w kieszeniach-oko cyklonu.

Odetchnął głęboko, chłonąc chaos przez skórę. Tumult przenikał do jego żył, do krwiobiegu, dopływał do serca. Hałas, podniecenie, energia nocy napawały go zazdrością, nad którą z trudem panował.

To dla niej. To wszystko dla niej.  
Tłum napierał na kordon policji. Limuzyna zatrzymała się u podnóża muzealnych schodów. Stał w oddali, więc cztery osoby, które wysiadły z wozu, wydawały się malutkie jak lalki. Ale oczyma wyobraźni dokładnie je widział. Spowite w jedwab i brokat, we frakach za sześć tysięcy dolarów i w butach za trzy tysiące.  
I ona. Jej białe ciało, tak kruche i piękne, miękkie i uperfumowane.  
Rój dziennikarzy otoczył czwórkę pasażerów. Rój pulsował, ciągle zmieniał kształt, bo każdy walczył o lepsze miejsce.  
Zazdrość przeszła w urazę. To on powinien tam stać. To o nim powinni pisać w gazetach i mówić w telewizji. To jego nazwisko powinien skandować tłum.  
Ona jest oszustką. Kłamczucha.  
Za to on jest prawdziwy. Uczciwy.  
Ona tylko imituje śmierć.  
On ją tworzy.

## Rozdział 2

Uważaj, czego pragniesz.  
Gillian Gray nie mogła uwolnić się od tych ironicznych słów, kiedy limuzyna przedzierała się przez tłum protestujących.  
Demonstranci zbierali się w grupki, rozchodzili i gromadzili ponownie, niczym waż wijący się w

gniewie. Gillian zmrużyła oczy i kontury świata zatarły się. Wyobrazila sobie smoka. Godzillę. Monstrum z otchłani.

Maddie nachyliła się do niej.

- Żałujesz? -szepnęła.

Gillian poczuła zapach jej perfum. Mocne i korzenne. Venom albo Vengeance. Uśmiechnęła się.

- Jad albo zemsta.

- Chyba żartujesz.

Maddie odpowiedziała uśmiechem.

- Nie jesteś zbyt miła.

- I kto to mówi.

To Maddie namówiła Gillian do przyjazdu. Maddie, dziewczyna o podłużnej, posępnej twarzy i włosach Mortcii Addams, która jako asystentka Gillian odebrała telefoniczne zaproszenie z muzeum i przekazała swojej chlebodawczyni.

- To pierwsze urodziny muzeum - powiedziała wtedy. - Chcą wystawić prace miejscowego artysty.

Gillian była miejscowa do bólu. Co prawda nie urodziła się tu ani nawet nie wychowała, bo uczęszczała do szkoły z internatem, ale i tak była naznaczona. Napiętnowana, podobnie jak budynek, do którego się zbliżali. Gray. Gillian Gray. Córka zamordowanej córki. Artystka. Fotograf. Arystokratka. Demon.

Szczęściara Maddie pochodziła z innego, zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca. Z innego koszmaru. Z takiego, w którym brakuje nawet jedzenia. Nie ma tam sławy ani bogactwa. Maddie była szczęśliwa, że może chodzić z nimi do szkoły, że może się z nimi przyjaźnić. Jak długo Gillian ją znała? Dłużej, niż chciałaby pamiętać.

Gillian obserwowała przyjaciółkę kątem oka.

Maddie nalewała po kieliszeczku płynnej odwagi dla *les grands-pères*\*.

Pomocna Maddie. Szczupła, silna i wytrzymała jak drzewo chłostane wichurami.

Oczywiście, w pierwszej chwili Gillian odrzuciła zaproszenie. Wzruszyła tylko ramionami i weszła po drabinie na platformę umieszczoną trzy metry nad podłogą w jej brooklyńskim studiu, gdzie potężny aparat fotograficzny stał na statywie, wycelowany w scenografię przedstawiającą kuchnię. Zwyczajną podmiejską kuchnię. Ale w życiu nic nie jest zwyczajne, a już zwłaszcza kuchnia.

- Muzeum nosi twoje nazwisko - zauważyła wtedy Maddie.

- Nazwisko mojego dziadka - poprawiła Gillian.

- Fantastyczne nawiązanie. I dobra reklama.

- Nie potrzebuję reklamy.

To akurat była prawda. Jej nazwisko i twarz stały się sławne, gdy była małą dziewczynką, a jej prace jako artystki zawsze budziły kontrowersje.

Reklamy miała dość, nawet gdy jej nie potrzebowała. A nie potrzebowała. Z drugiej strony, jak miał ją znaleźć, jeśli nie wiedział, gdzie jest?

Maddie trzymała różową karteczkę między dwoma palcami. Kusiła nią jak diabeł grzesznika.

- Pomyśl tylko, wstrząśniesz ich światem.

Gillian spojrzała na przyjaciółkę. Usta Maddie drgnęły - nie był to

uśmiech, ale jego pierwsza zapowiedź. Gillian wyrwała jej karteczkę.

\* *les grands-pères* (fr.) - dziadkowie (przyp. tłum.)

„Wstrząśniesz ich światem”. Zrealizowała plan w stu procentach.

A to tylko przyjęcie, pokaz dla VIP-ów. Co będzie się działo w piątek na oficjalnym otwarciu wystawy?

Głuchy łomot Człowiek z transparentem rzucił się na w olno jadącą limuzynę. Siedząca naprzeciwko Gillian babka, Genevra, wciągnęła głośno powietrze i złapała się za gardło. Chociaż był już początek kwietnia, nadał nosiła srebrne norki, bardziej jako symbol zamożności niż dla ochrony przed chłodem, choć zawsze narzekała, że jej zimno. Za matę tłuszczu na patrycjuszowskich kościach. Z etoli wyłaniała się długa, chuda, poorana zmarszczkami szyja. Genevra z przerażeniem patrzyła na fragment transparentu ze słowem: „Obraza”, który przylgnął do szyby, by po chwili zniknąć wraz z demonstrantem odciągniętym przez policję.

- Wszystko w porządku - zapewnił ponuro dziadek Gillian. Uścisnął dłoń żony, zamykając ją w swojej wielkiej dłoni o starannie obciętych, zadbanych paznokciach.

- Oczywiście - wycedziła Genevra przez zaciśnięte usta. Udawała, jak zawsze.

Oczywiście, że wszystko jest w porządku.

Piękna z nich para. Gwiazdor uczelnianej drużyny futbolowej i jego królowa balu. Jako dziecko Gillian nie dziwiła się, że ich córka stała się ikoną piękna - a w każdym razie dla czytelniczek „Vogue'a”. Nie była nią dla własnych rodziców, ale to już zupełnie inna historia.

Gillian odwróciła się i przycisnęła czoło do szyby, jakby znowu miała siedem lat.

- Odsuń się od okna! - warknęła Genevra.

Gillian ją zignorowała. Wpatrywała się w

rozjuszony twarze. Czy on tam jest? Obserwuje ją? Czy po nią przyjdzie?

- Gillian! - Głos Genevry zakłócił ciszę limuzyny.

- Wypiłaś już, Genewo? Pozwól, że zabiorę kieliszek. Chyba nie chcesz poplamzić tych pięknych nerek ginem

- Dziękuję - mruknęła Genevra spokojnie, przesadnie uprzejmie.

- Vintage? - To jedno słowo wystarczyło, by Maddie wciągnęła Genevrę w rozmowę o futrach, fasonach i kolorach.

A Gillian mogła wpatrywać się w okno, w twarze. Czy go zobaczy? Mężczyznę, który zamordował jej piękną, sławną matkę? Czy jest tam i obserwuje? Uważaj, czego pragniesz.

## Rozdział 3

Ray Pearce przyglądał się uważnie wielkiemu zdjęciu na ścianie muzeum. Pochłaniał wzrokiem dziwne światło wpadające przez okno, które sprawiało, że najzwyklejsza na świecie kuchnia z zielono-różowymi zasłonkami w oknach i słojem na ciasteczka z Kubusiem Puchatkiem wydawała się złowroga, i to jeszcze zanim zauważyło się ciało na podłodze.

Bo na podłodze leżało ciało. Zwłoki dziewczyny, na plecach. Jej szkolny mundurek był w nieładzie, tornister spoczywał obok, jakby zaskoczona, nagle go upuściła. Ze środka wysunął się podręcznik do

matematyki i zeszyt w czarno-białej okładce. Dziewczyna o wielkich szklistych oczach i bladej twarzy wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w coś za plecami Raya. Zabójcę? Widza? Choć widział w życiu wiele zdjęć z miejsc zbrodni, to sprawiało, że niespokojnie przestępował z nogi na nogę, a nawet cofnął się o krok.

Nie osłabiało to wrażenia. Fotografia, szeroka prawie na dwa metry, wciągała widza, sprawiała, że nie mógł zignorować spódniczki w szkocką kratę, zadartej wysoko na uda, rozchylone i zakrwawione. Koszulka z herbem szkoły była rozpięta i potargana. Na nieskazitelnie białej bawełnie raziły trzy czerwone plamy. Krew rozlała się po materiale, zacierając ślady ran. Ledwie widoczny kontur sugerował dziewiczo biały staniczek.

Obok wyprostowanej ręki leżał zakrwawiony nóż. Palce wyciągały się do niego, jakby kusily, zapraszały. Podejść bliżej, zdawały się mówić. Zobacz. Ta dłoń, drobna, delikatna dłoń sprawiła, że poczuł się jak podglądacz.

- I co ty na to?

Głos Carlsona, jego szefa, właściciela Carleco Security, wyzwolił Raya spod mrocznego uroku fotografii.

- Chora wyobraźnia - mruknął Ray i zapamiętał sobie, by trzymać się od niej z daleka.

Carlson wzruszył ramionami.

- Naszym zadaniem jest dopilnować, żeby dalej taka była. Carlson wskazał głową hol muzeum, w którym mężczyźni w czarnych krawatach i kobiety w czarnych sukienkach sączyli szampana.

- Właśnie podjeżdżają.

Ray poszedł za Carlsonem do miejsca, gdzie zbierali się goście. Wśród kelnerów w czarnych



marynarkach, roznoszących na tacach przekąski i wino, stał wysoki, chudy mężczyzna w okularach w drucianych oprawkach, które odpowiadały kolorem szopie jego czarnych włosów.

- Wilson Davenport, dyrektor muzeum.

Ray skinął głową i podał mu rękę. Facet wydawał się sympatyczny.

Razem ruszyli w stronę wejścia. Tu, z dala od tłumu gości, ich kroki niesły się echem po marmurowych posadzkach. W pustym holu było zimno, jak wszędzie, gdzie zabraknie ludzi.

Ray poruszył niespokojnie głową. Dusił go kołnierzyk koszuli do fraka. Nigdy nie lubił takich ciuchów, ale niańczenie bogatych i sławnych wymaga wtopienia się w tłum. Po trzech latach tej pracy miał dość pieniędzy, by kupić wszystko, co do tego niezbędne. Skręcili za róg, minęli szklaną ścianę, za którą czekał nieczynny, wymarły muzealny sklepik z upominkami, minęli pustą o tej porze recepcję i zignorowali bramkę do wykrywania metalu na końcu długiego korytarza. Muzeum początkowo sprzeciwiało się instalowaniu bramki, ale Carlson się uparł.

Zważywszy na zamieszki na zewnątrz, Ray podejrzewał, że Davenport jest zadowolony, że ulegli.

Za wykrywaczem znajdowały się drzwi wejściowe do muzeum. Przez moment Ray wyobrażał sobie, że przez nie wychodzi, wsiada do samochodu i jedzie, jedzie, jedzie.

Wkrótce to zrobi. Spakuje manatki, zdejmie zestaw słuchawkowy i będzie wolny.

Jutro. Pojutrze. Kiedyś.

Skinął głową strażnikowi w mundurze, który pilnował wejścia. Goście honorowi byli tuż za progiem.

Silne lampy oświetlały wejście do muzeum, klasycystyczne kolumny i wysokie, eleganckie schody. U ich podnóża zatrzymała się czarna limuzyna. Ze środka wysiadły cztery osoby. Tłum w oddali nie dawał za wygraną. W powietrzu wystrzelały zaciś-niete pięści, brzydkie, powykrzywiane twarze powtarzały slogany, których Ray nie dosłyszał. Właściwie wcale nie dziwiło go ich oburzenie. Może dla Gillian Gray i jej podobnych te fotografie są sztuką, jednak jego zdaniem słusznie nazywano je obscenicznymi. Gdyby to od niego zależało, trafiłyby na stos. Na rozpalony, buzujący stos. Wszystkie. Na taką makabrę powinni patrzeć tylko jego dawni kumple z wydziału zabójstw.

Ale to nie jego sprawa. Nie zna się na sztuce. Jest tylko facetem, który będzie towarzyszył pannie Gray i jej bliskim podczas wernisażu, trzymając się na uboczu, patrząc, jak zajadają faszerowane grzyby i popijają szampanem, a potem dopilnuje, by bezpiecznie wsiedli do limuzyny i wrócili do posiadłości dziadka artystki.

Byle dalej stąd.

Słowa rozbrzmiewały, gdy patrzył, jak pasażerowie wysiadają z limuzyny. Pierwszy pojawił się stary patriarcha.

Choć stuknęła mu siedemdziesiątka, Charles „Chip” Gray nadal trzymał się prosto, jak na byłego sportowca przystało, chociaż lata przejażdżek po polach golfowych i posiłków w country dubach zaowocowały okrągłym brzuchem.

Czerwony na twarzy, naburmuszony, zasłaniał Rayowi Gillian i jej towarzyszkę. Żona Chipa, Genevra, trzymała męża pod rękę. Drugą dłoń otulała się srebrzystym futrem jak zbroją. Ray wiedział, kim są. Wiedziała to połowa mieszkańców

Nashville. Grayowie to miejscowa arystokracja, założyciele imperium ubezpieczeniowego, wartego grube miliardy. Budynek, do którego wchodzili, nosił ich nazwisko.

Centrum Sztuk Plastycznych Graya stanowiło ważny punkt na kulturalnej mapie miasta.

Społeczność artystyczna od lat domagała się muzeum z prawdziwego zdarzenia, o randze ogólnokrajowej. Dzięki milionom Graya budowa w końcu stała się możliwa i rok temu muzeum otwarło podwoje. A czy jest lepszy sposób na uczczenie pierwszej rocznicy niż wystawa jednej z miejscowych artystek?

Ray ukradkiem zerknął na gościa z muzeum. Jak on się nazywa? William? Nie, Wilson. Ciekawe, czy to on wpadł na pomysł zorganizowania wystawy Gillian Gray. Jeśli tak, pewnie teraz tego żałuje. Czwórka pasażerów nie zrobiła nawet pięciu kroków, kiedy tłum dziennikarzy zaatakował. Pismacy z brukowców, reporterzy telewizyjni i radiowi natarli na Grayów ze wszystkich stron, całkowicie ich zasłaniając.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Carlsona, by obaj z Rayem rzucili się na zewnątrz. Przepychali się przez tłum. Dziennikarze wykrzykiwali pytania, jeden przez drugiego:

- Czy ulegnie pani presji społecznej i wycofa się z wystawy?

- Co pani sądzi o reakcjach na jej prace?

Morze twarzy, głosów i mikrofonów otaczało małą grupkę zwartym kołem. Aparaty fotograficzne oślepiały ich blaskiem fleszy, reflektory kamer świeciły prosto w oczy.

- Proszę państwa, proszę nas przepuścić! - Chip Gray twardo przedzierał się przez tłum.

- Czy pani prace przyczyniają się do wzrostu

przestępczości?

- Czy pani sama ucieka się do przemocy?

- Nie odpowiadaj - poradziła wnuczce Genewa Gray. - Ani słowa. Idź, krok za krokiem.

- Myśli pani, że muzeum odwoła wystawę?

- Co pani wtedy zrobi?

Ray dopadł do nich pierwszy. Przeciągnął starszych państwa przez krąg dziennikarzy i przekazał Carsonowi, który dalej torował im drogę. Gdy przeszli, Ray po raz pierwszy zobaczył ich wnuczkę w towarzystwie wysokiej brunetki.

Gdyby miał zgadywać, która zajmuje się fotografią, obstawiłby ciemnowłosą. Z podłużnej wiedźmowatej twarzy wyglądał cynizm. Jej rysy cechowała pewna twardość i ostre kruche piękno, które sugerowało, że to raczej ona, a nie towarzyszka, ma dość odwagi, by na co dzień zajmować się śmiercią.

Ale to nie brunetka budziła zainteresowanie mediów. Wszystkie ofiary na fotografiach były sobowtórami drobniutkiej blondynki u jej boku. I to ona, drobny blond anioł, była adresatem pytań. To jej nazwi-

sko wykrzykiwali wzburzeni demonstranci.

Mimo wieczornego chłodu Gillian Gray nie miała na sobie płaszcza ani szala, nie kryła się za etołą.

Była w jasnofioletowej sukni, która spływała od szyi, w dół ramion, delikatnych jak ręce martwej dziewczynki na fotografii. W rzeczywistości Gillian była starsza niż na zdjęciu - to rozumiała, teraz nie udawała nastolatki.

A jednak nawet w jej dorosłej twarzy i ciele Ray wyczuwał tę samą delikatność co w martwym dziecku na zdjęciu. Miękkie włosy, upięte aa czubku głowy. Wielkie oczy. patrzące z elfiej twarzy z dziecięcą niewinnością.

Gdyby na to pozwolił, wchłonęłyby go tak samo. jak jej fotografie. Ale pilnował się.

Skupił się na kobiecie i otoczywszy ramionami ją i jej ciemnowłosą towarzyszkę, przepychał się do przodu. Dziennikarze nie dawali za wygraną.

- Znalazła pani zwłoki matki w kuchni. Czy to dlatego tak często fotografuje pani kuchnie?

- Ma pani obsesję na punkcie śmierci?

- Zabiła pani kiedyś?

- Idziemy. - Ray pociągnął je za sobą.

- Co powiedziałaaby pani zabójcy swojej matki, gdyby go złapano? Ray poczuł, jak Gillian sztywnieje.

- Nie teraz. - Mocniej zacisnął ręce. - Idziemy. Ale ona zatrzymała się gwałtownie. Odwróciła się.

- Co bym powiedziała?

Dziennikarze natychmiast się zbliżyli, niczym stado psów wyczuwające smakowity kąsek. Byli tuż przy Rayu. Odganiał ich, nie puszczając kobiet.

- Co powiedziałaaby pani mordercy matki? - powtórzył jeden z dziennikarzy.

Ray znieruchomiał, przygotowując się na ciężkie chwile. Lustrował wzrokiem tłum. Ostatnie, czego mu trzeba, to awantura, zanim jeszcze dotrą do muzeum.

Ale blondynka zdawała się tym nie przejmować. \_

- Co powiedziałaabym zabójcy matki? -

Uśmiechnęła się słodko do ściany twarzy. - Żeby po mnie przyszedł.

## Rozdział 4

Ray nie wierzył własnym uszom. Nie wymyśliłaby lepszej odpowiedzi, gdyby celowo chciała ich sprowokować. Kolejne pytania posypały się w takim tempie, że zlały się w jeden ogłuszający potok.

Gillian odwróciła się twarzą do wejścia, z gracją i wdziękiem. Nie wyglądała na bezradne biedactwo.

- Możemy iść - powiedziała i nie czekając na jego reakcję, sama zaczęła przeciskać się przez tłum, zostawiając za sobą morze okrzyków.

Zanim doszli do wejścia, Ray ociekał potem. Za to Gillian Gray wydawała się podekscytowana, ożywiona. Jakby stanęła przed trudnym wyzwaniem i mu sprostowała. Davenport czekał na nich przy drzwiach. Przywitała go przenikliwym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku? - Wziął ją za rękę. - Wilson Davenport, dyrektor muzeum.

- Acha. - W jej uśmiechu nie było wesołości. - Facet od pieniędzy. Will wprowadził ją do budynku.

- Bardzo mi przykro z powodu tego zamieszania.

- Nie przejmuj się, Will. - Chip ze smutkiem przyglądał się wnuczce. - Ona lubi być w oku cyklonu. - Zdjął płaszcz i podał go dyrektorowi muzeum. - Boże, co za hieny.

- Nie zwracaj na to uwagi. - Babka Gillian odwróciła się z kamienną miną i czekała, aż mąż pomoże jej się rozebrać. Pod futrem miała długą do ziemi, dopasowaną kremową suknię. Genevra Gray była koścista, jakby przez całe życie ciężko pracowała i mało jadła.

Ray czekał, aż wszyscy zdejmą wierzchnie okrycia. Potem zaprowadzi ich do części muzeum, w której odbywało się przyjęcie. Teraz, kiedy adrenalina

opadła, poczuł nocny chłód. I przyciąganie od strony drzwi prowadzących na zewnątrz, w dal. Chip podał Willowi futro żony i płaszcz Maddie, Dyrektor muzeum spojrział na Gillian.

- Nie mam płaszcza. - Uniosła ramiona, jakby nie widział najprostszyc rzeczy.

- To pewnie wpływ nowojorskich nocy. - Will się uśmiechnął. -

Rozgrzały pani krew.

- To nie kwestia krwi, Wilson, tylko serca. Mojego lodowatego serca. Ray spojrział na nią szybko, nagle zaintrygowany. Znowu go zaskoczyła.

Davenport zachichotał niepewnie, jakby nie do końca wierzył własnym uszom. Odchrząknął.

- Mówi mi Will.

- Dobrze... Will.

- No cóż... - Poruszył stertą płaszczy, jakby chciał w ten sposób dać znak, że czas iść dalej, i odszedł. Zapewne do szatni.

- Co za dzień - mruknął Chip w przestrzeń.

- Panie Gray. - Carlson wyciągnął rękę. - Jestem Ron Carlson z Carleco Security. Muzeum zatrudniło nas jako dodatkową ochronę.

Chip uścisnął mu dłoń.

- Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy. W środku mamy wszystko pod kontrolą. Strażnicy muzealni pilnują wejść, rozpozna ich pan po mundurach. Moi ludzie w cywilu krążą po sali. Jest też oczywiście bramka do wykrywania metalu. Obawiam się, że będziecie państwo musieli przez nią przejść jak pozostali

- Oczywiście - mruknął Chip. - To moja żona, Geneva. - Przeniósł wzrok na dwie młode kobiety.

- Moja wnuczka Gillian i jej asystentka, Madeleine Crane.

Carlson skinął im głową. Gillian wyciągnęła długą, szczupłą delikatną dłoń, tę samą, którą kusiła na zdjęciu. Widok jej palców, żywych, w ruchu, sprawił, że Raya niespodziewanie przeszedł dreszcz.

- Poznała już pani Raya - zagał Carlson.

Spojrzała na niego, szybko, ale intensywnie, jakby przeświałała go wzorkiem.

- Tak - odparła.

Will wrócił bez płaszczy. Genevra zagadnęła:

- Will, czy naprawdę nie da się nic zrobić z motłochem na zewnątrz?

Davenport się speszył.

- Jest tam policja. Niestety, nic więcej nie możemy zrobić. Mamy w końcu wolność słowa.

Genevra prychnęła.

Gillian nachyliła się Willowi do ucha.

- Moja babka nie jest fanką konstytucji.

- Słyszałam — warknęła starsza pani.

- Nic nie szkodzi. - Will przyklasnął w dłonie z uśmiechem, ale Ray widział, że nadal czuje się nieswojo. I nic dziwnego. Ta noc miała dla niego wielkie znaczenie. - Tu, w muzeum, nic wam nie grozi. - Puścił oko. — A szampan już się schłodził.

- Dał ręką znak, by za nim poszli. - Zapraszam.

Ruszyli. Ray szedł za nimi w pewnej odległości. Nie jest jednym z nich, jest tylko psem obronnym.

Grayowie nie zwracali na niego uwagi, ale ciemnowłosa kobieta celowo została w tyle.

- Cześć, przystojniaku. Będiesz za nami chodził cały wieczór? Zerkał na nią kątem oka, a potem wrócił do obserwowania Gillian

i pozostałych.

- Za to mi płacą. Wzięła go pod rękę.

- To dobrze. Podobają mi się elementy dekoracyjne. Wyswobodził się. Jeśli zrozumiała



aluzję, nie dała tego po sobie poznać.

- Crane, Madeleine Crane. Maddie.

- Miło mi, Maddie. - Zawodowa uprzejmość. Nie ma sensu anta- I gonizować klienta z byle powodu.

Poszedł za Gillian na przyjęcie. Davenport rozdał lampki szampana. Wieść rozeszła się szybko i po chwili Gillian otaczała spora grupa ludzi. Tym razem byli brzuchaci panowie z opalenizną z pola golfowego i ich I zasuszone żony, więc Ray był o wiele spokojniejszy. Stał z boku, cały czas mając na oku Gillian i jej wielbicieli.

- Drinka? - Maddie wzięła z tacy dwa kieliszki z szampanem i wyciągnęła do niego rękę. Dostrzegł to kątem oka, bo cały czas wpatrywał się w gwiazdę wieczoru.

- Nie, dzięki.

Wzruszyła ramionami, opróżniła jeden kieliszek i zabrała się do drugiego.

- Nazywasz się...?

- Ray.

- Przyjacielskie pogaduszki nie są w twoim stylu, co? Nie odpowiedział.

- I tak jesteś słodki. Wiesz o tym, prawda? W tym fraku, ze słuchawką w uchu, pewnie z bronią...

Zerknął na nią z ukosa. Śmiała się. Cóż, przynajmniej nie wyglądała, jakby miała się rozpaść na kawałki, ledwie się na nią dmuchnie, jak tamta. Nie, ona pewnie przetrzyma najgorszy huragan.

- Spokojnie, dziewczyno. Pracuję.

- Wiesz, co mówią? Pracuj, pracuj, aż ci garb wyrośnie. Nie odpowiedział w nadziei, że jego milczenie ją zniechęci. Posłała mu znaczące spojrzenie.

- Jeszcze zdążymy pogadać. - Na pożegnanie

musnęła go palcem po ramieniu i odeszła do Gillian.

Stała koło przyjaciółki. Była od niej o głowę wyższa i musiała się pochylić, by szepnąć jej coś na ucho. Gillian podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Raya i parsknęła śmiechem. Ani drgnął. Patrzył jej w oczy. Przyjdź po mnie, powiedziała. Nie kiedy on stoi na straży.

## Rozdział 5

Centralny punkt muzeum był nastrojowo oświetlony, wyłożony marmurem. Wysokie sklepienia sprawiały, że pomieszczenie wydawało się duże i lekkie zarazem. Marmurowe schody dodawały mu głębi i stylu. Kilka par drzwi prowadziło do sal wystawowych. Nad każdymi wisiała tabliczka identyfikująca darczyńców muzeum: „Ogród rzeźb Winstona Parkera, Skrzydło sztuki współczesnej Davida i Annette Milknan”. Wejście do sal ze sztuką współczesną wieńczył wielki transparent: „Przemoc i media. Jesteś tym, co widzisz”. Prezentowano tam dzieła pięciu artystów, w tym cykl *Martwa natura* Gillian Gray.

Gillian stała w sali wystawowej otoczona zwartym półkolem. Na ścianach wisiało dziewięć zdjęć jej autorstwa. Wszystkie przedstawiały ofiary gwałtownej śmierci w miejscach, które krytycy zgodne określali jako przerażająco banalne. Za jej

plecami straszyla Kuchnia na przedmieściu, choć stojące przy Gillian kobiety zdawały się tego w ogóle nie zauważać.

- Pani prace są... interesujące - oznajmiła dama w czerwonej satynie.

- Fascynujące - zgodziła się pani w złotej lamie. Kolory wieczorowych kreacji zmieniały jak w kalejdoskopie, zlewając w jedną barwną plamę. Uśmiechnęła się. Drażniła ich, prowokowała.

- Nieprzyjemne... ale i kuszące.

- Właśnie to miałam na myśli - zapewniła entuzjastycznie dama w szarościach.

Niezręczną ciszę przerwało pojawienie się kelnerki z tacą pełną kieliszków szampana. Podczas gdy goście ochoczo się częstowali, młoda kelnerka ukradkiem przysunęła się do Gillian.

- Nie wolno nam rozmawiać z gośćmi - szepnęła - ale mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu? - Brązowe włosy miała zebrane w koński ogon, tak ciasny, że skóra na czole napięła się jak po botoksie. Dwadzieścia parę lat - była rówieśniczką Gillian.

- Skąd - zapewniła Gillian, zadowolona, że rozmawia z kimś z krwi i kości.

- Jestem wielką fanką pani prac.

- Dziękuję. Czy pani również fotografuje?

Dziewczyna się zarumieniła i pokręciła przecząco głową.

- Jestem artystką dużo mniejszego formatu.

- Powodzenia. - Gillian się uśmiechnęła.

- Dziękuję. - Kelnerka podniosła tacę. - Odniosę puste kieliszki. - Odeszła, a Gillian zaczęła się rozglądać za drogą ucieczki.

Wieczorowe kreacje otaczały ją ze wszystkich stron. Lakier do włosów. Perfumy. I pytania, które słyszała już tysiące razy.

- Jakim cudem taka mała kobietka wymyśla tak straszne obrazy?

- W jaki sposób opracowuje pani szczegóły?

- Skąd biorą się pani pomysły? Rzucała te same odpowiedzi, jak ochłapy.

- Nie wiem, skąd się we mnie biorą.

- Zatrudniam pomocników.

- Nie wiem, skąd czerpię inspirację.

Było to, oczywiście, kłamstwo. Wiedziała doskonale, skąd biorą się jej mroczne pomysły. Zrodziły się w jej głowie, gdy miała siedem lat i znalazła zakrwawione, zmasakrowane ciało matki.

Rozejrzała się do-koła, ale nie dostrzegła jego twarzy. W tłumie przed muzeum nie słyszała jego głosu, lecz w głowie wolał ją zawsze.

"Piśniesz słówko, a z tobą zrobię to samo".

W jej wyobraźni był jak goryl. Wielki mroczny, groźny. Warczał gardłowo: „Choćby słówko”.

Wyrazy padały z jego ust jak żaby i węże w bajkach. Atakowały jej pamięć, tkwiły w niej, na zawsze wyolbrzymione i zniekształcone. „Ani słowa, bo wrócę i z tobą zrobię to samo”.

Nigdy nie widziała jego twarzy, nikonęła w mroku między potężnymi barkami. Ale jego ręce widziała dokładnie. Była drobna, a jego ręce były tak blisko. Umazane czerwienią Krwią

Rzucił na nią zaklęcie, okrutne, złe zaklęcie. Nie mogła mówić. Nie mogła uciekać. I wtedy, w ciszy i bezruchu, odepchnął ją. Upadła, poleciała jak Alicja, głęboko, głęboko w dół. A on odszedł, wielki i niezdarny.

Wspomnienie zawładnęło nią, zasnuwając mgłą muzeum i wernisaż. Poddała się mu. Odbyła podróż do końca.

W wyobraźni patrzyła, jak obcy wychodzi. Nagle była wolna. Wolna, by pobiec do domu. By zawołać

jedyną osobę, która zapewni jej spokój i bezpieczeństwo.

Mamo! Mamo!

Drzwi trzasnęły głośno, gdy wpadła do domu.

Mamo!

Serce dudniło jej w uszach przerażającym rytmem.

Dziwne, że mama leży na podłodze. Nie dziwne do śmiechu, tylko tak strasznie dziwne. Leży na plecach, na mokrej podłodze. Mokrej, ciemnej, czerwonej. Obok poniewiera się nóż. Mama ma otwarte oczy, ale nie widzi córeczki. Nie odwraca głowy, gdy Gillian ją szarpie. Śliczna sukienka w różowe kwiatki, z zielonym paskiem, jest zadarta aż do pasa. I nie ma majtek! Gillian bardzo się dziwi, widząc, co mama ma tam na dole. Opuszcza jej sukienkę. Teraz i ona ma czerwone ręce.

Nie przypominała sobie, by krzyczała, choć podobno właśnie tak było. Znaleźli ją na szosie, zakrwawioną i zapłakaną. Nie pamiętała tego, ale w którymś momencie podano jej środek uspokajający i czas przestał istnieć. Podobnie wspomnienia.

A teraz, dwadzieścia lat później, nadal wierzy, że i ona umrze na podłodze. Bez sensu, przypadkowo. Przedwcześnie.

Zostać w świetle reflektorów. Jak inaczej wywabi drania z kryjówki?

Jej nadzieja. Jej koszmar.

Niech po mnie przyjdzie.

Dokoła niej kręcili się ludzie, ale ich głosy były mniej rzeczywiste niż to, co słyszała we wspomnieniach. Oddychała za szybko, za płytko.

Zacisnęła dłoń na uchwycie torebki, którą Genevra wepchnęła jej tuż przed wyjściem, czując, jak wpija jej się w skórę, i nagle się uspokoiła. Wróciła

do terazniejszości, do muzeum, na wernisaż. Czuła na sobie czyjś wzrok. Spojrzała ponad głowami gości na ochroniarza, który obserwował ją od samego początku. Maddie go sprawdziła i szepnęła, że jest porządny, odpowiedzialny i nie daje się zbić z tropu. Dla Gillian był po prostu psem obronnym.

Powinna być mu wdzięczna.

Ale skoro jej pilnuje, jak do niej dotrze?

Wymknęła się z kręgu, ale zrobiła zaledwie kilka kroków, gdy usłyszała okrzyk, a potem mrozący krew w żyłach wrzask. Odwróciła się. Ktoś biegł w jej stronę.

- Chcesz krwi? - rozległ się wrzask. - To masz! Znieruchomiała, gdy miała kelnerka czymś w nią rzuciła.

Zanim pocisk dotarł do celu, ktoś odepchnął Gillian na bok. Rzucił ją na ziemię i przykrył własnym ciałem. Uderzyła głową w zimną marmurową posadzkę i poczuła, jak oblewa ją coś mokrego i zimnego. Krew. O Boże, cała jest we krwi.

## Rozdział 6

Chwila zdumionej ciszy, a potem krzyki i wrzaski niosły się rykoszetem dokoła niej.

Kiedy odzyskała zdolność koncentracji, zobaczyła, że ochroniarz -Ray, czy jak mu tam - nakrywa ją sobą. Wyciągnęła ręce przed siebie. Torebka Genevry leżała kilka metrów dalej.

- Co się stało? - Usiłowała zepchnąć go z siebie i wstać. - Nie ruszaj się.

- Tu jest krew! - Przed oczyma stanęło jej inne ciało, inna krew. - Tu wszędzie jest krew! - Próbowała się wyswobodzić, ale był bardzo silny. To nie krew, tylko głupi kawał. Spokojnie. Gillian miała wrażenie, że zaraz pękną jej płuca. Ray jest potężny, na oko ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, co oznacza, że jest o dobre trzydzieści centymetrów wyższy od niej. I o wiele cięższy. Traciła oddech pod jego ciężarem. Ponownie spróbowała go odepchnąć.

- Nie mogę oddychać. Zignorował ją.

- Nie ruszaj się. - Rozglądał się nerwowo. Ktoś biegł w ich stronę. - Cofnąć się! - Sięgnął za marynarkę, wyjął pistolet, wycelował. Kolejne krzyki. Ludzie się rozbiegli. Ktoś upuścił kieliszek, który roztrzaskał się na marmurze posadzki. Otoczyły ją stopy w lśniących butach, wystające spod spodni z lampasami, pojawiło się więcej ochroniarzy.

Krzyk. Ludzie pokazują sobie coś palcami. Między nogami w czarnych spodniach Gillian dostrzega kelnerkę, biegnącą przez salę. Goni ją dwóch ochroniarzy. Tłum gości spowalnia pościg, dziewczyna się wymyka. Już niemal udało jej się wybiec z sali. Ochroniarze rozpychają się, bezceremonialnie rozganiając ludzi na boki. Jeden z nich rzuca się i łapie kelnerkę.

Dziewczyna pada na ziemię jak długa. Po dwóch sekundach ręce ma już skrępowane plastikowymi kajdankami. Ochroniarz pomaga jej wstać. - Trucizna! - wrzeszczy do Gillian. - Zatrujesz nas!

- Zamknij się! - Ochroniarz ją szarpie.

Zaledwie kilka minut wcześniej była nieśmiała i

uprzejma. Teraz jej twarz wykrzywia grymas wściekłości.

- Świnia! Pieprzona bogata świnia! - Obelgi cichły w miarę, jak oddalała się korytarzem, ale wszyscy słyszeli jej okrzyki: - Przy-zwo--i-tość!

Dopiero gdy okrzyki umilkły całkowicie, Ray stoczył się z Gillian. Wstał, podał jej rękę i pomógł się podnieść.

- Nic ci nie jest?

Ponuro pokręciła głową otoczona wianuszkiem mężczyzn. U ich stóp leżała plastikowa torebka po nie wiadomo czym. Większość płynu - farby, krwi, barwionej wody? - trafiła w Raya. O Boże.

Przełknęła ślinę. Jego klatka piersiowa i szyja spływały czerwienią.

- Niedawno... niedawno ze mną rozmawiała - zaczęła Gillian, ciągle w szoku. Miała już do czynienia z gwałtownymi protestami, ale nigdy dotąd nie doszło do rękoczynów. - Podziwiała moje prace.

- Czyżby? - Pot spływał mu po twarzy. Chyba jej nie słuchał. Uważnie przeczesywał wzrokiem tłum i jednocześnie wyprowadzał z sali, w asyście pozostałych ochroniarzy. Ale nie, jednak usłyszał. - Kilka godzin przed tym, jak go zastrzelił, Mark Chapman prosił Johna Lennona o autograf. Stłumiła dreszcz. Krzyki i wrzaski ustąpiły miejsca szeptom. Między kordonem ochroniarzy dostrzegła szepczące usta, ciekawskie oczy, wpatrzone ze strachem w mężczyzn u jej boku i broń w ich dłoniach. Goście ukradkiem rozglądali się po sali, nie wiedząc, czy powinni wyjść, czy nie. Ray oparł ją o ścianę, tuż za rogiem, z dala od ludzkich oczu. Osłaniał ją całym ciałem, wymownie zaciskając dłoń na pistolecie. Pozostali otaczali ich ciasnym pierścieniem.



- Co widzisz, Landowe? - zapytał. Jeden z mężczyzn odpowiedział szybko:

- Nic.

Gillian zdawało się, że Ray przemówił w przestrzeń, jednak po chwili okazało się, że ma bezprzewodowy mikrofon:

- Carlson, co się dzieje? Wszyscy cali? Tak, z nią wszystko w porządku.

Jeden z trzech towarzyszących im ochroniarzy nakreślił palcem kółko w powietrzu na znak, że sytuacja jest pod kontrolą. Dopiero wtedy mężczyźni schowali broń i wyraźnie się odprężyli.

- Masz ją? - zapytał ten, którego Ray nazwał Landowe. Ray potwierdził.

Ochroniarze się rozstąpili i wróciła na salę. Pod ścianą z jej foto-grafiami zebrał się tłum, więc nie widziała swoich prac. Na jej widok zebrani rozstępowali się jak Morze Czerwone. Dostrzegła Davenporta, jeszcze bledszego niż przedtem.

- Tak mi przykro - mruknął, gdy się do niego zbliżyła.

Teraz doskonale widziała Kuchnię na przedmieściu. Ze zdjęcia i ściany spływały czerwone smugi.

- Zdejmujemy je i oczyścimy - zaproponował Will.

Gillian szacowała zniszczenia

Sztuczna krew na fotografii przedstawiającej sztuczną śmierć... Co za doskonałe dopełnienie!

- Nie, zostawimy to tak, jak jest. Niech plamy staną się częścią dzieła.

Will otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zanim zdążył coś powiedzieć, z tłumy wypadła Maddie.

- Gillian! - sapnęła. - O Boże. - Objęła przyjaciółkę ramieniem i przyciągnęła do siebie. - Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro.

Ray zrobił krok do tyłu, zostawiając je same.

- Niepotrzebnie. - Gillian się wyprostowała. - Takie

jest moje życie. Nic mi nie jest. - Stała wyprostowana, sztywna, a jednak wcześniej, gdy ją obejmował, czuł, że drży. Oddychała ciężko, z trudem. I nie wyzwoliła się z krzepiących objęć Maddie.

Podbiegł Carison.

- Nic jej nie jest? Ray zapewnił, że nie.

- Ale to gówno... - Wskazał zniszczoną fotografię i sztuczną krew, spływającą makabrycznym strumykiem.

- To kobieta od Dobiego. - Matthew Dobe przewodził demonstrantom na zewnątrz.

Przewodniczący założonej przez siebie organizacji Obywatele na Rzecz Wartości Amerykańskich przybył ze swoimi zwolennikami do Nashville i przy wsparciu lokalnych wspólnot kościelnych ściągnął przed muzeum tłumy. - Trzymamy ją w pokoju na górze, dopóki nie przyjadą twoi kumple z policji.

Ray z trudem opanował wściekłość.

- Jak się tu dostała? Carison wydawał się poruszony.

- Z kelnerami.

- Chyba żartujesz. - Ray pokręcił głową i odwrócił wzrok. - Takie są skutki pozwalania, by klient sam dobierał personel.

Zawołowana krytyka sprawiła, że w oczach Carlsona błysnęła złość.

- Podoba ci się twój nowy pikap?

- Co to, do cholery, ma...

- Ray, nie pracujemy za darmo. Ba, jesteśmy drodzy. Muzeum bardzo starannie dobrało personel.

Ray nie odpowiedział. W tej branży, podobnie jak we wszystkich innych, pieniądze są najważniejsze.

- Muszę lecieć - powiedział Carlson. - Policjanci przytrzymają gości do przyjazdu dochodzeniówki.  
- Spojrzał na Gillian. - Nie spuszczaaj z niej oka.  
Carlson wyszedł i Ray wrócił do obserwowania Gillian, Otoczona ramieniem Maddie, nadal stała przed zakrwawioną fotografią. Co za ironia losu. Podeszła do niego kobieta w błyszczącej sukience.  
- Przepraszam bardzo, ale to chyba należy do panny Gray. - Podała mu malutką torebkę. Wziął ją.  
- Dziękuję, przekażę jej.  
Spojrzał na kobiety drobiazg, niewiele większy niż jego dłoń. Reakcja pojawiła się nieoczekiwanie. Zaczęły się dreszcze. To tylko adrenalina, powiedział sobie. I choć wiedział, że to nie potrwa długo, niecodzienne wrażenie wkrótce minie, uświadomił sobie, jak cienka jest granica między niebezpieczeństwem a normalnością.

## Rozdział 7

Powinnyśmy iść - stwierdziła Maddie. Widywała już Gillian w podobnym stanie - przerażoną, choć za żadne skarby świata nie przyznałaby się do tego. Od tego czasu minęło jednak dwanaście lat. Były piętnastolatkami i dzieliły pokój w szkole Hadley. Gillian była wtedy do tego stopnia zamknięta w sobie, że jedyne, co otwierała, to swoją skórę i rany. Maddie nie sądziła, by cokolwiek mogło ponownie doprowadzić

Gillian do tego stanu, ale widząc zakrwawioną suknię i błysk przerażenia w jej oczach, nie tego była już taka tego pewna. Dotknęła łokcia przyjaciółki, delikatnie odciągając ją z dala od gapiów. Gillian się odsunęła.

- Daj mi jeszcze chwilę.

Ale Maddie zbyt dobrze ją znała. Ile razy w szkole widziała, jak Gillian ucieka w mrok króliczej nory we własnej głowie? Ile razy wyciągała ją z ruchomych piasków? Zresztą Maddie też nie zawsze grała fair j wobec Gillian. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia i mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Nie.

Za późno. Gillian się wymknęła, zostawiając Maddie samą pośród tłumu gości.

- Wszystko w porządku?

Jej ochroniarz i cień, Ray, bacznie ją obserwował, gdy przebiegła przez hol i skryła się w pustym kącie.

Poprawiła sukienkę, ignorując krople sztucznej krwi.

- Oczywiście. Nie ma to jak mała napaść, żeby podkreślić atmosferę.

- Jeśli pani sobie życzy, któryś z moich ludzi przyniesie szklankę wody...

- Dziękuję, nie - odparła, odrobinę za głośno, zbyt kategorycznie.

- Oczywiście. I pewnie mogłaby pani nawet skoczyć z dachu wieżowca.

Zmierzyła go szybkim spojrzeniem. Jak śmie patrzeć przez nią na wylot? Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zobaczyła Genevre. Jęknęła w duchu.

- Czas na nas - oznajmiła babka. Jej oczy błyszczały determinacją, co oznaczało, że nie ma

miejsca na dyskusję. Gillian zachciało się płakać. Ray ocalił ją po raz kolejny.

- Bardzo mi przykro, ale nikt nie może opuścić budynku - oznajmił uprzejmie, acz stanowczo. - Policjanci muszą wszystkich przesłuchać.

- Wszystkich? - Niespodziewanie, w tym jednym słowie Genevra udało się zawrzeć troskę i pogardę. - Niby na jaki temat? Wszyscy wi-  
dzieliśmy...

Dołączyli do nich Chip Gray i Will Davenport, przerywając jej w pół zdania.

- W porządku, Gillian? - Chip trzema wielkimi krokami pokonał przestrzeń dzielącą go od wnuczki. - Może coś ci przynieść?

- Dziękuję, nie. I nic mi nie jest. - Ostatnie zdanie, ćwiczone od lat, wypowiedziała niemal machinalnie. Co innego miała powiedzieć? Że ona, która ochoczo oblewa się sztuczną krwią, by potem się fotografować, zmieniła się w szlochający strzępek nerwów tylko dlatego, że zrobił to ktoś inny? Wyprze się tego. Stawi czoło każdemu, kto jej to zarzuci.

Przy zdjęciach sama sprawuje kontrolę, sama decyduje, kiedy i ile. To jej wybór, zawsze jej wybór. I pewnie właśnie w tym rzecz.

- Jeśli chce pani usiąść - zaproponował Davenport - możemy przejść do mojego gabinetu.

- Jak to się stało, do cholery? - Chip zaatakował Raya. - Jakim cudem ta wariatka się tu dostała?

- Nie rób sceny - zwróciła mu uwagę Genevra. - Policja się tym zajmie. Idziemy. - Odwróciła się, ale nikt za nią nie poszedł.

- Mój gabinet jest na piętrze - Will ponowił propozycję.

- Czekam na odpowiedź. - Chip nie ustępował.

- Może najpierw mu podziękujesz? - mruknęła Gillian.

- Proszę porozmawiać z Carlsonem - odparł Ray spokojnie. Zaimponował tym Gillian. Niełatwo zachować zimną krew, gdy Chip Gray robi, co w jego mocy, byś ją stracił. - On tu rządzi i on wszystko wyjaśni. - Ray posłał Willowi groźne spojrzenie, ale ten go nie zauważył.

- Zrobię to, może pan być tego pewien - burknął Chip.

- Panno Gray? - Do Gillian podbiegł niski mężczyzna we fraku z niebieskiego aksamitu. Idealnie okrągła łysa głowa przypominała melon, a siwe wąsy przywodziły na myśl Herkulesa Poirot. Chociaż facet miał w sobie więcej z Pierrota niż z Poirota. - Benton James z „Przeglądu Tennessee”. Bardzo mi przykro z powodu tego... incydentu. - Uśmiechnął się. Wcale nie wyglądał, jakby mu było przykro. - Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

- Rany boskie, Benton, daj jej spokój - oburzył się Will Davenport.

- Może rzeczywiście poczekamy gdzie indziej - zaproponował spokojnie Ray.

Kątem oka Gillian dostrzegła Maddie, biegnącą w jej stronę. Wyciągnęła rękę do dziennikarza.

- Bardzo mi miło. - Minęła go z uśmiechem. Ray deptał jej po piętach.

Maddie zagroziła Bentonowi drogę, tak że nie mógł iść za nimi.

- Panna Gray wyda później oświadczenie - stwierdziła. Odpowiedź dziennikarza zginęła w zwiększającej się odległości między nimi.

Gillian zerknęła na Raya. W całym zamieszaniu nie zdążyła mu się uważnie przyjrzeć i teraz miała na to ochotę. Co to za facet, który ryzykuje życiem dla obcych?

Mężczyźni, których znała, nie ryzykowali dla niczego, a już na pewno nie dla niej. Właśnie dlatego z ostatnim draniem rozstała się już pół roku temu.

Ale ten tutaj... Ray. Bardziej blondyn niż szatyn, o szerokiej twarzy, jakby żywcem wyjętej z powieści o dorastaniu na farmie. Twarzy, która aż się prosi o piegi, ale ich nie ma. Przy nieodpowiednim odżywianiu i siedzącym trybie życie taka twarz może się roztyć i zapaść w kark, alei jemu to nie grozi, przynajmniej nie teraz. Na razie ma ostry podbródek, krótko przystrzyżone włosy i czujne piwne oczy.

- Jeszcze ci nie podziękowałam - zaczęła.

Skinął głową.

- Cieszę się, że to nie było nic poważniejszego.

Skinęła dłonią w stronę jego poplamionej koszuli.

- Prześlij mi rachunek z pralni.

- Nie ma sprawy, Carlson się tym zajmie. Nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie dużych mężczyzn. Są

jak drzewa, wielcy i prości, i nie sposób zobaczyć, co się za nimi kryje.

Ale przy Rayu było inaczej. Nawet umazany krwią był bezpośredni, spokojny, skupiony. Jego profesjonalizm stanowił dla jej oparcie. Nie umiała sobie poradzić z własnymi emocjami, a co dopiero z cudzymi.

Wyszli z części muzeum, w której odbywał się wernisaż, zbliżali się do głównego wejścia. Za ich plecami rozległy się kroki. Ray się odwrócił, zasłonił ją sobą, ale okazało się, że to tylko jej dziadkowie.

- Samochód czeka? - zapytała bezceremonialnie Genevra, jakby Ray zatrzymał się, żeby z nią porozmawiać.

- Zawiadomię szofera, kiedy policja państwa wypuści - odparł.  
- Wolałabym teraz - upierała się Genevra. - Skontaktujemy się z policją rano.  
- Mogą państwo spróbować uciec - mruknął Ray z rozbawieniem w głosie. - Ale nie sądzę, by wam się udało. - Wskazał coś za swymi plecami. Za bramką do wykrywania metalu stał policjant w granatowym mundurze policji miejskiej.

Genevra się zachwiała. Złapała Chipa za ramię.

- Genevra! - Pomógł jej ustać na nogach.  
- Ejże. - Ray wziął kobietę pod rękę. - Proszę usiąść. - Podprowadził ją do ławki pod ścianą. Wachlowała się energicznie.  
- Nic mi nie jest - zapewniła, choć twarz miała bladą i ściągniętą, - Nie wygłupiaj się! - odepchnęła Chipa, który krzątał się koło niej.

Od windy dzieliło ich tylko kilka kroków. Gillian wcisnęła guzik i spojrzała na dziadków.

- Wiecie, gdzie jest gabinet Willa?  
- Bardzo dobrze. W końcu to tam wydusił ze mnie dziesięć milionów dolarów.  
- Zabierz tam babcię. Jeśli policjanci zechcą z wami rozmawiać, powiem, gdzie jesteście.

Chip się wahał, ale Ray poparł Gillian:

- To dobre rozwiązanie, sir.

Drzwi windy się otworzyły i Gillian wprowadziła dziadków do środka. Razem z Rayem zawieźli ich na trzecie piętro i usadzili w gabinecie Willa.

- Poczekajcie tutaj - poprosiła i odwróciła się do wyjścia.

- Nie zostajesz z nami? - zdziwiła się Genevra. W jej lodowatym tonie Gillian usłyszała troskę. Niedbałym gestem wskazała drzwi.



- Nie, wracam na dół. - Nie patrzyła babce w oczy i Genevra wyczuła, że coś jest nie tak.

- Nieprawda. Dokąd idziesz?

- Powiedziałam ci...

- Nie okłamuj mnie.

Gillian czuła, że się czerwieni, ale zignorowała to.

W końcu zrobiła to, czego chciała babka.

Powiedziała prawdę, po prostu:

- Idę do tej kobiety.

- Słucham? — Ray spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Do tej kobiety. Kelnerki. Chcę z nią porozmawiać.

- Chyba żartujesz - zachnęła się Genewa.

- Dobry Boże, Gillian - sapnął Chip. - Po co? Nie ma sensu rozmawiać z fanatykami.

W rogu pokoju stał przenośny barek. Gillian nalała do kubka trochę wody i podała babce.

- Nic mi nie będzie.

- Gillian...

- Nic mi nie będzie.

Wymknęła się z gabinetu, zanim zdążyli powiedzieć coś jeszcze. I tak nigdy nie zrozumieją, a już nie miała siły tłumaczyć.

## Rozdział 8

Cień szedł za nią. Przyłapał ją, jak oparta plecami o ścianę usiłuje się pozbierać.

- Co się stało pani babce?

- Poza tym, że skończyła siedemdziesiąt pięć lat? -  
W myślach udzieliła prawdziwej odpowiedzi:  
straciła córkę, a wnuczkę właśnie zaatakowano.  
Widok mundurów przywołał wspomnienia, wiele  
złych wspomnień. Każdemu zrobiłoby się słabo. -  
Nie znosi zjazdów rodzinnych. - Oderwała się od  
ściany. Szła w stronę wind.

- Którędy? - zapytała Raya.

- Chyba nie chce pani naprawdę... Nie  
odpowiedziała.

- To zły pomysł.

- Na tym piętrze? - Wcisnęła guzik. - Czy na  
parterze? Ray był zły. Pokręcił głową.

- Carlson powiedział, że do przyjazdu policji  
zatrzymają ją w jednym z pomieszczeń biurowych.

- O ile pamiętam, na pierwszym piętrze są sale  
wykładowe i wystawowe. Czyli zostaje to piętro  
albo piętro niżej. Albo piwnica. Więc gdzie?

Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

- Dlaczego to robisz?

Czuła na sobie jego wzrok. Kolejny człowiek, który  
oczekuje od niej wyjaśnień. Kolejny, który nie  
zrozumie jej przejmującej potrzeby, by spojrzeć w  
twarz przemocy.

- Bo muszę.

- Szukasz kary?

- Od urodzenia.

- A jeśli ci nie powiem, gdzie jest, zajrzesz do  
każdego pomieszczenia na każdym piętrze?

- Pewnie tak.

Z westchnieniem dotknął słuchawki.

- Idę do was z panną Gray. - Słuchał przez chwilę,  
nie spuszczając z niej oczu. - Nie, to nie był mój  
pomysł. - Skinął głową w kierunku wind. - Piętro  
niżej - powiedział do niej. Zanim wpuścił ją do

windy, dokładnie sprawdził wnętrze.

Przeszli przez skrzydłowe drzwi, które otwierały się od środka. Ściany nikły za półkami, a większość powierzchni zajmowały stoły robocze. Na półkach stały puszki z farbami, pianką, drewnem. Sala projektowa. To tutaj rodzą się eksponaty. Ktoś poprzesuwał stoły, tak że na środku pomieszczenia powstała wolna przestrzeń.

Kelnerka siedziała na krześle, z rękami przykutymi do kostek. Nie mogła się wyprostować, więc siedziała zgarbiona, ze spuszczoną głową.

- Nie mogliśmy jej uciszyć - wyjaśnił pilnujący jej ochroniarz. - Ciągłe wrzeszczała o przyzwoitości.

- Na Boga, dajcie jej usiąść normalnie - zachnęła się Gillian. Ray skinął głową i strażnik zmienił pozycję kelnerki, na wszelki

wypadek przykuwając jej ręce do oparcia krzesła.

Wyprostowała się powoli. Miała zaczerwienione oczy i twarz zalaną łzami. Posłała Gillian gniewne spojrzenie.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Gillian ogarnął dziwny spokój. Nie on. Nie dzisiaj. Nie teraz.

Poczucie ulgi przyprawiła ją o zawroty głowy.

Oczywiście, że to nie on. Przecież to kobieta. Nie wielkoręki potwór, tylko drobna kobieta, spętana kajdankami i gniewem.

I kto to mówi?

Gillian zapytała cicho:

- Jak się nazywasz?

Kobieta podniosła na nią ponury wzrok.

- Ruth.

Ruth, nie podoba mi się, że trzymali cię w takiej niewygodnej, bolesnej pozycji.

- No i co z tego? Co cię to obchodzi? Gillian wzruszyła ramionami.

- Gdy siedziałaś w tej pozycji, nie mogłam z tobą rozmawiać.

- O czym? Mylisz się, jeśli liczysz, że cię przeproszę. Twoje prace są obrzydliwe. Krew, przemoc... to chore. Jesteś chora. - Kolejne gniewne spojrzenie. - Nie masz prawa. Gillian słyszała podobne oskarżenia już wiele razy wcześniej, ale w twarzy Ruth dostrzegła coś jeszcze.

- Nie mam prawa do czego?

- Nie masz prawa... - Oczy kobiety wezbrały łzami.

- Odwróciła wzrok. - Nie masz prawa na tym zarabiać. Sprzedawać. Wsławiać się.

Gillian nie zawracała sobie głowy tłumaczeniem, że pieniądze odziedziczyła po zamordowanej matce.

Ani że jej sława przybrała szalone rozmiary właśnie ze względu na to zabójstwo. Ani że wykorzystywała ją jako przynętę, by wywabić z ukrycia monstrum, które dało jej rozgłos i pieniądze.

W milczeniu przyglądała się związanej kobiecie.

Krzesło, kajdanki na rękach, aura zrezygnowania.

Automatycznie wykadrowała ujęcie, oświetliła i zatytułowała: Ofiara. Opowiadała o swoich pracach setkom ludzi. Codziennie otrzymywała teiny maili.

Często okazywało się, że jej najbardziej zagorzali przeciwnicy skrywają własne rany. Zaryzykowała.

- Co się stało?

Ruth nie odpowiedziała.

- Co ci zrobili, Ruth?

Kobieta energicznie pokręciła głową.

- Nie mnie - odparła w końcu przez ściśnięte gardło.

- Ale komuś, kogo kochasz...

- Mojej siostrze. To zdjęcie... - Odwróciła się gwałtownie. Gillian z trudem przełknęła ślinę,

widząc jej rozpacz.

- Bardzo mi przykro. - Przykryła skutą dłoń Ruth swoją. - Mam nadzieję, że go złapali.

- Szczęnie w więzieniu.

- To dobrze. Jesteś bezpieczna. - Pasma włosów, które wysunęły się Ruth z kucyka podczas wcześniejszego zamieszania, opadały jej teraz niesfornie na twarz. Gillian odgarnęła je delikatnie. Kobieta wzdrygnęła się pod jej dotykiem.

- Zapamiętaj to sobie, Ruth. Masz szczęście. Jesteś bezpieczna.

- Nikt nie jest bezpieczny - stwierdziła z goryczą kelnerka. Trudno się z tym nie zgodzić.

Jeszcze przez chwilę patrzyła Ruth w oczy, a potem odwróciła się i wyszła.

Ray i strażnik wymienili spojrzenia, które wyraźnie mówiły, że powątpiewają w poczytalność obu kobiet.

Ray bez słowa poszedł za Gillian do windy. Dziwne to jej szaleństwo. Trzeba mieć nie lada odwagę, by spojrzeć w twarz osobie, która cię napadła, i w dodatku zrobić to bez goryczy.

Wcisnął guzik.

- Czemu taka byłaś?

- Jaka?

- Miła dla niej.

Musiał przyznać, że nie podejrzewał autorki fotografii przepełnionych tak realistyczną przemocą o ciepłe uczucia.

- Miła? - Zbyła go wzruszeniem ramion i rozbawionym uśmiechem. - Nie miła, tylko po prostu przyzwoita.

Ostatnie słowo zawisło między nimi jak kpina z wrzasków, które nadal rozbrzmiewały pod oknami. Wsiedli do windy. Ray wcisnął odpowiedni guzik.

Nagle zapytała: -

- Widziałeś kiedyś zwłoki?

Skoncentrował się na niej. Co ona opowiada?

Zachowuje się, jakby sama do ostatniej chwili nie wiedziała, co zaraz powie.

- Pracowałem w policji. Widziałem co nieco.

- Są inne niż w telewizji, prawda? Potwierdził skinieniem głowy.

- Tak przywykliśmy do wypieszczonej, higienicznej przemocy, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, że nie jest rzeczywista.

Od razu zrozumiał.

- W przeciwieństwie do twoich fotografii.

- Moje zdjęcia są tak realistyczne, jak to tylko możliwe bez autentycznego zabijania ofiary, czyli mnie. - Roześmiała się. - Chociaż nie myśl sobie, że tego też nie próbowałam, - Posłał jej szybkie, zaskoczone spojrzenie, ale zignorowała je. - Myślę że to ważne, by zobaczyć prawdę.

Nie wiedzieć czemu przed oczami stanęła mu twarz matki. Ray nie pamiętał, kiedy ostatnio myślał o Sherry Pearce. Widział ją dokładnie, jak wyniszczona i chuda siedzi skulona przy telefonie, czekając i wierząc, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Zaciąga się papierosem Virginia Slim, grzechocze lodem w szklance. Przez całe życie czekała, aż zadzwoni telefon, aż wróci ten drań, jej mąż. I na nic zdały się wysiłki Raya, by dała sobie spokój.

- Nie każdy ma dość siły, by udźwignąć prawdę - powiedział dość głośno.

Po to jest gin, tłumaczyła mu zawsze Sherry.

Drzwi windy się otworzyły i ujrzeli barczystego mężczyznę. Gillian chciała wysiąść, ale mężczyzna blokował jej drogę. Na widok dwójki pasażerów rozciągnął usta w uśmiechu.

- Coś takiego. Proszę, proszę. Cześć, Ray. Ray

znieruchomiał i spojrzał w oczy człowieka, który był kiedyś jego mentorem i przyjacielem. Miał już serdecznie dość tego wieczoru.

- Cześć, Burke. - Skinął sztywno głową i wyprowadził Gillian z windy.

Burke spojrzał na krew na jego koszuli. Pobiegnął wzorkiem do Gillian, a potem wrócił do Raya.

- Nie przypuszczałem, że odgrywanie niańki to taki ciężki kawałek chleba.

- Towar jest na górze. Zapakowany i przewiązany kokardką, żebyś nie pobrudził sobie rączek.

Burkę skinął głową uśmiechając się znowu.

- Widziałeś się ostatnio z Nancy?

- Dobrze wiesz, że nie.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie ręce, obejmując gigantyczny niewidzialny brzuch.

- Wielka jak słonica. - Drzwi zamykały się powoli. - Bliźniaki. - Roześmiał się głośno, zanim zamknęły się całkowicie.

- Dupek - mruknął Ray, ciągle wpatrując się w drzwi.

- Kto to był? - zainteresowała się Gillian.

Ray zerknął na nią z ukosa i ponownie spojrzał na metalowe drzwi,

- Detektyw Jimmy Burke. Mój szwagier. - Zawahał się, marszcząc brwi. - Były szwagier.

## Rozdział 9

Policjanci zebrali wszystkich w holu. Policyjny fotograf uwiecznił zniszczoną fotografię, resztki torebki z krwią oraz plamy na koszuli Raya i ramionach Gillian.

Godzinę po pierwszym spotkaniu w windzie Gillian znowu rozmawiała z detektywem Burke.

- I tak po prostu do pani podbiegła? - zapytał, gdy opisała zajście.

- Tak.

- I wtedy Pearce...

- Pchnął mnie na ziemię. Już mówiłam. On... mnie zasłonił. Nie pozwolił, by coś mi zrobiła.

Ray stał nieco dalej. Oparty o ścianę, obserwował tłum. Burke przywołał go skinieniem ręki.

- Podobno zgrywałeś dzisiaj bohatera. Twarz Raya była nieprzenikniona.

- Robię, co do mnie należy. Zawsze byłeś w tym dobry, co, Ray?

- Posłuchaj, panny Gray nie interesują...

- Podobno jesteście rodziną - zwróciła się Gillian do Burke'a, jakby Raya z nimi nie było.

- Świetny z niego glina - stwierdził Burke.

- Naprawdę? - Zaintrygowana, przyglądała się spochmurniałej twarzy Raya. Po chwili wróciła wzorkiem do Burke'a: - W takim razie dlaczego odszedł z policji?

- Jestem tutaj - warknął Ray. - Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, pytaj.

Zamiast Gillian, odezwał się Burke.

- Więc dlaczego odszedłeś, Ray?

- Dobrze wiesz, dlaczego. Burke się roześmiał.

- I zobacz, dokąd cię to zaprowadziło.

- Skończyłeś? Moim zdaniem, tak.

- Skończyłem. Przyjdziecie jutro na posterunek, podpiszecie zeznania.



Ray złapał Gillian za rękę i odciągnął na bok.

- Powoli, farmerze. Puścił ją.
- Farmerze? Wzruszyła ramionami.
- Tak wyglądasz. Iowa, Nebraska, świnki, krowy, owce... Spojrzał na nią zdumiony.
- To przecież nic złego. Chyba nie wypierasz się swoich korzeni?
- Moje korzenie są na Long Island. Sama mieszkasz w Nowym Jorku, więc wiesz, jak tam jest. Centra handlowe, korki uliczne, metro. Nie ma miejsca dla świń, a tym bardziej dla owiec. Chyba że mówimy o tych w ludzkiej skórze. Proszę, proszę, więc mamy migranta. Nic dziwnego, że poczuła coś ich łączy.
- Więc co tutaj robisz? - zapytała kpiąco.
- Panno Gray - odpowiedział z drwiącym szacunkiem. - Czy przypadkiem nie pochodzi pani z Nashville? Czyżby wypierała się pani korzeni? Uśmiechnął się. W jego oczach dostrzegła błysk rozbawienia. No dobra, masz mnie. Spróbuję inaczej; co cię tu sprowadza?
- Okoliczności. Zbywał ją.
- Myślałeś kiedyś o tym, by wrócić?
- Wrócić? Wyjechać, tak. - Wiec co cię tu trzyma? W tym momencie wezwał go Carlson.
- Przepraszam - mruknął Ray i odszedł. Nieco zbyt ochoczo, jej zdaniem.

Dochodziła północ gdy policjanci pozwolili zebranym się rozejść. Gillian i Maddie czekały objęte w jednej z sal wystawowych. Pusta ściana naprzeciwko nich przypominała, że jeszcze niedawno wisiała tu praca Gillian. Krew na ścianie zaschła, przybierając bladobrazowy odcień. Mimo jej propozycji, by zostawić wszystko tak jak jest, Will kazał zdjąć zdjęcie. W piątek, gdy wystawa

zostanie otwarta dla publiczności, wszystko będzie posprzątane i czyściutkie, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

Chip stał przed nagą ścianą, pogrążony w dyskusji z Carlsonem i Rayem. Ray powiesił zakrwawioną marynarkę na oparciu krzesła i stał w poplamionej koszuli, z zakasnymi rękawami, które odsłaniały silne ramiona. Podobał jej się - znużony, w pogniecionym ubraniu, w którym biel i czerń stanowiły ostry kontrast, ze smugami krwi na białej koszuli. Przez myśl przemknął jej kolejny tytuł. Dzień po. Gdyby miała swojego nikona i kilka lamp...

- Stary Chip zabrał się do roboty? - Maddie przekrzywiła z zaciekawieniem głowę.

- Ray mówił, że personel na wernisaż zatrudniało muzeum, więc jeśli komuś się oberwie, to im.

- No to się im oberwie.

Gillian nie odpowiedziała. Aż za dobrze wiedziała, o czym dyskutowali.

W wyobraźni na nowo wykadrowała ujęcie. Ray tak jak teraz, na ugiętych nogach, z dłonią opartą na biodrze. Może lepszy byłby hassel-blad, pozwala uchwycić więcej szczegółów...

Maddie trąciła ją w bok.

- O czym myślisz?

Gillian zbyła ją wzruszeniem ramion i odwróciła wzrok od mężczyzn.

- O niczym. - Nie wytrzymała jednak i znowu spojrzała na Raya.

- Akurat! - Maddie parsknęła śmiechem. - Możesz oderwać dziewczynę od aparatu, ale nie oderwiesz aparatu od dziewczyny.

Ray spojrzał za siebie na Gillian Gray.

Zakrwawioną i zmęczoną. Na jej widok coś się w

nim budziło. Uruchamiała jego wewnętrzny dzwonek ostrzegawczy, na razie jeszcze cichy, ale natarczywy. Czuł, że przyciąga go wzrokiem. Subtelnym, spragnionym i dumnym. Nieszczęśliwym.

- To tylko kilka dni. Do imprezy charytatywnej na rzecz szpitala, w sobotę. - Mówił do Chipa, a raczej do jego zmarszczonych brwi i wiedział, że go nie przekonuje.

- Dziesięć dni - poprawił Chip.

Jezu! Dziesięć dni to aż nadto, by wpakować się w kłopoty. Nawet nie chciał o tym myśleć. Zbyt zawołowany argument machnięciem ręki.

- Tak czy inaczej, to nie całe życie. Jeśli będzie ostrożna, nie dojdzie do powtórki tego incydentu. Naprawdę nie uważam, żeby ochrona była potrzebna.

- Nie znasz jej - odparł Chip. - Ona nie potrafi siedzieć cicho.

Rayowi przypomniała się scena z dziennikarzami. Jej rozmowa z kelnerką.

- Więc niech to będzie Landowe. - Rzucił pierwsze lepsze nazwisko i spojrzał na Carlsona. - Dobrze sobie radzi z artystami.

- Ciebie już zna - zauważył Carlson.

Ray chciał zaprotestować, ale Chip go uprzedził.

- Podwoję wynagrodzenie.

- Słuchaj, Ray, sam powiedziałeś, że to nie całe życie - przekonywał Carlson.

Rayowi nie podobało się, że szef wykorzystuje jego słowa przeciwko niemu.

- Nie uważam...

- I dodam specjalną premię dla pana - wtrącił Chip.

Boże. Czuł, że jego opór słabnie. I nie chodziło o pieniądze, tych i miał mnóstwo. Wydawał je tylko

na siebie, a nie ma wyszukanego gustu. Nie, nie chodzi o pieniądze, tylko o jej oczy. Dlaczego nie mógł ich po prostu zapomnieć?

Bo nie ucieka z podkulonym ogonem, ot co!

Zostaje do końca, to jego cecha charakterystyczna. I prywatna tortura.

- Potraktuję to jak osobistą przysługę - kusił Chip.

Och. Osobista przysługa dla Chipa Graya. Miał ochotę odpowiedzieć, że on osobiście ma to w głębokim poważaniu, bo nie chodzi o Chipa.

- Dobrze - westchnął. - Dziesięć dni.

Gray uśmiechnął się zwycięsko. Wyciągnął rękę, żeby przypieczętować umowę.

- Nie zapomnę tego - obiecał. - Grayowie mają dobrą pamięć. Nie pożałuje pan.

Ray był innego zdania, ale nie powiedział tego głośno. Zgodził się

nie będzie się teraz wycofywał. Carlson odszedł.

Ray porwał marynarkę i razem z Chipem podszedł do Gillian.

- Zaraz podstawiam samochód - oznajmił starszy pan. - Chodźmy. Nie reagowała na skinienie dziadka. Posłała Rayowi kpiące spojrzenie.

- Złapali cię?

Chip zmarszczył brwi.

- Pan Pearce będzie ci towarzyszył, dopóki nie wrócisz do Nowego Jorku. Przez kilka dni.

Wszystko już ustalone.

Gillian kiwnęła głową. Zawsze wszystko było załatwione i zawsze coś szło nie tak. Jej matka załatwiła sobie przeprowadzkę tutaj, z dala od szalonego życia, z dala od ciągłej presji narkotyków i całonocnych imprez. Szukała bezpiecznej przystani, by wychować córkę. Miłego zakątka. Spokoju. Co za ironia. Gillian zakręciło się

w głowie.

Chip skinął ręką.

- Babcia jest zmęczona. Niech na nas nie czeka.

Dom Grayów był oddalony o wiele kilometrów, ale Gillian od razu poczuła, jak duszą ją jego ściany. A na dworze kusił noc, nabrzmiała niebezpieczeństwem, ale i możliwościami.

Zaatakowano ją ale to nie był on.

On nadal tam jest.

Spojrzała na Maddie.

- Odwiesz ich do domu? Porozumiewały się bez słów. „Chcesz się wpakować w kłopoty?”

„Pomóż mi. Jeszcze nie mogę wrócić do domu”.

- Ale wracaj szybko, dobrze? - powiedziała Maddie na głos.

Gillian skinęła głową, lecz Maddie ją przejrzała.

Chip zerknął na wnuczkę poirytowany, ale pogodzony z losem.

- Jak wrócisz? - mruknął tylko. Zerknęła na Raya.

- Pan Pearce ma samochód, prawda? Ray z rezygnacją przytaknął.

- Dopilnuję, by dotarła do domu - zapewnił Chipa.

- Chodźmy. - Maddie wzięła Chipa pod rękę. -

Poszukamy pani Gray i wrócimy do domu.

Starszy pan odszedł posłusznie. Gillian i Ray zostali sami.

## Rozdział 10

Masz jakiś plan? - zapytał Ray. - Bo jest kwadrans

po północy w środową noc w Nashville.

- Nie zdążysz na mszę, Ray?

- Jestem tylko ciekaw, dokąd się wybierasz.

Gillian patrzyła, jak dziadek przechodzi pod łukowatym sklepieniem do holu, w którym kręcili się ostami goście z wernisażu. Powłóczył nogami, przygarbiony, znużony ostatnimi wydarzeniami.

Poczuła ukłucie w sercu. Starzał się.

- Och, sama nie wiem, do miasta. Na Drugiej Alei jeszcze wrze nocne życie.

- Owszem, ale nie wyglądasz mi na miłośniczkę barów dla turystów.

Zamyśliła się na chwilę. Zdecydowała, że powie mu prawdę, a przynajmniej jej część.

- Nie chcę jeszcze wracać do domu - powiedziała. - Za bardzo się martwią.

- Po tym, co się dzisiaj stało, chyba mają rację.

- To nie znaczy, że łatwo się z nimi mieszka.

- W domu będziesz bezpieczniejsza.

Pomyślała o nocy i poczuła, jak krew pulsuje jej w sercu.

- Ostrożność nie jest moją mocną stroną - wyznała. - Dlatego ty tu jesteś.

Nie wydawał się tym zachwycony.

- Och, Ray, wyluzuj. Przecież ci za to płacą, nie?

Staruszek Chip jest świetny w te klocki. Czym cię przekupił?

Ray wzdął ją pod rękę i poprowadził do wyjścia.

Śmiała się, idąc za nim.

- Musiał się niezłe wysilić. No, mów.

Skręcił za róg, prowadząc ją w stronę tylnego wyjścia, o którego istnieniu nie miała pojęcia.

- To tajemnica?

- Nie twoja sprawa.

- Chyba żartujesz? W końcu to ja jestem

przedmiotem transakcji. Zatrzymali się przy

dużych metalowych drzwiach. Spojrzał na nią.

- Podwoił opłatę agencyjną i obiecał mi premię.

Zadowolona? Uśmiechnęła się. Zimno.

- Bardzo, ze względu na ciebie. Jak widzisz, pomagam ci zarobić na życie. A przy okazji, umieram z głodu. Na takich imprezach nic nie przechodzi mi przez gardło. Ty pewnie też jesteś głodny. - Dźgnęła go w brzuch twardy jak skała. - Taki duży chłopiec.

Otworzył drzwi kartą magnetyczną i polecił jej trzymać się z tyłu. Wyjrzał na zewnątrz.

- W porządku. - Wrócił po krótkim rekonesansie. - Idziemy. - Spojrzał na nią zniecierpliwiony.

Jeździł, jak się okazało, wielkim pikapem, czarnym jak noc, nowiutkim, błyszczącym. Nie mogła się powstrzymać, parsknęła śmiechem na widok auta.

- A nie mówiłam? - Klasnęła w dłonie. - Farmer pełną gębą. Otworzył drzwi i pomógł jej wsiąść.

- Przewożę duże, ciężkie rzeczy.

- Tak? Na przykład co?

- Ludzi takich jak ty. - Zatrzasnął drzwi.

Zerwał z szyi poluzowany krawat i cisnął poplamioną marynarkę na tylne siedzenie. Usiadł za kierownicą, wycofał wóz i skręcił w stronę Broadwayu, ale zamiast w prawo, do Drugiej Alei, odbił w lewo.

- Rzeka jest tam - poinformowała go, wskazując wschodnią drogę ulicy, która kończy się przy Cumberland.

- Nie mam ochoty grać statysty w Nocy żywych trupów.

Jechał na zachód. Minęli resztki stacji kolejowej Union Station, mknąc ku ceglanej bramie Uniwersytetu Vanderbilta. Reflektory spowijały nazwę uczelni upiornym blaskiem.

Na ulicach prawie nie było ruchu, więc gnali

szybko, nie zwracając uwagi na światła. Gillian udawała, że nie zauważa zmian, jakie zaszły w mieście podczas jej trzyletniej nieobecności. Chciała, by Nashville pozostało zamazaną plamą, niewyraźnym punktem na mapie pamięci, miejscem, którego nie odwiedza się nawet w myślach.

Ale niektóre rzeczy nie chcą odejść. Skręcili w prawo w Murphy Road. Nie było już pizzerii pana Gattiego na rogu. Kiedy była mała, dziadkowie zabrali ją tam kiedyś, chcąc, by poczuła się jak zwyczajna dziewczynka. W tamtych czasach była niejadkiem i nie pamiętała, czy zjedli dużo.

Zapamiętała za to rozwrzeszczane dzieciaki, balony i hałas automatów do gry. Jakieś dziecko obchodziło urodziny i twarze gości wydały jej się dziwne. Uśmiechnięte, wesołe.

Nagle zapragnęła jechać nie w kabinie, a na pace, z wiatrem we włosach, z ramionami wyciągniętymi w ciemność.

Otworzyła okno i wystawiła głowę na zewnątrz, krzycząc w noc, jak nastolatka po imprezie.

Ray skręcił gwałtownie.

- Co do cholery... - Wciągnął ją do środka. - Co ty wyprawiasz? Podskoczyła na siedzeniu i się roześmiała.

- Jezu, ale było fajnie.

- Oszalałaś?

- Widziałeś moje prace - rzuciła lekko. Łypał na nią groźnie.

- Zapnij pas. Ani drgnęła.

- Zapnij pas, do cholery!

- Dobrze, tatusiu. - Opadła na fotel, w cień.

Zapięła pas.

Jechali do Sylvan Park, starego osiedla małych domków na mikroskopijnych działkach. Ulice na



osiedlu nosiły nazwy stanów. Skręcił w Nebraskę i zatrzymał się przed niewielkim bungalowem. Nebraska. Odwróciła głowę, by nie widział jej uśmiechu.

Tak mocno zaciągnął hamulec, że rozległ się nieprzyjemny pisk.

- Jeszcze jeden taki numer, a związę cię i przykuję do drzwi.

- Brzmi ciekawie. - Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Nie w moim wykonaniu, zapewniam cię. A teraz

ani mru-mru, dopóki ci nie otworzę. - Sięgnął do

tyłu po marynarkę. - Przebiorę się w pięć minut.

Zarzucił łobie marynarkę na ramię, obszedł wóz i podszedł do drzwi od strony pasażera. Otworzył je

i zaprowadził ją do domu. Podobnie jak w

muzeum, zasłaniał ją swoim ciałem. Dziwnie się

czuła ze świadomością, że ktoś się o nią troszczy.

Że w jej imieniu stawia czoła nocy. Zwłaszcza ktoś tak na nią wściekły.

Przy drzwiach podał jej klucze.

- Muszę mieć wolne ręce - wyjaśnił.

Spojrzała w mrok z chłodnym wyrachowaniem. Tu

i teraz? Z Ra-yem u boku? Czy potwór się

przestraszy, czy zaatakuje?

Przeszył ją dreszcz, gdy wsuwała klucz do zamka.

Drzwi się otworzyły. Ray zapalił światło i świat

znowu stał się normalny.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Krótki korytarzyk

prowadził do skromnie umeblowanego saloniku,

który emanował aurą tymczasowości.

- Długo tu mieszkasz?

- Trzy lata.

Więc nie tak tymczasowo.

Przy ścianie stał biały regalik, o który opierał się

kij do hokeja. W kącie Gillian zobaczyła plazmowy

telewizor i wygodny tani fotel, jakich wiele w

każdym centrum handlowym. Na fotelu poniewierała się sprana koszulka z numerem na plecach.

Ray zabrał ją pospiesznie.

- Siadaj, zaraz wrócę.

Zniknął na tyłach domu, ale Gillian nie usiadła. Podeszła do regału. Między stertą magazynów sportowych i kupką płyt stało oprawione zdjęcie. Ray Pearce w stroju sportowym, z pucharem i kijem hokejowym w jednej ręce. Drugą obejmuje kobietę. Nie, raczej dziewczynę. Ciemne włosy, ciemne oczy, za dużo makijażu, ale wzrok podniecony, błyszczący. Młodsza wersja Raya uśmiecha się radośnie. Szkoła średnia?

Odstawiła fotografię i poszła wąskim korytarzem, w którym zniknął. Po prawej stronie kuchnia - zajrzała tam zaciekawiona. Pomieszczenie było ciasne, oddzielone od korytarza ladą śniadaniową. Zajrzała do lodówki. Mleko, jajka, jabłka, ser. Jezu, co za zdrowe żarcie? W szafkach też nie znalazła nic ciekawego.

- A gdzie piwo i chipsy? - zawołała. Szum wody zagłuszał jej słowa.

- Co?

- Piwo i chipsy... - Poszła dalej. Znalazła go w łazience. Stał bez koszuli, zmywając z twarzy i karku czerwone plamy.

W pierwszej chwili jej nie zauważył, więc mogła się napatrzyć do woli. Świetne plecy, fantastyczne pośladki. Szeroka klatka piersiowa, umięśnione ramiona. Boże, dlaczego nie wzięła ze sobą aparatu?

Sięgnął po ręcznik i wytarł twarz. Dostrzegł ją w progu, jak się w niego wpatruje. Wyprostował się powoli, kilka sekund stał nieruchomo, jakby wiedział, co Gillian robi i nie miał nic przeciwko

temu. A potem ją minął.

- Słyszałaś kiedyś o pukaniu?

Poszła za nim do sypialni. Zakrwawiona marynarka leżała w kącie, pod krawatem i koszulą.

- Pracowałeś kiedyś jako model? Odwrócił się do niej i parsknął śmiechem.

- Żartujesz, prawda?

- To niezła kasa za stanie bez ruchu. Otworzył szufladę i wyjął T-shirt.

- Czy ty czasami zastanawiasz się nad tym, co mówisz? Zanim coś powiesz.

- Jesteś przystojny.

- I co, ubierzesz mnie w ogrodniczki i wciśniesz do ręki widły? -Naciągnął T-shirt.

Uśmiechnęła się. Za jego plecami dostrzegła otwartą szafę. W foliowym pokrowcu z pralni wisiał policyjny mundur galowy. Podeszła bliżej i zobaczyła odznakę nowojorskiej policji, lśniąca i czystą.

Ciekawe, co się stało. Zmęczyło go ściganie przestępców? Raczej nie, sądząc po tym, czym się teraz zajmuje. Może miał dosyć marnej pensji?

Wygląd jego domu zdecydowanie temu przeczył.

Więc co? Wziął łapówkę? Zastrzelił nie tego, kogo trzeba i wywołał zamieszki? Nie wygląda na takiego, który nawala. Wydaje się szczery i porządny.

Już miała go o to zapytać, kiedy podszedł do niej i zamknął szafę. Rzucił jej ręcznik. Nie silił się na uprzejmość.

- Łazienka jest wolna, jeśli chcesz się umyć - burknął.

## Rozdział 11

Nikt nigdy nie powiedziałby o Margaret Pulley, że jest ładniutka. Miała na to za dużo smutku w oczach i tłuszczu na biodrach. On jednak lubił na nią patrzeć podczas pracy. Na jej kostium, zawsze trochę za obcisły, w włosy, zawsze lekko potargane. Nie była idealna, ale kto jest? Perfekcja to cecha ludzkiego działania, nie charakteru. I tak właśnie było z panną Margaret. Była pilna i często zostawała po godzinach, stukając w klawiaturę komputera, wypełniając formularze i układając je w sterty, które nigdy nie chciały leżeć równo. Obserwował ją z ukrycia, z uliczki naprzeciwko jej biura na Nolensville Road. Przez duże frontowe okno widział jej profil, przygarbione ramiona i puszyste jasne włosy, zabarwione zielenią od monitora. Jego serce radowało się na samą myśl o tym, co z nią zrobi. Czasami się wtedy dotykał. Kiedyś, w ciągu dnia, musiał tam wejść, żeby podpisała mu zlecenie, i wtedy się do niego uśmiechnęła. Była za stara jak na jego gust. Za bardzo zużyta. A jednak dzisiaj będzie modelką idealną. Idealną zastępczynią. Umarła szybciej niż poprzednia. Tamta walczyła, miotała się. A panna Margaret po prostu mu uległa. Może dlatego, że szeptem opowiadał jej, jaka będzie sławna. Że po raz pierwszy w życiu będzie ważna i szanowana. Nie wiedział do końca dlaczego, ale pod foliową torebką jej strach przerodził się w rezygnację i

przywarła do niego jak do kochanka. Trochę się namęczył, ciągnąc zwłoki na miejsce, które wybrał do zrobienia zdjęcia. A wbicie jej w spódniczkę w szkocką kratę - to dopiero była męka. Panna Margaret za bardzo lubiła ciasto bananowe i za nic nie mógł dopiąć spódniczki w pasie. Nic nie szkodzi, i tak nikt tego nie zobaczy, bo robi zdjęcie z innej perspektywy. Przyniósł tornister i podręcznik do matematyki. Trochę trwało, zanim go znalazł. Starannie ułożył nóż u jej boku i spojrzął przez obiektyw aparatu, by ocenić ustawienie. Fala podniecenia. Chciał się dotknąć, ale powstrzymał odruch. To wystarczająca rozkosz.

## Rozdział 12

Gillian nie skorzystała z propozycji Raya, by się umyć. Nie chciała zdejmować sukienki i ryzykować, że mężczyzna zobaczy jej ramiona. Wywołałoby to zbyt wiele pytań. Zresztą krew, czy cokolwiek to było, zdążyło już zaschnąć na rękawach i barkach. Wyglądało to okropnie, ale w niczym jej nie przeszkadzało. A w mrocznym barowym świetle nikt tego nie zauważy. - Wolałabym coś zjeść. - Rzuciła mu ręcznik. - Nie masz piwa? Ani chipsów? Założył pas z kaburą i wsunął do niej pistolet. Gillian przeszedł dreszcz. Prawdziwa broń oznacza

prawdziwe niebezpieczeństwo. Nagle poczuła ucisk w gardle. W głowie rozległ się znajomy głos.

„Tobie zrobię to samo”.

Natychmiast go zagłuszyła i skoncentrowała się na stojącym przed nią mężczyźnie.

- Nie trzymam w domu piwa - powiedział.

Zamrugowała szybko.

- I nie jadam chipsów. Co z nim?

- Masz kij do hokeja, sportową koszulkę...

Myślałam...

- No właśnie: głupi farmer czy durny hokeista? -

Skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na nią z góry. Spiorunowała go wzrokiem.

- A nie może być i farmer, i hokeista? Myślałam, że jedno zwykle idzie w parze z drugim.

- Założę się, że w życiu nie widziałaś farmy.

Napuszyła się komicznie.

- Widziałam w kinie.

- Jasne. Idziemy. - Dał jej znak głową, by poszła za nim. Ledwie otworzył drzwi, zobaczył staruszkę, zataczającego się na podjeździe.

- Cholera - mruknął pod nosem. Po chwili dodał: - Zostań lepiej w środku.

Mężczyzna był potężny i tęgi jak buldog, ale było to stare, znużone psisko. Biały niegdyś podkoszulek opinał wielki brzuch i zwisał na opadające spodnie. Jedynym kanciastym elementem w okrągłej sylwetce była fryzura - niemal kwadratowy wojskowy jeż. Był tylko w jednym rozdeptanym kapciu, druga stopa była bosa.

Zataczał się na wszystkie strony.

Ray zszedł do niego po schodkach.\_\_\_\_

- Hej, sierżancie, co tu robisz o tej porze?

Mężczyzna położył mu rękę na piersi, jakby Ray był słupem, o który można się oprzeć. Gillian

odrobinę szerzej uchyliła drzwi, by lepiej słyszeć.

- Chodzi o moją Glorię. - W pijackim bełkocie dało się wyczuć żal. - Nie ma jej w domu.

- Wiem. - Ray obejrzał się przez ramię. - Wszystko w porządku, zaraz do ciebie wrócę - zawołał. Chciała mu odpowiedzieć, ale ponownie zajął się pijakiem.

- Jest tu? Nie mogę zasnąć, kiedy nie ma jej w domu.

Ray westchnął. Już trzeci raz w tym miesiącu sierżant Mackenzie Burke przyszedł do niego.

- Gloria umarła, pamiętasz? Byliśmy razem na pogrzebie. Staruszek zmarszczył brwi, zupełnie zbity z tropu.

- A ty to kto? I co robisz w moim domu?

- To ja, sierżancie. Ray.

- Ray?

- Tak, Ray. Mieszkasz za rogiem, stąd wyprowadziliście się tuż po narodzinach Jimmy'ego. Pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam. Jimmy to mój syn.

- Tak.

Staruszek podniósł na niego wzrok, jakby nagle dotarło do niego, z kim rozmawia.

- Gdzie ja będę spał, Ray?

Ray aż za dobrze wiedział, co powinien w tej chwili robić - opiekować się Gillian, a nie niedobitkami swojej żalösnej rodziny. Ale przecież nie zostawi starego na ulicy. Dlaczego to do jego brzegu zawsze przybijają wszyscy nieudacznicy?

Objął staruszka ramieniem.

- Może wejdiesz na chwilę, co?

Mężczyzna oparł się o niego i zadarł głowę, jakby patrzył na żyrafę w zoo.

- Ray, gdzie jest Gloria?

Ray odwrócił wzrok, przełknął ślinę i ponownie

spojrzał na byłego teścia.

- Znajdziemy ją. - Delikatnie obmacał mu kieszenie. Nie chodziło tylko o butelkę, o ile sierżant zabrał ją ze sobą, ale także o broń. Ale był czysty, bez alkoholu czy spluwy. - Wejdziemy do środka? - Ray wtaszczył go na schodki i przeprowadził przez drzwi.

Podprowadził go do fotela, mijając po drodze Gillian.

- Pilnuj go - polecił.

- Jasne.

Poszedł do kuchni, gdzie szperał chwilę wśród karteczek przyczepionych do drzwi lodówki, aż znalazł to, czego szukał. Z niepokojem przyjrzał się skrawkom papieru.

Odetchnął głęboko, wziął telefon i wystukał ciąg cyfr.

Nie słyszał głosu Nancy od ponad roku. Od pogrzebu. Stała nad grobem matki, tuląc w ramionach synka, który za wszelką cenę chciał się uwolnić. Uciszała go umęczonym, napiętym głosem. Miała na sobie okropną, workowatą czarną sukienkę i zero makijażu, ale w jej oczach był spokój, którego nigdy w nich nie widział, gdy byli razem.

Ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? - Jej głos był zaspany, ale znajomy.

Dobrze chociaż, że serce już mu nie drży, gdy ją słyszy.

- Nancy, tu Ray. Ziewnęła.

- Kto?

Kiedyś pewnie sprawiłoby mu to ból. Teraz tylko go bawiło. W dziwaczny, żaloszny sposób.

- Ray - powtórzył, przeciągając krótkie imię, jakby w ten sposób chciał mu przydać znaczenia.

- Która godzina? - W tle usłyszał, jak Peter pyta,



kto dzwoni, Nancy odpowiada, a Peter dziwi się, czego Ray chce.

- Wiem, że jest późno. - Ray od razu przeszedł do rzeczy. - Ale twój ojciec znowu tu przyszedł. Szuka twojej mamy.

Jęknęła.

- Mam go u siebie, ale jest pijany. Musisz po niego przyjechać.

- Niech śpi na chodniku - rzuciła Nancy.

- Nancy, nie wygłupiaj się.

- Kiedy mama żyła, nie mógł z nią wytrzymać. A kiedy umarła, nie może bez niej żyć?

Nie chciał wzniecać starych kłótni.

- Słuchaj, pracuję. Nie mogę go przenocować. I nie zostawię go samego.

- Pracujesz? O tej porze? - Za jednym nie tęsknił: za jej tonem.

Rozczarowanym, gniewnym, zniesmaczonym, zrezygnowanym. Jakby potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Miał na końcu języka ciętą odpowiedź, ale się powstrzymał.

- Zajmę się nim, dopóki nie przyjedziesz.

- A Jimmy? Zadzwoń do niego.

- Jezu, Nancy, przecież to twój ojciec.

- Owszem, i wszyscy wiemy, jak świetnie się sprawdził w tej roli.

- Jimmy pracuje, przed chwilą się z nim widziałem. Jej westchnienie przeszło w kolejne ziewnięcie.

- No dobrze - mruknęła. - Daj mi dziesięć minut. Rozłączył się. Domyślił się, że z dziesięciu minut zrobi się pół godziny, więc postanowił zaparzyć kawę.

- Wszystko w porządku? - Gillian stała w drzwiach. Wariatka, która towarzyszyła ma w samochodzie,

zniknęła, a jej miejsce zajęła inna kobieta, która pocieszała Ruth. Spokojna i dobra, jakby nieskażona złem, które jej wyrządzono. Z jej oczu wyczytał, że jest zaintrygowana.

- Co z nim? - Nasypał kawy do filtra, włożył go na miejsce i nalał wody do dzbanka.

- Chrapie. Śpi jak kamień.

- To dobrze. - Nie miał siły oglądać żalosnej wersji Burke'a. Kiedyś był z niego kawał skurczybyka, rasowy glina. Patrzenie, jak rozpada się na kawałki, bolało. Dolał wody do dzbanka, włączył ekspres i czekał na pytania.

- Niechcący podsłuchałam twoją rozmowę - zaczęła. - Mówiłeś o staruszkę per Burke, dzwoniłeś do Nancy. Z muzeum pamiętam detektywa Burke'a i jego Nancy. - Oparła się o ścianę koło blatu, krzyżując ramiona w liliowych rękawach poplamionych krwią. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że mają ze sobą coś wspólnego.

- Sherlock Holmes może się przy tobie schować. To mój teść.

- Teść?

- No dobra, eksteść.

- A detektyw Burke to twój eks...

- Szwagier, tak.

- A Nancy to...

- Jego siostra.

- Twoja... Uniosła brew.

- Eks.

- Bomba. \_

Pomyślał o splątanej sieci, o więzach, których pewnie nigdy nie zdoła przeciąć.

- Tak jest, uwiliśmy sobie przytulne kazirodzkie gniazdko. Spojrzała mu w oczy i stwierdziła ze smutkiem:

- Więc takie okoliczności cię tu sprowadziły? Skinął głową.

- Mniej więcej. Nie mam do kogo wracać na wschodzie. A Nancy jest stąd.

Proste wyjaśnienie, krótkie i zwięzłe. Jakby nie zdarł sobie gardła, namawiając Nancy do przyjazdu do Nashville. Nie wspominając już o tym, ile kosztowało go przekonanie jej, by tu zostali.

Kawa prawie gotowa. Dzięki Bogu. Ma przynajmniej inny temat do rozmowy.

- Weź kubki z szafki nad zlewem. - Sam podszedł do lodówki po mleko, na wypadek, gdyby miała ochotę na białą kawę.

Odwrócił się i zobaczył, jak wspina się na palce, sięgając po kubki.

- Poczekaj, mała, ja to zrobię. - Pochylił się nad nią. Odwróciła się w tej samej chwili i nagle znaleźli się ze sobą twarzą w twarz. Opierała się rękami o blat za plecami, wygięta w łuk, napierając biustem na jego klatkę piersiową. Poczuł korzenny zapach jej włosów. Nagłe zdał sobie sprawę, jaka jest drobna. Mała, krucha i bardzo kobieca.

Skarcił się w myślach. To wpływ zdjęć. To przez nie wydaje się taka delikatna i bezbronna. Z doświadczenia wiedział, że pozory bardzo mylą. Cofnął się. Wcisnął jej kubek w dłoń, chcąc się nim od niej odgradzić jak tarczą. Nalała sobie kawy. Patrzył, jak dolewa mleka i sładzi. Sam pił czarną. Za kwadrans albo szybciej stanie twarzą w twarz z Nancy i jej wielkim brzuchem.

- Jakim cudem jesteś w tak zażyłych kontaktach z eksrodzinką? - zainteresowała się Gillian.

Czy nie ma innych tematów niż jego pokręcone

relacje z rodziną byłej żony? Postanowił trzymać się suchych faktów.

- Stary mieszka kilka przecznic stąd. Zaraz po ślubie zamieszkali tu z żoną, a później wynajmowali ten domek. Wprowadziłem się tu po rozstaniu z Nancy. Miałem zostać na chwilę, ale... - Wzruszył ramionami.

Cisza. Gillian sączyła kawę.

- Pewnie taki maniak zdrowego odżywiania jak ty nie ma w domu ciasteczek?

Otworzył szafkę i rzucił jej paczkę markiz.

- Mam cię! - Uśmiechnęła się. - Wiedziałam, że gdzieś masz słaby punkt. - Wbiła zęby w ciastko. Delikatnie rozdzieliła herbatniki i zeszkrobała zębami białe nadzienie.

Stłumił uśmiech. Równie dobrze mogłaby mieć szesnaście lat. Drobna, krucha, młoda.

Nie. Jakoś nie wierzył, że kiedykolwiek była młoda. Usiłował ją sobie wyobrazić jako nastolatkę. W aktach było mnóstwo o jej dzieciństwie, a raczej o okresie, w którym zamordowano jej matkę. O późniejszych latach niewiele.

Ray wiedział co nieco o Holland Gray i jej ślicznej córce. Matka zapisała się w historii mody. Była uosobieniem blichtru lat osiemdziesiątych, co udawiała na niezliczonych okładkach „Vogue'a”, „Cosmo” czy „Elle”. Nawet po narodzinach córki nie zrzekła się korony supermodelki, więc jej nagła decyzja, by przenieść się do Nashville, odbiła się głośnym echem w świecie mody. A kiedy ją zamordowano, prasa dosłownie oszalała.

Jedna okładka szczególnie utkwiała mu w pamięci.

Kiedy Holland Gray zginęła, miał czternaście lat.

Jego matka prenumerowała magazyn „People”, nie wiedział więc, czy zapamiętał tę okładkę z tamtych

lat, ale rzuciła mu się w oczy, gdy zobaczył ją w aktach. Osierocona Gillian, wówczas malutka blondyneczka, niewinna, urna, o anielskich włosach, w świetle zachodzącego słońca siedzi z zamkniętymi oczami w fotelu martwej matki na ganku.

Fotografia poraziła go wtedy tak samo, jak teraz. Pierwsza martwa Gillian.

Pierwsze zdjęcie śmierci.

Później było ich bardzo wiele. Wiele martwych dzieci, nastolatek, kobiet - i to zawsze była ona.

Medialny szum po śmierci jej matki w końcu umilkł, ale jej prace ponownie ściągnęły na nią blask reflektorów. I sławę. Albo niesławę, jeśli wierzyć brukowcom.

Ochrzcili ją Panią Śmierci.

Poczuła na sobie jego wzrok.

- Przepraszam. - Podsunęła mu paczkę z markizami. - Chcesz? Pokręcił głową.

- Nie, dzięki.

Zjadłam krem do końca i pochłonęła samo ciastko.

- Coś cię dręczy, Ray?

Skinął powoli głową, cały czas myśląc o ślicznym zagubionym dziecku.

- Twoje... prace. Fotografie. Dlaczego je robisz?

Powoli otrzepała okruchy z dłoni.

- A jak myślisz?

- Terapia? Roześmiała się.

- Oczywiście. - Oparła się wygodniej o blat i skrzyżowała ręce na piersi, przyglądając mu się uważnie. W jej oczach pojawił się złośliwy błysk.

- Wszyscy mamy swoje problemy, Ray. Moim jest morderstwo.

- Ze względu na matkę? Zesztywniała.

- Ach... więc myślisz, że wiesz wszystko na ten temat.

- Czytałem twoje akta. Powoli skinęła głową.
  - No tak. Moje akta. Który brukowiec masz na myśli: „People”, „Star” czy „Enquirer”?
  - Wszystkie. - Wzruszył ramionami. - Oświeć mnie. Niby w jaki sposób pomaga ci grzebanie się w tym obrzydlistwie?
  - Mówiłam ci. W moich zdjęciach jest prawda. Jesteśmy jednym z nielicznych gatunków, którego przedstawiciele wzajemnie pozbawiają się życia. Nie tylko to robimy, ale w dodatku gloryfikujemy. W telewizji, w kinie. Tylko że w rzeczywistości to nie jest piękne. Jest koszmarne. Przeróżające.
  - A ty rzucasz nam to w twarz.
  - Tak jest.
- Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Gillian wyjęła z paczki drugie ciastko.
- A twoja dziewczyna, Ray? Spojrzał na nią z ukosa.
  - Słucham?
  - Dziewczyna. Na zdjęciu, na honorowym miejscu na regale. Umilkł, zastanawiając się w milczeniu, czy odpowiadać. To nie jej sprawa, ale jeśli tak odpowie, rzecz wyda się ważniejsza, niż jest. A przecież to nic nie znaczy. Już nie.
  - To Nancy. Zamyśliła się.
  - Dawno się rozwiedliście?
  - Trzy lata temu, Wbiła zęby w ciastko.
  - Wiec... nadal ci zależy? Zmarszczył brwi.
  - Zachowałem to zdjęcie ze względu na puchar. To jedyne, jakie mani, a zdobyliśmy mistrzostwo stanu. - Hokej okazał się jego przepustką na studia. Dzięki niemu trafił do Birmingham, a dzięki kolegom z drużyny do baru z hamburgerami na obrzeżach kampusu. Za ladą stała Nancy. Miała

szybkie dłonie, chętne usta i rodzinę w Nashville. Hokej okazał się początkiem i końcem wszystkiego.

Gillian puściła do niego oko.

- Jasne, puchar.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Ray wyraźnie się spał. Nancy zjawiała się wcześniej, niż przypuszczał.

Ale w drzwiach wcale nie stała jego była żona.

- Gdzie on jest? - zapytał Peter Coombs. Zamiast koszuli miał na sobie górę od piżamy niechlujnie wepchniętą w spodnie. Był niższy od Raya, szczupły i drobny, w ogóle nie rzucał się w oczy. Ale był nauczycielem, nie gliną, i to stanowiło jego największą zaletę.

Ray się odsunął i Peter zobaczył Burke'a chrapiącego w fotelu.

- Gdzie Nancy? - zapytał Ray.

- Jest późno - odparł zwięźle Peter, jakby to wszystko tłumaczyło. Ale oczywiście musiał dodać:

- I jest w ciąży.

Ray skinął głową. Nie wiedział, czy jest zadowolony, czy zły, że nie przyjechała.

Zadowolony, stwierdził po chwili.

Razem wytaszczyli Burke'a na zewnątrz, do wozu Petera. Stary policjant klął i mamrotał coś przez sen, raz puścił bąka, ale się nie obudził.

- Jest z nim coraz gorzej - stwierdził Ray, gdy ułożyli staruszkę na tylnym siedzeniu. - Ktoś musi się nim zaopiekować.

- Nancy ma pełne ręce roboty przy małym Carsonie - powiedział wzbraniająco Peter, choć imię jego żony nawet nie padło. - A kiedy urodzą się bliźniaki...

- Dobrze, już dobrze. - Ray uniósł pojednawczo ręce. Nie musi wysłuchiwać całej litanii. - Ale

któregoś dnia odbierzesz go z kostnicy.

- Pogadam z Jimem - zaproponował Peter. Tylko on mówił o nim „Jim”.

- Dobra.

Odprowadził Petera wzrokiem. Męża jego żony. Ojca dzieci jego żony. Czy jego życie mogło być bardziej popaprane?

A potem się odwrócił i zobaczył na progu Gillian Gray.

## Rozdział 13

Stała w drzwiach i obserwowała, jak Ray i, jak się domyślała, maż Nancy upychają starego na tylnym siedzeniu. Kiedy skończyli, Ray zatrzasnął drzwi i odprowadził wzorkiem oddalający się wóz.

Potem wrócił do domku.

Wszedł i zmierzył ją wzrokiem.

- Gotowa? - zapytał. Nie przeklinał, nie komentował tego, co się stało. Trzeba to było zrobić, więc zrobił. Spokojnie, z klasą.

- Porządny z ciebie facet, Ray. Zesztywniał, skrępowany. Rozbawiło ją to.

- A niby co miałem zrobić? - burknął. - Zostawić go na ulicy?

- Niejeden tak by postąpił. Wzruszył ramionami.

- Może. - Nie wydawał się przekonany. - Zerknął na zegarek. - Słuchaj, późno już. Jeśli mamy jechać, musimy się zbierać.

Ale rodzinna scenka zgasiała entuzjazm Gillian. I



tak, zamiast do centrum z barami pełnymi turystów, pojechali do Belle Meade, gdzie brązowy posąg konia czystej krwi oddawał hołd wyścigowym tradycjom dzielnicy i gdzie rezydowali spadkobiercy starych bogaczy z Nashville. Podobnie jak większość domów w okolicy, rezydencja Grayów znajdowała się z dala od ulicy, pośród półtorahektarowego lasu, o rzut kamieniem od country clubu. Bramy strzegły wysokie kolumny. Ray powoli minął otwarte skrzydła.

- Czy tę bramę się zamyka?

Spojrzała na dekoracyjnie powyginane pręty z kutego żelaza.

- Nie jestem pewna, czy to w ogóle możliwe. Jest tu od 1872 roku czy coś koło tego. Chyba zardzewiała na amen.

Ray mruknął coś w odpowiedzi, mierząc wzrokiem kręty podjazd prowadzący do domu.

Po obu stronach rosły topole, czarne orzechy i żółtnice pomarańczowe, wielkie, potężne drzewa, których liście w lecie tworzyły baldachim, upstrzony plamami słońca. Teraz nagie gałęzie kołysały się złowieszczo nad podjazdem. Gillian zawsze przywodziły na myśl palce czarownicy, gotowe w każdej chwili schwytać niewiniątko. Dom już czekał, wyniosły, patrycjuszowski. Klasycystyczny portal majaczył w ciemności jak duch. Bez trudu można było sobie wyobrazić stukot końskich kopyt, dzwonki u bata, odkryte powozy, a w nich - roześmiane dziewczęta w krynolinach.

Ale nie dziś. Dzisiaj duch Starego Południa był daleko, przed dom podjechał zwykły pojazd człowieka z klasy średniej, a pasażerka nie miała na imię Scarlett.

Ray zatrzymał samochód. Przez dłuższą chwilę

przeczesywał wzrokiem okolicę.

- Szukasz czegoś konkretnego?

- Wszystkiego.

Podążyła za jego wzrokiem w atramentową ciemność. Czyżby wiedział o potworze? Czyżby się go tu spodziewał?

- Znalazłeś coś?

Spojrzał na nią.

- Nie.

- Szkoda. - Już kładła dłoń na klamce, ale ją powstrzymał.

- Odprowadzę cię do środka.

- To dwa kroki. Pójdę sama. Otworzył drzwi po swojej stronie.

- Niejaki Gerhard Bruckner też tak uważał. Szofer wysadził go dwa metry od domu i facet zginął na własnym progu. Nie wysiadaj, dopóki nie podejść. Opadła z powrotem na siedzenie. On tego nie rozumie, a jej brakowało sił, by tłumaczyć. A może tak podziałało na nią zajście z sierżantem. Albo bliskość jej popieprzonej rodziny. A może po prostu, gdzieś w głębi duszy, spodobała jej się jego opiekuńczość.

Kierowana dziwną ciekawością, analizowała to uczucie. Nie sprzeciwiała się, kiedy rzucił ją na ziemię w muzeum. Ani wtedy, przed jego domem. Teraz także posłusznie czekała, aż otworzy jej drzwi. Potulnie dała się zaprowadzić do domu. Otworzyła kluczem drzwi.

- Macie tu system alarmowy? Roześmiała się.

- Oczywiście. W szafie po prawej.

- Jaki jest kod dostępu? Nacisnęła klamkę i weszła do środka.

- Nie mam pojęcia. Zazwyczaj zapominają go włączyć. Uniósł brwi.

- Zapominają?

- Takie celowe niedopatrzenie. My, Grayowie, wolimy nie myśleć o tym, jak kruche jest ludzkie życie.

Zignorowała jego zachmurzoną minę, bo ledwie przekroczyła próg, otoczył ją zapach róż jak zawsze, gdy wracała. Intensywny aromat zagłuszał teraźniejszość, zabierając ją w podróż do przeszłości. Pogrzeb. Gillian stoi u stóp schodów, a babka zapina jej płaszcz. Dziewczynka skubie rękawy, bo są za ciasne.

„Jest zimno”, Genevra zapina najwyższy guzik, aż Gillian brakuje tchu. Pochyliła się przy tym nad wnuczką, tak że różany zapach staje się nie do zniesienia. „Będziemy długo na dworze i jeszcze się ucieszysz, że go włożyłaś”.

Gillian nadal pamięta tamto palto. Granatowe, z aksamitnym kołnierzem.

- Gdzie twoja sypialnia?

Głos Raya ściągnął ją na ziemię. Odwróciła się, niemal zaskoczona widokiem wysokiego, silnego mężczyzny u boku.

- Chcesz zobaczyć mój pokój? - Uśmiechnęła się figlarnie, uciekając od wspomnień.

Odpowiedział z udawaną powagą:

- Tak, mała. I to bardzo.

Zaprowadziła go na piętro krętymi schodami. Szli długim korytarzem. Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy pokonywała tę odległość bez pomocnej dłoni matki. Ściany przytłaczały, meble wyglądały jak stwory, a dywan chłonał odgłos kroków, sprawiając, że czuła się jak duch.

To uczucie pozostało z nią na długo. Czuła się nierzeczywista jak zjawą. Aż odkryła, jak przykuć się do ziemi. Mimowolnie potarła ramiona. Kątem oka dostrzegła Raya, idącego za jej plecami.

Zatrzymała się gwałtownie i mało brakowało, a

wpadłby na nią.

- Co jest? - zapytał czujnie.

- Zawsze musisz iść tak blisko? Trochę się odprężył.

- Odległość ramienia to SPO. Standardowa Procedura Operacyjna - wyjaśnił.

Doszli do jej pokoju. Odsunął ją i otworzył drzwi.

Musiała poczekać, aż wszystko sprawdzi.

Dał znak, że może wejść, irytowała ją ciągła ochrona. Jak ma dotrzeć do jadra ciemności, skoro Ray Pearce zagląda niemal w każdy zakamarek?

- Mogę iść spać?

- Najpierw kilka podstawowych zasad - oświadczył. Cisnęła wieczorową torebkę na łóżko. Lśniła na tle kremowej satyny.

- Czy ja wyglądam na dziewczynę z zasadami?

Oparł się o pozłocaną toaletkę.

- Wyglądasz na taką, która więcej gada, niż robi.

- Czasami. - Podobało jej się, że się stawia. - No dobra, wal. Co to za zasady?

- Robisz, co ci każę i nie zadajesz pytań. Nie wychodzisz z domu beze mnie.

Roześmiała się.

- Żartujesz.

Pokręcił przecząco głową. Był śmiertelnie poważny.

- Ani trochę.

- Nie zadaję pytań? Ja?

- Wiem, że to trudne, ale w sytuacji zagrożenia może uratować ci życie.

- Może i tak. Tylko że ja mam inne plany.

Natychmiast się wyprostował.

- Co to ma znaczyć?

- Nic. - Cisnęła w kąt haftowane poduszki babki i zaraz się wycofała. Nie zdradzaj za dużo, za szybko... - Nie dramatyzujmy, dobrze?

- Nie dramatyzuję. Interesuje mnie prawda. -

Spojrzał na nią znacząco. - A w tym podobno jesteś dobra.

Punkt dla niego.

- To tylko na kilka dni, tak?

- Tak. Wrócę rano. Wcześniej. Więc nie waż się wyskoczyć na kawę beze mnie.

- Nie bój się, nie wstanę o świcie. Możesz się wyspać. Skinął głową.

- Nie sypiam do południa. Będę tu, kiedy wstaniesz. I jeszcze jedno. Powiedz dziadkom, żeby włączali alarm. Będę też potrzebował kodu i kluczy do głównych drzwi.

Poszperała w torebce, znalazła klucz i mu rzuciła.

- Zrób sobie jutro duplikat. Wychodząc, zatrzaśnij

- same się zamykają.

Zanim wyszedł, jeszcze raz się odwrócił. Widać było, że ze sobą walczy, ale w końcu na nią spojrzał.

- Dzięki za pomoc. Wtedy, u mnie. Z Burkiem.

Skinęła głową.

- Nie ma sprawy.

Posłał jej długie, zamyślane spojrzenie, odwrócił się i wyszedł.

Gillian zgasiła górne światło, zostawiając lampkę przy łóżku - słabe światło nie raziło tak bardzo w oczy. Rozpięła suwak sukienki, zdjęła ją cisnęła w ten sam kąt co poduszki. Nigdy więcej nie chciała jej widzieć.

Otworzyła szufladę komody, wyjęła sprany oliwkowy T-shirt i założyła go. Trzymała u dziadków mnóstwo ciuchów ze szkolnych lat, zazwyczaj spranych i podartych, ale nadal dobrych. Nigdy nie miała kłopotów z nadwagą, a nosząc stare ciuchy, ograniczała bagaż do minimum. Mały

bagaż pozwala udawać, że podróż do domu

skończy się, zanim się na dobre zaczęła. Wślizgnęła się do łóżka, pomiędzy drogą pościel, na którą nalegała Genewa. Wyciągnęła rękę, by zgasić lampę. W żółtym świetle żarówki blizny wydawały się bardziej widoczne niż zazwyczaj. Po chwili leżała w ciemności, masując dziwaczne kształty tańczące na jej ramionach.

## Rozdział 14

Jimmy Burke był w drodze do domu, gdy policyjne radio wypuściło komunikat o zabójstwie. Jego zmiana dobiegła końca, a w domu czekały piwo i telewizja.

Zawrócił, pogrążony w myślach. Kilka minut więcej na służbie go nie zabije. Zresztą, był ciekaw.

Wariatka w muzeum to już przeszłość, a noc raczej należała do nudnych. Jeśli oczywiście nie liczyć spotkania z Rayem,

Nie, żeby wpadnięcie na byłego szwagra było na jego liście pięć-

dziesięciu najbardziej fascynujących doświadczeń.

Mógł żyć bez spotkań ze świętym Rayem, patronem mężów skorych do poświęceń.

Otrząsnął się z ponurego nastroju. Chyba jednak powinien pojechać do domu i trochę się przespać.

Tyle że wcale nie był zmęczony.

Wcześniej wpadł na kolację do Krispy Kreme, pochłonął dwa naleśniki i trzy kawy. Cukier i kofeina zrobiły swoje - był podminowany.

Zresztą nie miał specjalnej ochoty wracać do domu. Za spokojnie tam. W weekendy, kiedy przyjeżdża Scott, jest lepiej, bo sześciolatek wprowadza nie lada zamęt. Ale teraz Scott jest z matką, a mieszkanie Jimmy'ego świeci pustkami. Tak więc jechał na południe, mijając autokomis za autokomisem. Większość z nich miała hiszpańskie nazwy.

Spędził w Nashville całe życie i pamiętał czasy, gdy Nolensville Road była ulicą pełną sklepików z używanymi meblami jak Oldham, przed którymi stały materace i wisiały kołyski. Dzisiaj można by pomyśleć, że zamieszkał po drugiej stronie Rio Grande. Oldham nazywał się dzisiaj Garcia, choć materace stały nadal. Na miejscu lodziarni Dairy Queen kusilo Pollo Asado.

Dziwaczne sklepy spożywcze zachęcały do kupowania pan dulce i meksykańskiego piwa. Po obu stronach ulicy na klientów czekały nie bary, a taquerías. Czuł się z tym wszystkim nieswojo.

- Jimmy, twój problem polega na tym, że nie lubisz zmian. - W uszach rozbrzmiał mu głos byłej żony. Pewnie powtarzała to, co usłyszała w telewizji. - Ale musisz się do nich przyzwyczaić, bo życie idzie naprzód.

Nie grzeszyła inteligencją, ale akurat pod tym względem miała rację. Nawet na budynku H&R Block widniał napis: „*Se habla español*”\*.

Jimmy wjechał na zastawiony radiowozami asfaltowy plac, szumnie nazwany parkingiem. Odcięto całą przecznicę w okolicy budynku.

Mundurowi pilnowali, by do miejsca zbrodni nie zbliżał się nikt postronny.

Jimmy pochylił się, przeszedł pod żółtą taśmą i skinął głową do policjanta przy drzwiach.

- Cześć, Shelby, kim jest denat? - Przez

przeszkłone drzwi widział policjantów wewnątrz budynku. Notowali coś, oglądali ściany i znowu coś zapisywali. Analizowali ułożenie ciała.

- Kobieta, po czterdziestce. Dwie rany kłute.

Ciekawe.

- Kto przyjął zgłoszenie?

- Mills.

Mundurowy go przepuścił. Zanim Jimmy wszedł do budynku, włożył na nogi papierowe ochraniacze.

Wewnątrz zobaczył biurka, odsunięte pod ściany.

Na środku pomieszczenia leżała kobieta w

spódniczce w szkocką kratę i białej bluzce,

poplamionej krwią z trzech ran kłutych. Leżała

spokojnie, z zamkniętymi oczami. Nóż znajdował

się tuż w zasięgu jej wyciągniętej ręki.

- Hej, Burke! - Mills pomachał do niego. - Co tu robisz?

- W drodze do domu usłyszałem wezwanie.

Pomyślałem, że tu zajrzę. - Spojrzał na zwłoki. -

Napad rabunkowy?

- Nie, chyba że ktoś się połasił na PIT-y.

Burke dokładniej obejrzał ciało. Suwak spódnicy był rozpięty,

- Gwałt?

- Nie wiemy, koroner jeszcze jej nie widział. Może.

\* *Se habla español* (hiszp.) - mówimy po hiszpańsku (przyp. red.).

Burke rozejrzał się po miejscu zbrodni. W rogu pokoju kulił się wymuskany mężczyzna w garniturze. Tylko zgarbione plecy i twarz ukryta w dłoniach zaradzały, w jakim jest stanie. Burke wskazał go głową.

- Kto to?

- Niejaki Neeley, szef ofiary. To on ją znalazł.



Burke wiedział, że najczęściej morderca jest znajomym ofiary.

- Ma alibi?

- Powiedzmy. - Mills przekartkował notatnik. - Ofiara była tu, gdy wychodził koło siódmej. Zajrzał do baru na żeberka i sałatkę. Wrócił do domu o ósmej. Zjadł kolację z żoną i dziećmi. Spał w domu.

- Ustaliliście czas zgonu?

- Mniej więcej. Dziesiąta, jedenasta wieczorem.

Burke znowu spojrzął na ciało.

- Już to widziałem. Mills się roześmiał.

- Co, zwłoki?

- Te zwłoki.

- Spadaj, Burke. Jesteś przemęczony.

- Nie, tu jest coś... - Zamyślił się i rozejrzał po pokoju. Jego uwagę przykuł drobiazg na biurku. Wskazał go palcem.

- Co to jest?

- Pojemnik na ciastka w kształcie Kubusia Puchatka. Morderca ustawił go w stojaku na rośliny, przy ciele. - Mills pokręcił głową, - Mamy do czynienia z niezłym świrem.

Burk podszedł bliżej. Nie dotykał słoja. Nie musiał.

Benton James wygładził pierwszą stronę porannego wydania „Przeglądu Tennessee” i podziwiał swoje dzieło. Nagłówek głosił: „Pani śmierci w opałach”. Jego tekst znalazł się na pierwszej stronie, tuż pod tytułem gazety. Redakcja świeciła pustkami i tak miało być aż do południa. Gdyby miał trochę oleju w głowie, sam jeszcze by spał. Nie mógł się jednak powstrzymać. Musiał przyjść tu z samego rana i się nacieszyć. Przecież spędził nad tym tekstem pół nocy. Larson, redaktor nocnej zmiany, chciał ściągnąć reportera

od spraw kryminalnych, ale Benton był na miejscu. I widział wszystko na własne oczy.

Benton rozkoszował się swoją rolą arbitra dobrego smaku w Nash-ville, ale smutna prawda była taka, że nie było zbyt wiele sztuki do krytykowania. Operę wystawiano tu raz do roku.

Czasem trafił się koncert symfoniczny, przedstawienie amatorskiego teatru albo trupy objazdowej. Galerii sztuki było jak na lekarstwo. Miał co robić, ale brakowało mu poczucia, że sztuka, którą się zajmuje, ma znaczenie.

„Z drugiej strony, mój drogi - szeptał głos w jego głowie - gdzie może znaczyć więcej niż tutaj, gdzie jest jej tak mało?”

Diabeł również nie dawał za wygraną:

„Owszem, ale czy nie byłoby cudownie rozwinąć skrzydła?”

Benton wygładził wąsy i stłumił śmiech, gdy czytał swój wczorajszy tekst. Światowej sławy artystka, zaatakowana we własnym mieście. Protesty.

Przemoc. Boże, ale gratka! Może, jeśli los się do niego uśmiechnie, tematem zainteresują się gazety o zasięgu ogólnokrajowym. Może przedrukują to w „New York Timesie”.

I wtedy roześmiał się na głos. Jego śmiech niósł się echem po pustym newsroomie. Jest dobry, na Boga, jest naprawdę dobry.

Włączył komputer i zalogował się. Czekał, aż maszyna się włączy, zadumał się nad tytułem. Redaktor nocnej zmiany chciał dać coś prostego, jak Atak na artystkę, ale Benton namówił go na bardziej skandalizujący tytuł.

Rozmyślając o ich wczorajszej dyskusji, sprawdził pocztę elektroniczną. Przebiegł wzrokiem listę: nieważne, nieważne, później, nieważne... Nagle

znieruchomiał. Temat ostatniej wiadomości brzmiał: Coś ciekawego. Nadawcą był MAPulley@hrblock.com. Kim do licha jest MAPulley? Chciał wykasować wiadomość, ale ciekawość zwyciężyła. Otworzył ją. Zawierała tylko zdjęcie. Czekał, aż się załaduje, ale do razu ją rozpoznał. Była to fotografia Gillian Gray, którą wczoraj zalano krwią. Phi! I po co mu to? Gdy zamykał wiadomość, coś przykuło jego uwagę. Ponownie otworzył zdjęcie. Jęknął głośno. Martwa dziewczyna na zdjęciu wcale nie była dziewczyną. I z pewnością nie była to Gillian Gray.

## Rozdział 15

Po awanturze w muzeum Gillian myliła się, sądząc, że będzie spała do południa. Gdy się obudziła, słońce stało jeszcze nisko na błękitnym niebie, a aparat fotograficzny przyciągał ją z magnetyczną siłą. Ubrała się pospiesznie, porwała torbę ze sprzętem i założyła aparat na szyję.

Miała go od siedemnastego roku życia. Był to jej pierwszy aparat. Teraz zupełny zabytek, miał już dwadzieścia lat, gdy dał go jej nauczyciel plastyki. Nigdy nie zapomni pierwszego spojrzenia przez wizjer. Tego, jak obejmował wycinek świata, bliższy niż wszystko pozostałe, a zarazem dalszy, bo dzielił go od niej obiektów. Wyznaczał granicę, za którą czuła się bezpieczna. Za którą mogła

podzielić świat na nieskończenie wiele kawałków. Mogła kreślić własne granice, tworzyć prywatne światy, w których to ona i tylko ona sprawowała kontrolę.

Powietrze na zewnątrz pachniało świeżością. Poszła na północny kraniec posiadłości, gdzie potężne drzewa otaczały niewielką łączkę. Zazwyczaj nie interesowały ją krajobrazy, ale uwiodło ją poranne światło. Kadrując zdjęcie, zastanawiała się, jak wyglądałyby zwłoki wśród tych kwiatów. Drobna, chuda dziewczynka, zwisająca z drzewa. Bosa, ze związanymi rękami i przetrąconym karkiem.

Zagubiona w wizjach, tych realnych i tych fantastycznych, nie słyszała Jak podszedł.

- Zdaje się, że mówiłem, że masz beze mnie nigdzie nie wychodzić.

Męski głos zakłócił ciszę polany. Odwróciła się i zobaczyła Raya Pearce'a. Zapomniała już, jaki jest wielki, jakie ma szerokie ramiona. Wydawał się niemal toporny na tle miękkich pąków i liści. W ciemnym garniturze, pod krawatem, sprawiał wrażenie silnego, kompetentnego i obcego. Agent Smith wśród kwiatów.

Zatrzymał się kilka metrów od niej, jakby wiedział, że pracuje i chciał to uszanować. Gałązki różowych kwiatów muskały jego ramiona niczym macki.

Uniosła aparat, ręcznie ustawiając ostrość.

Nacisnęła spust i zdjęcie trafiło na kliszę. Zmieniła pozycję, by uchwycić ujęcie pod innym kątem.

- Mówiłaś, że nie wstajesz o świcie.

- Sama się tym dziwiłam. Ale przecież nigdzie nie poszłam. - Ponownie uniosła aparat, znalazła nowe ujęcie. Ray dwoma krokami pokonał dzielącą ich odległość.

- Wyszłaś z domu. - Delikatnie odepchnął aparat.

- Nie lubisz, kiedy ci się robi zdjęcia?  
- Nie jestem tu jako model.  
- To ty tak twierdzisz. - Dała mu spokój i ponownie skupiła się na roślinności. Przez moment powrócił do niej koszmar poprzedniej nocy: zimna krew, ucisk w żebrach, gdy Ray przykrył ją swoim ciałem, lodowata i twarda, kamienna podłoga. - Ale Ruth jest za kratkami, a Mat-thew Dobie, na razie, nie czyha za bramą.  
- Za to trafił do mediów.  
- Tak? - Puściła aparat, tak że zawisł na pasku między jej piersiami. Rzadko oglądała wiadomości.  
- Był w programie Marta Lauera.  
Przeszył ją dreszcz. Zaciśnęła dłonie na aparacie, jakby był jej ostoją na wzburzonym morzu. Ale informacje o zasięgu ogólnokrajowym to dobry znak, prawda? Może on to usłyszy. Może po nią przyjdzie.  
- Nic na to nie poradzę - odparła. Usiłowała zachować spokój, ale nie do końca jej się to udało.  
- Następnym razem zostań w domu, dopóki po ciebie nie przyjdę.  
- Dobrze, już dobrze. - Nie wiedziała, co denerwuje ją bardziej, jego obecność czy fakt, że jest niezbędna.  
Uniósł ręce w pojednawczym geście.  
- Nie zabijaj posłańca.  
- W porządku. Stań z boku, bo zasłaniasz mi światło.  
Przez następną godzinę nie dostrzegała niczego poza polaną i jej mieszkańcami. Ray obserwował ją przy pracy. Blond urwis w starych dżinsach z dziurami na kolanach, w czarnym postrzępionym T-shircie i poplamioną bluzą przewiazaną w pasie. Bogate biedactwo.  
Nie wyglądało jednak na to, że ją to obchodzi.

Fotografowała drzewa, wyginając się dziwnie, by uchwycić odpowiedni kąt widzenia. Czasami kładła się na mokrej ziemi lub kucała, żeby sfotografować coś, co dla niego wyglądało jak chwasty.

Podobało mu się, że praca tak ją pochłania. Sam przeżywał podobne momenty na lodzie, chwile czystej koncentracji, gdy kij niemal zrastał się z jego ramieniem, łącząc się z krążkiem niewidzialną nicią.

Teraz też mocno się koncentrował, wyostrzał zmysły, zmusił się, by zachować najwyższą czujność. Nie upilnuje jej jednak, mając dokoła szmat otwartej przestrzeni. Do tego potrzeba co najmniej trzech ludzi, a Chip Gray, dobrze znając granice cierpliwości wnuczki, zdecydował się tylko na jego jednego. Zdaniem Raya i tak przesadzał. Choć wczorajsza napaść była przykra, jej celem było upokorzenie, a nie skrzywdzenie. Z drugiej strony, wszystko jest możliwe. Na wszelki wypadek czujnie rozglądał się dokoła.

W pracy ochroniarza najważniejszy jest zdrowy rozsądek. Klient powinien przebywać z dala od tłumu, w ograniczonej, możliwej do skontrolowania przestrzeni. Kontrolujesz otoczenie - zmniejszasz ryzyko. Niestety, nie sposób trzymać klienta w zamknięciu. Musi żyć i pracować. Tylko nieliczni godzą się na poważne ustępstwa, o ile ich życie nie jest bezpośrednio zagrożone. A w tym wypadku nie było o tym mowy.

Stali więc tam, na dworze - drobniutka, krucha blondynka, która świetnie umiała się o siebie zatroszczyć, i on, wielki, potężny, chroniący ją przed drzewami.

Śmiechu warte.

Nagle ciszę przerwał odgłos kroków.

Puls Raya błyskawicznie przyspieszył. Gillian, pochylona, celowała obiektywem w splątane gałęzie na tle nieba. Jednym susem doskoczył do niej i pociągnął ją do góry.

Zachwiała się i pisnęła, zaskoczona.

- Cicho. - Rozglądał się gorączkowo. Nie mieli gdzie się ukryć, byli odkryci z każdej strony. W końcu pchnął ją na drzewo i zasłonił sobą.

Powierciła się pod nim.

- Co jest?

- Gillian! - zawołał ktoś z oddali. - Gillian, gdzie jesteś? Kobieta.

- To Maddie. - Gillian szturchnęła go w plecy. -

Puść mnie, to Maddie!

Maddie Crane wybiegła z zagajnika z rozwianymi ciemnymi włosami, w czarnej bluzce i spodniach. Wyglądała jak czarownica.

- O co chodzi? - zapytał.

Za jego plecami Gillian szamotała się coraz gwałtowniej, tak że z trudnością ją trzymał. Coś przeraziło Maddie, a on nie zamierzał puścić Gillian, dopóki się nie dowie, co.

- Co się stało?

Maddie pochyliła się i oparła ręce na kolanach. Dyszała głośno.

- Nie żyje - wysapała w końcu. - Ktoś nie żyje.

## Rozdział 16

To podróbka - stwierdziła Maddie, patrząc na

zdjęcie, które detektyw Burkę położył na marmurowym stoliku w ogromnym salonie Grayów. Maddie pochyliła się nad fotografią. Dotknęła jej długim paznokciem, pomalowanym ciemnofioletowym lakierem. Zdjęcie się przekrzywiło. Cofnęła się, studiując je jak owada pod lupą.

W wychodzącym na wschód oknie wisiały jedwabne zasłony. Ich ciepły brzoskwinowy kolor rozpraszał blask porannego słońca. Ciemna sylwetka Raya odcinała się na tle okna. Genevra Gray, blada i spięta, przycupnęła w kremowym fotelu. Chuda szyja i szpiczasty podbródek upodabniały ją do kurczaka prowadzonego na rzeź. Wrażenie potęgowało spojrzenie - zrezygnowane, a zarazem bojowe.

Nie patrzyła na zdjęcie, które leżało na stoliku jak odbezpieczony granat, tylko wpatrywała się w detektywa Burke'a.

- To nie jest fotografia Gillian - orzekła Maddie. Burke skinął głową.

- Wiem. Wyretuszowano ją w Photoshopie. - Zmarszczył brwi, jakby chciał dać do zrozumienia, że będzie dążył do rozwiązania tej sprawy bez względu na czas i koszty. Ray spojrzał na pobladłe twarze dokoła stołu. Wyczuł ich rezerwę i modlił się, by Jimmy także to zauważył i postępował ostrożnie. Ale były szwagier zawsze zostawiał takie niuanse Rayowi. - Za to ciało jest prawdziwe - dodał Burkę.

Wymienili z Rayem spojrzenia. Burkę zdawał się pytać: „Co to za ludzie, do cholery?” Ray bez słów zaklinał go, by działał powoli. Znajoma chwila. I bardzo niezręczna. Ray odwrócił wzrok. Jimmy podsunął zdjęcie Gillian.

- Poznaje ją pani?



Gillian zerknęła na fotografię. Zobaczyła postać, która powinna być nią. Zawsze nią.

- Panno Gray? - Burke się niecierpliwił. - Czy rozpoznaje pani tę kobietę?

- Skąd - prychnęła Maddie. Burke posłał jej ostre spojrzenie.

- Panna Gray może mówić za siebie. Jest dorosła. - Przeniósł wzrok

na Gillian. - Panno Gray?

Gillian zacisnęła pięści. Jak on śmie? Nie ma prawa kraść jej losu. Nie ma prawa... Nie mogła oddychać. Jezu! Nie żyje. Ktoś inny nie żyje.

- Czy rozpoznaje ją pani? - powtórzył Burke.

Ray obserwował grę uczuć na twarzy Gillian.

Panna Mądralińska umilkła, przytłoczona szokiem, gniewem, żalem. Wyglądała, jakby nie była w stanie odpowiedzieć. Rayowi przypomniała się tamta chwila w muzeum. Chwila, gdy usłyszał w głowie dzwonek alarmowy. Gdy spojrzał w jej oczy i pod rezolucją dostrzegł rozpacz, gdy chciał ją ukoić niemal tak bardzo, jak chciał uciec.

Ale nie uciekł. Połknął przynętę. Jak zawsze.

Podszedł do jej krzesła. Kucnął.

- Posłuchaj, mała - zaczął cicho. Począł, aż jej wzrok skoncentruje się na nim. - Musisz nam pomóc. - Nie obchodzi go, że nie ma już „ich”, tylko Jimmy. Jego zadaniem nie jest już łapanie przestępców. Ale ze względu na stare dobre czasy... - Odpowiadaj tylko „tak” albo „nie”, Zawsze go dziwiło, jak wszyscy, nawet najwięksi twardziele, reagowali na ciepłe słowa. Gillian nie stanowiła wyjątku. Zamrugła szybko i ponownie złapała oddech.

- Nie - odparła. - Nie znam jej.

- Dobra. - Ray spojrzał na Burke'a. - Kto to jest? Burke go zignorował.

- Jest pani pewna? - Patrzył na Gillian. Milczała.
- Czy jest pani pewna? Ray wstał, zasłaniając ją sobą.
- Tak, jest pewna - powiedziała.
- Odczep się, Ray. Nie jesteś gliniarzem - warknął Burke. Ray puścił to mimo uszu, ale nie drgnął z miejsca. Jimmy zwrócił się do starszej pani.
- A pani, pani Gray?  
Babka Gillian energicznie pokręciła głową.
- Nigdy w życiu jej nie widziałam. - Wstała na znak, że uważa przesłuchanie za zakończone. - Jeśli to wszystko...  
Ale Jimmy nie dał się łatwo zbyć. Dawno temu, zanim awansował na detektywa, grywał z Rayem, swoim ojcem i chłopakami ze zmiany w bilard. Nie odpuścił, dopóki chociaż raz nie wygrał z Rayem. Czasami Ray ogłaszał, że idzie do domu, tylko po to, by obserwować, jak Jimmy błaga go o jeszcze jedną partyjkę. I przeważnie zostawał. Młodszy Burke był o sześć lat starszy i miał dłuższy staż w policji, a co ważniejsze, Ray niechętnie sprawiał mu zawód. Teraz Jimmy patrzył to na Genevrę, to na Maddie. W końcu spojrzął na Gillian.
- Panno Gray, kto prowadzi pani księgowość?  
Absurdalność tego pytania zaskoczyła zarówno Gillian, jak i Raya.
- Słucham?
- Księgowość. Podatki. Płaci je pani, prawda?
- Sprawy finansowe mojej wnuczki reguluje firma rodzinna. Mogę panu podać nazwę - wtrąciła się Genevra.
- Słyszała pani o H&R Block?
- Nie — zapewniła Genevra. - Mamy fundusze powiernicze. Odziedziczone majątki, to

skomplikowana sprawa.

- A mówi coś pani nazwisko Margaret Ann Pulley?

- Nie - odparła Genevra.

- Panno Gray. - Burke nie dawał za wygraną.

- Nie - odparła Gillian. - Bardzo mi przykro, ale nie.

Chwilę ciszy przerwało trzaśnięcie drzwi i głos Chipa Graya dochodzący z głębi domu.

- Gennie! Co tu się dzieje, do cholery? Mówiłem, żebyś nie...-

Wpadł do pokoju czerwony na twarzy. Zobaczył Burke'a. - Obiecaliśmy przecież, że przyjedziemy na posterunek i tam podpiszemy zeznania. Nie musiał pan tu przyjeżdżać.

- Nie chodzi o muzeum - wyjaśnił Ray. Chip spojrzał na niego zdumiony.

- Więc o co?

Maddie bez słowa podała mu zdjęcie.

- Co to jest? - Spojrzał na fotografię. Pobladł. - Przecież to nie...

- Nie, proszę pana - potwierdził Burke. - To nie pańska wnuczka. To prawdziwe zwłoki. Prawdziwe morderstwo.

Chip wbił w niego wzrok.

- O Boże. - Opadł na kanapę.

- Może whisky? - rzuciła Maddie.

- Właśnie. - Gillian podniosła głowę. - Może wszyscy się upijemy?

- Nie ma nawet dwunastej - zachnęła się Genevra.

- Na miłość boską, ona nie mówi poważnie - sapnął Chip. - Nigdy

tego nie zrozumiesz?

- Przepraszam bardzo, czy rozpoznaje pan tę kobietę? - zaczął Burk. Powtórzył wszystkie pytania, ale Chip odpowiadał tak samo, jak żona. Nie, nie rozpoznał ofiary, nigdy nie korzystał z

usług H&R Block, nie znał żadnej Margaret Ann Pulley.

- To wszystko? - zapytał w końcu. - Jeśli tak, Bertha odprowadzi pana do drzwi. - Oddał Jimmy'emu fotografię.

- Na razie to wszystko - odparł Burke. - Ale proszę nie wyjeżdżać z miasta, panno Gray. Możemy mieć więcej pytań.

To zdenerwowało Chipa nie na żarty. Wstał i wyciągnął z kieszeni portfel.

- Jeśli chce pan z nami rozmawiać, proszę się porozumieć z naszym prawnikiem. - Nabazgrał coś na wizytówce. - Ustalcie panowie spotkanie na neutralnym gruncie. - Wyciągnął kartonik do Burke'a, ale ten się cofnął.

- Nie ma sensu angażować w to prawników. Chip wsunął mu wizytówkę do kieszonki na piersi.

- W tym domu policjanci bywali aż za często.

Wszyscy wiemy, jak pracujecie. - Wyprowadził Burke'a z salonu. - Wy pytacie, my odpowiadamy.

I tak w kółko. A na koniec nic z tego nie wynika.

Gillian odprowadzała policjanta wzrokiem.

Dlaczego nie zabierze ze sobą oparów strachu, które przyniósł? Burke obrócił się w drzwiach.

- Ta kobieta na zdjęciach - powiedział do Gillian - to pani, prawda? Pani jest ofiarą na wszystkich pani fotografiach?

Skinęła głową.

- Na pani miejscu zachowałbym ostrożność. Śmiało wytrzymała jego wzrok.

- Co pan opowiada? - warknął Chip.

- Niewykluczone, że to morderstwo nie miało wiele wspólnego z ofiarą - wyjaśnił Ray. - Za to wiele z tym, kim miała być.

Spojrzenia wszystkich powędrowały ku Gillian, która wstała, podeszła od okna i w obronnym

geście skrzyżowała ręce na piersi. Patrzyła na taras, upstrzony doniczkami bratków: żółtych, białych i fioletowych.

Za jej plecami Genevra westchnęła ciężko.

- Chce pan powiedzieć, że mojej wnuczce grozi jeszcze większe niebezpieczeństwo?

Słyszała ciężkie kroki dziadka, gdy szedł przez pokój do babki.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił żonę. - Naprawdę.

- Nie traktuj mnie jak dziecko! - zachnęła się Genevra. - To chce pan powiedzieć? Że moja wnuczka może być kolejnym celem tego... tego...?

- Słowo morderca nie przeszło jej przez gardło. Burke ją wyręczył.

- Morderca nie ułożył ciała w ten sposób przypadkowo. Odtworzył fotografię Gillian w konkretnym celu. Może ćwiczy.

- Ćwiczy?

- Przed głównym występem. Kolejny stłumiony krzyk.

- Naprawdę powinien pan już iść. - Oto Chip, władczy i zdecydowany.

Ale Burke niełatwo się poddawał.

- Panno Gray, czy przychodzi pani na myśl ktoś, kto chciałby zrobić pani krzywdę?

- Matthew Dobie i jego kumple - podsunął Ray.

- Sprawdzamy to. Ktoś jeszcze?

Gillian pokręciła przecząco głową, wpatrzona w słońce za oknem. Nie moim powiedzieć prawdy. Nie przy babci, która od lat nie chce z nią rozawiać. O niczym. Nie przy niskim, krępyim detektywie, którego in-teresuje tylko to, co namacalne.

Jak ma im wyznać, że jest ktoś, kto chce ją skrzywdzić? Potwór z dzieciństwa. Koszmar spod

łóżka. Z szary. On istnieje naprawdę. I czyha na nią. Zbliża się.

## Rozdział 17

Wiadomość o morderstwie Margaret Pulley rozeszła się lotem błyskawicy. Matthew Dobie pojawił się w trzech najważniejszych stacjach telewizyjnych, a także w programie kablowym. Rozmowę z nim emitowano w głównym wydaniu wiadomości o siedemnastej. Will Davenport oglądał informacje w swoim gabinecie na trzecim piętrze Muzeum Graya. Czuł, jak żołądek zaciska mu się w supeł.

- Właśnie o to mi chodzi - mówił Dobie spokojnym, modulowanym głosem. Po latach pracy w radiu jego głos był naturalnie ciepły i zatroskany, ale Will wyczuwał w nim także pychę.

- Panna Gray i jej tak zwana sztuka prowokują przemoc, której artystka rzekomo chce przeciwdziałać.

Siedział w studiu telewizyjnym, na błękitnym tle. Na ekranie pojawiła się Kuchnia na przedmieściu, odczytano oświadczenie Gillian. Ponowny najazd na dziennikarza.

- W swoim oświadczeniu panna Gray odcina się od wszelkich związków z ostatnią tragedią.

Dobie pokręcił ze smutkiem głową.

- Może się odcinać, ile chce, ale prawda jest oczywista.

- Ale czy obowiązkiem artysty nie jest przekraczanie granic? Prowokowanie? Obrażanie?

- W teorii może i tak. Ale rzeczywistość jest taka, że zginęła kobieta. Nie sposób temu zaprzeczyć. Davenport wyłączył telewizor. Jakby tego było mało, w „Przeglądzie Tennessee” nagłówek Bentona zajmował pół strony. Całe szczęście, że wczoraj w muzeum nikt nie zginął. Zresztą tego szmatławca i tak nikt już nie czyta. A teraz to... o morderstwie mówiono we wszystkich programach telewizyjnych.

Rozmawiał już z dwoma członkami zarządu. Dwaj inni, którzy zazwyczaj byli chętni do kontaktów, nie odbierali telefonów, nagle mieli mnóstwo spotkań. A jeszcze nawet nie otworzyli wystawy. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Matthew Dobie i jego ludzie nadal koczowali pod budynkiem. Will postanowił wzmocnić ochronę przed jutrzejszym otwarciem. Każdy, kto zechce wejść do muzeum, będzie musiał przejść przez ucho igielne.

Zaklął w myślach. Co tam jutro. Co będzie za tydzień, za miesiąc? Wystawa rocznicowa miała być początkiem szumnej akcji promocyjnej, Jak na razie zapowiadało się, że budżet na przyszły rok będzie równie martwy jak kobieta na zdjęciu.

Pukanie do drzwi.

- Mogę?

Do pokoju weszła Stephanie Bower, główny kurator muzeum, niska, krępa kobieta o gęstych jasnych włosach i szerokiej twarzy.

- Jak się trzymasz? Wzruszył ramionami.

- Bywało lepiej.

- No tak.

Przez kilka minut siedzieli w głuchym milczeniu, wpatrując się w swoje dłonie.

Ciszę przerwał Will.

- Myślisz, że powinniśmy odwołać wystawę?

Zaskoczona Stephanie podniosła głowę.

- Nawet jej jeszcze nie otworzyliśmy.

Na pierwszy rzut oka Will Davenport wyglądał na gapę w grubych okularach, ale ledwie otwierał usta, wrażenie to zniknęło bez śladu. Studiował w najlepszych szkołach na Południu. Licencjat zrobił w College'u Davidsona, magisterkę - na Uniwersytecie Vanderbilta.

Nie był głupi. Uczył się w elitarnym liceum, karierę zaczynał w biurze Lamara Alexandra, gdy ten był jeszcze gubernatorem, a teraz, gdy Alexander trafił do Waszyngtonu, utrzymywał z nim przyjacielskie kontakty. Miał znajomości w całym mieście i wykorzystywał je jako dyrektor muzeum.

Nashville było małym miastem i dobre imię oraz przyszłość Willa były nierozdzielnie związane z sukcesem muzeum. Dlatego głównym motorem jego działań były obawy - a tych miał teraz niemało.

- Takie rzeczy już się zdarzały - zauważył.

- Nie w przypadku instytucji tak nowej jak my.

- Lepiej odwołać wystawę niż stracić miejscowych sponsorów.

- Przecież wiesz, że do tego nie dojdzie. Will pokręcił ponuro głową.

- Sprawa trafiła do ogólnokrajowych mediów.

Nashville zazwyczaj nie widać w kanale CNN.

- Wiem.

Przyszłość Stephanie także stała pod znakiem zapytania. W końcu to ona wpadła na pomysł, by sprowadzić do Nashville Gillian Gray i uczynić z jej prac główną atrakcję rocznicowych obchodów.



Zbyła obawy Willa i wmówiła sobie, że brak entuzjazmu ze strony Grayów to zwykła skromność. Parła do przodu, przekonana, że miasto powita swoją córę z otwartymi ramionami, bez względu na kontrowersje w jej prywatnym i artystycznym życiorysie - niewyjaśnione morderstwo jej matki, leżące u podstaw jej pracy, a nawet oddziaływanie jej dzieł, które zmuszały ludzi do konfrontacji z wszechobecną przemocą. Mało kto chętnie przegląda się w takim zwierciadle.

Sama myśl o odwołaniu wystawy zapierała Stephanie dech w piersi. W jej świecie to najgorsze przestępstwo. Ci, którzy uginali się przed cenzurą, ściągali na siebie ostracyzm i potępienie. Nie chciała na zawsze zostać w Nashville. Podobało jej się tutaj i była wdzięczna za posadę w Centrum Sztuk Plastycznych Graya, ale czasami brakowało jej porządnej włoskiej kuchni, prawdziwego teatru, szumu morza i niedzielnych atrakcji, innych niż msza.

Dlatego nie odwołają wystawy. Nie wpisze tego do swojego CV.

- Posłuchaj, śmierć tej kobiety to nie nasza wina.

Ani wina Gillian Gray. To przykra sprawa, lecz może zadziałać na naszą korzyść. - Pochyliła się lekko, przekonując zarówno jego, jak i siebie.

- To okropne, co mówisz - mruknął Will.

- Ale prawdziwe. Im więcej osób usłyszy o wystawie, tym więcej sprzedamy biletów. To koszmar. Jak seks we wraku pociągu.

- Nie chcę, by wrakiem okazało się nasze muzeum. Skrzywiła się.

- Ja też nie. Więcej wiary. Kto wie? Może policjanci złapią mordercę przed otwarciem i sprawa

ucichnie.

Will opadł na fotel.

- Żyjmy nadzieją.

Gillian wpatrywała się w lustro w łazience. Zaszło parą, bo przed chwilą brała prysznic. Z trudem dostrzegała w nim zarys twarzy. Wiedziała, że to jej twarz, ale nie mogła jej zobaczyć. Czy to ważne? Pomyślała o twarzy Margaret Ann Pulley. Czy to ważne, czyja twarz wieńczy dzieło śmierci na kuchennej podłodze?

Po jej policzku spłynęła łza. Starła ją szybko.

Gwałtownym ruchem otworzyła wiszącą szafkę i zajrzała do środka. Pasta i szczoteczka do zębów, dezodorant, wszystko nowiutkie, świeżo kupione na jej przyjazd. Genevra zawsze wyrzucała to co stare i zastępowała nowym.

Szperała w szafce, myśląc o mężczyźnie za zamkniętymi drzwiami. Ubrany, siedzi tam i czeka, aż Gillian wyjdzie. Wyjść nago? Pokazać mu się w pełnej krasie?

Gdyby to był Ray, może...

Ale to nie Ray. To ktoś, kogo Ray wyznaczył, by siedział pod jej drzwiami, podczas gdy on z dziadkiem, Carlsonem i ekipą ekspertów do spraw bezpieczeństwa konferowali na dole. Zajmowali się, jak to określił Carlson, oceną zagrożenia, czyli deptali trawniki i zaglądali do wszystkich zakamarków i szaf.

Zamknęła szafkę z kosmetykami. Przez chwilę myślała o tym, co chce zrobić. A potem to zrobiła. Tuż nad szafką był obluźowany kafel. Obmacała go i delikatnie wyjęła, odsłaniając niewielką wnękę. Przed laty ukryła tam małe nożyczki do manikiuru. Wyjęła je i utkwiała wzrok w ostrych krawędziach. Nie wiedziała, dlaczego nie wyrzuciła ich przed

laty. Czyżby przewidywała, że nadejdzie chwila taka jak ta? Że dziesięć lat po tym, jak przestała się okaleczać, znowu zapragnie to zrobić? Zacisnęła dłonie na brzegu umywalki, czując, jak ostrze wbija się jej w dłoń. Przypomniała sobie podniecenie wywołane bólem. Satysfakcję. Ilekroć myślała, że zaraz eksploduje, wycinała na skórze kolejną linię. Krew gasiła wściekłość. Gdyby nie aparat fotograficzny, pewnie już by nie żyła. Na szczęście nauczyła się przenosić gniew na kliszę.

W jej głowie rozbrzmiewała mantra, którą pochwyciła przed laty, nie wiadomo gdzie: „To nie moja wina. To nie moja wina”.

Ale te słowa jej nie przekonywały.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z transu. Nożyczki wpadły do umywalki.

- Panno Gray? Przełknęła ślinę.

- Tak?

- Czeka ją na panią na dole.

- Zaraz przyjdę.

Spojrzała na blizny na ręce. Na ostrze lśniące w umywalce. Choć wymagało to wielkiego wysiłku woli, powoli podniosła nożyczki i odłożyła je do schowka. Drżącymi rękami wstawiła kafel na miejsce.

Potem włożyła szlafrok i poszła się ubrać.

## Rozdział 18

Ray oparł się o szafkę w jadalni i obserwował, jak Carlson dyskutuje z Chipem Grayem. Mężczyźni pochylali się nad wykresami i tabelami w jadalni rezydencji. Gdyby nie rozumiał tego już wcześniej, na pewno dotarłoby do niego, dlaczego Carlson jest właścicielem dobrze prosperującej firmy. Umiał sprzedawać swój towar.

Do pokoju weszła Gillian, bosą, w podartych dżinsach zsuniętych nisko na biodra. Popołudniowe słońce wypełniało dom ciepłem, a jednak miała koszulkę z długimi rękawami. Obcisła bluzka podkreślała jej małe, jędrne piersi i odsłaniała skraj brzucha, gdy Gillian się poruszała.

Na tle sztywnej elegancji pokoju jej niedbały strój zdawał się niemal wyzywający. Jakby mówiła: „Pieprzę was”. Minęła go, otoczona aromatem mydła i szamponu. Żadnych słodkich, dziewczęcych kwiatków - zapach był ostry, korzenny. Zmysłowy. Kolejny afront wobec dziadków. Albo wobec niego. Nieważne. Bose stopy i zapach podziały na niego. Kolejne lepkie włókna w oplatającej go sieci.

Posłała mu przenikliwe spojrzenie, jakby dokładnie wiedziała, co czuje i dlaczego, po czym podeszła cicho do dziadka, niczym tygrysyca zakradająca się do ofiary.

- Zamkniemy bramę i zainstalujemy zdalne sterowanie. Szczerze mówiąc, powinien pan to zrobić już wiele lat temu. Podłączymy system monitoringu. Do tego detektory ruchu... - Carlson pochylał się nad mapą posiadłości. - Kamery będą tu i tu. Oczywiście trzeba będzie ściąć kilka drzew, założyć podsłuch w domu, zamocować w oknach system alarmowy...

- To idiotyczne - odezwała się Gillian. - Pan proponuje trwałe zmiany. Chce pan zmienić dom w

więzienie. A jeśli złapią go dzisiaj? Wszystko pójdzie na marne.

Chip wyprostował się gwałtownie.

- Tu chodzi o twoje bezpieczeństwo. Nie zdamy się na policję.

- Przecież nie włączacie nawet alarmu, który macie. Chip poczerwieniał z oburzenia.

- To się zmieni.

- Chciałam tylko powiedzieć, że to wszystko - Gillian wskazała stosy papierów Carlsona - jest niepotrzebne.

Miała rację. I choć Carlson już się ślinił na myśl o tym zleceniu, Ray wypowiedział swoje zdanie na głos:

- Jest łatwe rozwiązanie. - Z obojętną miną spojrzał jej prosto w oczy. - Wsiadaj w samolot i wracaj do Nowego Jorku.

Zadarła podbródek. - Policja mi zabroniła.

Skrzyżował ręce na piersi. Wzruszył ramionami.

- Do diabła z policją. Mogą mówić co chcą, ale nie mogą cię tu zatrzymać.

W jej oczach błysnęła determinacja. Właśnie, do diabła z policją. Ona chce tu zostać.

Zanim zdążył wybadać, dlaczego, Chip zbył go machnięciem reki.

- Nie chcemy, żeby wyjechała, to jasne. Morderca mógłby pojechać za nią. Tutaj przynajmniej mamy ją na oku.

- A w takiej sytuacji proponowane przez nas środki ostrożności są niezbędne - Carlson wpadł mu w słowo. - I oczywiście co najmniej dwóch ludzi do osobistej ochrony. Czterech, jeśli pana na to stać.

- Nie będę ciągała za sobą czterech goryli - oznajmiła Gillian Carlsonowi. Przeniosła wzrok na dziadka. - A ty nie zetniesz drzew i nie zainstalujesz kamer. Nie zgodzę się na to.

- Nie masz tu nic do gadania - stwierdził Chip. -  
Twoja babka...

- Będzie kłębkiem nerwów bez względu na to, co  
zrobisz.

- Gillian, nie będę z tobą dyskutował...

- Ale nie możesz mnie zmusić, żebym...

- Mam inny pomysł - wtrącił się Ray. Chip i Gillian  
umilkli. Ode-

rwał się od ściany i spojrzał na szefa, świadomy,  
że psuje mu fantastyczną transakcję. - Możemy  
umieścić ją w hotelu. Mała przestrzeń, łatwa do  
nadzoru. Policjant na straży. Jeden ochroniarz w  
środku i podczas  
podróży.

Było to rozwiązanie tyleż proste, co przebiegłe.

- Wolelibyśmy, żeby została w domu - jęknął Chip.

Ray spojrzał mu w oczy i po raz pierwszy zobaczył,  
jakie są wyblakłe. Dostrzegł w nich strach i ból.

Zauważył ledwie widoczne drżenie  
ust.

- Gdzie indziej będzie bezpieczniejsza - wyjaśnił  
miętko. - Wszyscy wiedzą, że państwo tu  
mieszkacie. Nawet gdybyśmy dzisiaj zaczęli  
wprowadzać zabezpieczenia, zajmie nam to prawie  
tydzień. W tym czasie pana wnuczce może się coś  
stać.

Chip opadł na fotel i skinął głową.

- Proszę naprawić bramę i włączyć alarm, dopóki  
nie zainstalujemy nowocześniejszego sprzętu -

ciągnął Ray. - Zostaną tu nasi ludzie. Dwóch w  
samochodzie. Będą mieć wszystko na oku.

Chip z westchnieniem pokręcił głową.

- Sam nie wiem...

- To na wszelki wypadek - zapewnił Ray. - Będą  
się trzymali z daleka. Nie zakłócą państwu  
spokoju.

Gillian pogłaskała dziadka po ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze.
- Powiedz to babce.

Ray zameldował ich w hotelu Lowe, naprzeciwko Uniwersytetu Vanderbilta. Hotel znajdował się w połowie drogi między Belle Meade a centrum miasta, w strefie natężonego ruchu ulicznego. Bez problemu dostali dwupokojowy apartament połączony z dodatkowym pokojem dla niego. Zrobił rezerwację na swoje nazwisko, zapłacił własną kartą kredytową. Jednym z dziesięciu przykazań skutecznej ochrony jest nie-ujawnianie miejsca pobytu klienta.

Zostawił Carlsona na straży w rezydencji, a sam pojechał do domu po rzeczy. Potem zameldował się w hotelu. Dwadzieścia minut później wrócił z kluczami. Carlson odjechał.

Gillian i Maddie pakowały się na górze. Czy raczej Gillian stała przy oknie, ponuro wpatrzona w krajobraz, a Maddie wrzucała ciuchy do sfatygowanej torby podróżnej.

- Nie masz tu ani jednej niepodziurawionej rzeczy
- zauważyła -Nie możemy po prostu kupić wszystkiego w hotelu?

- Nie. W hotelach sprzedają rzeczy dla sobowtórów Genevry. Ray podszedł do Gillian.

- Trzymaj się z daleka od okien. Przestraszona, odwróciła się gwałtownie.

- Jezu, Ray, nie podkradaj się tak. Zaciągnął zasłony.

- Nie odpływaj myślami. Zwracaj uwagę na otoczenie.

- Na otoczenie? Na litość boską, stoję w oknie mojego pokoju.

- Przy otwartym oknie.

- Jeśli chce mnie dorwać, to nie za pomocą snajperskiego strzału. Nie, jeśli tamto zdjęcie ma jakieś znaczenie.

- Lubisz wystawiać się na cel?

Spojrzały z Maddie na siebie. W oczach brunetki Ray dostrzegł błysk wyższości, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, inni też widzą twoje szaleństwo”.

Potem, jakby chciała zmienić temat, podniosła kulkę materiału. Strzepnęła ją. T-shirt był tak sprany, że niemal przezroczysty.

- Z dziesiątej klasy - powiedziała. Gillian sapnęła głośno.

- Owszem. - Wyrwała go Maddie. - Zapomniałam już, że to mam. - Wtuliła twarz w spraną tkaninę jak dziecko w ukochanego pluszaka.

- Proszę. - Ray podał Maddie magnetyczną kartę do pokoju. - Jeśli nadal się upierasz, żeby jechać z nami.

Gillian podniosła wzrok znad koszulki.

- Upiera się.

- Byłoby lepiej, gdybyś wyjechała z miasta - mruknął Ray do Maddie, po raz ostatni przytaczając swoje argumenty. - Mniej osób do pilnowania.

Gillian zerwała się z łóżka i cisnęła koszulkę na torbę.

- Nie wyjeżdża i już. Jest mi tu potrzebna. - Objęła przyjaciółkę ramieniem. Maddie się skrzywiła, cofnęła, złożyła koszulkę i spakowała ją do torby.

- Żeby zjadać ser z pizzy, kiedy ty wyciągasz wszystkie pepperoni - burknęła.

Gillian się uśmiechnęła.

- I frytki chili. Nie zapominaj o frytkach chili. — Spojrzała na

Raya. - Maddie uwielbia frytki chili i wszystkie



smakołyki z hotelowych minibarów.

- Nie jedziemy na wakacje - zauważył.

- Odrobina przyjemności nigdy nie zaszkodzi - odparła. Maddie westchnęła i odgarnęła włosy z czoła czarnofioletowymi paznokciami tak mocno, aż słyszał, jak drapią o skórę.

- Nie potrzebujesz mnie - odparła cicho. - A w atelier mam dużo do roboty.

- Co?

- Sprawy do załatwienia. Pracę.

- Pozwolę ci się zabrać na zakupy - podsunęła Gillian. Maddie uniosła brew.

- Pozwolę ci popatrzeć na Raya, kiedy śpi.

- Jeszcze czego - burknął.

Maddie odęła usta i skrzyżowała ręce. Wysunęła do przodu kościste biodro.

- Wiesz, jak mnie podejść. - Zerknęła na Raya. -

Masz szczęście, że jesteś taki słodki. - Pogroziła Gillian palcem. - I trzymam cię za słowo w sprawie zakupów.

Gillian się rozpromieniła. Zapięła torbę i podała ją przyjaciółce.

- Zobaczymy się w hotelu. Maddie wzięła bagaż i znieruchomiła.

- Spotkamy się? Jak to? Dokąd się wybierasz?

- Mam coś do załatwienia.

- Co? - zapytali jednocześnie Ray i Maddie.

- Mam spotkanie.

- Nieprawda - odparła Maddie. - Niczego ci na dzisiaj nie zaplanowałam. Dopiero jutro...

- Sama się umówiłam.

- Gillian... - W głosie Maddie pobrzmiwała ostrzegawcza nuta. Ray wodził wzrokiem od jednej do drugiej.

- O co tu chodzi?

- Jedziesz łowić, tak? - Sadząc po tonie Maddie, nie było to nic przyjemnego.  
- Nikt nie jedzie na ryby - powiedział.  
- Nie na ryby, tylko łowić - poprawiła Maddie, nie spuszczać wzroku z Gillian. - I wcale nie ryby.  
- Dobra. - Ray uniósł dłonie na znak, że się poddaje. - Możecie mi łaskawie powiedzieć, o czym, do cholery, mówicie?  
- O morderstwie - odparła Maddie. - Gillian wybiera się na łowy. Na mordercę.

## Rozdział 19

Wyprawa na łowy okazała się wycieczką w odwiedziny do Harleya Samuela, emerytowanego policjanta. Tego samego, który był już doświadczonej gliną, gdy Ray dopiero przekraczał próg posterunku i który przeszedł na emeryturę w tym samym roku, w którym on opuścił czynną służbę. To Samuels przed laty prowadził śledztwo w sprawie śmierci Holland Gray.

Pojechali pikapem Raya. On prowadził. Czy powinien był poczekać na uzbrojony wóz z kierowcą? Dyskusyjne. Wszyscy w tej branży pamiętali Leamana Hunta, który zginął w uzbrojonym samochodzie, gdy kula prześlizgnęła się przez gumową uszczelkę przy szybie. Głupi przypadek? Może. Ale i przestroga. Ochrona to rzecz względna. Nieważne, jak dobrze się zabezpieczysz, złoczyńca zawsze może znaleźć sposób, by cię

dopaść.

Co więcej, wozy opancerzone zwracają uwagę. Ray wolał wtopić się w tłum, zwłaszcza że Gillian tym razem nie występowała publicznie. Był jeszcze jeden argument - na samochód z kierowcą czekali by kilka godzin, a Gillian już stała w progu. Zdjął więc marynarkę, zakasał rękawy, poluzował krawat i zawiózł ją nad jezioro Center Hill. Maddie zabrała bagaże do hotelu. Zanim wyszli, zajrzał do niej i zaproponował, że ją podwiozą. Odmówiła.

- Mam coś do załatwienia - powiedziała.

lej pokój okazał się mniejszą wersją sypialni Gillian. Były tu te same złocone lustra, różowe tapety i ażurowe meble, co w pokoju przyjaciółki. Na łóżku leżała otwarta walizka. Maddie się pakowała.

Wszedł do środka i wyjrzał przez okno.

- Skąd wiedziałaś, dokąd się wybiera? - zapytał zaintrygowany relacją między obiema kobietami. Wzruszyła ramionami.

- Znam ją, odkąd miałyśmy po piętnaście lat. Mieszkałyśmy razem w Hadley.

- W szkole z internatem w Pensylwanii. - Przybrała zabawną pozę. - Ja byłam zdolna, ale biedna, miałam stypendium. Gillian była bogata i nieszczęśliwa. Zupełnie jak w powieści Frances Hodgson Burnett.

Pytająco uniósł brew.

- Mała księżniczka, Tajemniczy ogród... Kojarzysz Shirley Tempie? - Pochyliła się nad walizką. Przerzuciła sobie czarne włosy przez ramię i spojrzała na niego zalotnie. - Powinieneś częściej oglądać kanały z klasyką filmową.

- Jasne, Shirley Tempie albo poniedziałkowe rozgrywki. Trudny wybór. - Zawahał się. - Więc jesteście przyjaciółkami ze szkolnej ławy.

- Razem wydawałyśmy gazetkę pod tytułem „Kpina”. Nikogo nie lubiłyśmy.

- Poza sobą.

- Niestety lubi towarzystwo.

- I od tego czasu trzymacie się razem.

Wyprostowała się i popatrzyła na niego znacząco.

- To takie dziwne?

Wzruszył ramionami.

- Nie utrzymuję kontaktów z kumplami z liceum.

Roześmiała się chłodno.

- A ilu kumpli z liceum proponowało ci coś takiego?

- Zatoczyła ramieniem łuk, ogarniając pokój tonący w złocie.

Maddie ciągle jeszcze dokładnie pamiętała pierwszą wizytę w Nashville, podczas przerwy świątecznej, rok po tym, jak poznała Gillian. Już wielkość domu Grayów ją oszołomiła. Ogromne pokoje, po których niosło się echo kroków. Wielka łazienka, cała dla niej, z małymi różanymi mydełkami i miękkimi ręcznikami. Miała wtedy szesnaście lat. Była wstrząśnięta. Nie tylko dlatego, że rezydencja tak bardzo różniła się od malutkiego domku, w którym mieszkała z rodzicami i trzema braćmi w Juniper w Wirginii, czy dlatego, że nikt z domowników nie wracał z pracy uwalany węglem. Głównie szokowało ją to, że było tu tak niezwykle przestronnie i miękko. Nie wiedziała, że można tak mieszkać.

- Gillian dała mi nową pracę i nowe życie - powiedziała. - Co w tym złego?

- Nic.

Jego milczenie sprawiło, że zmrużyła oczy.

- Uważasz, że ją wykorzystuję?

- Nie powinno cię obchodzić, co uważam. - Ruszył od łóżka i otwartej walizki, ale zagroziła mu drogę.

- I nie obchodzi - odparła.

Zajrzał jej przez ramię, ale opuściła wieko, zanim zdążył się dobrze przyjrzeć. Jej wzrok mówił, że powinien pilnować własnego nosa, ale udawał, że tego nie widzi.

- Nie chciałaś się usamodzielnic?

Walizka była stara i warta fortunę. Maddie oparła się na wieku, rozkoszując się dotykiem miękkiej skóry.

- A nawet jeśli, kto wtedy dopilnuje, że na jednym ze zdjęć Gil lian nie zabije się naprawdę?

- Ktoś inny. Sama Gillian.

Ściągnęła walizkę z łóżka i postawiła na ziemi.

- A co wtedy stanie się ze mną?

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Jego było chłodne i nieprzeniknione, a jednak podejrzliwe. Przeszedł ją dreszcz. Ile wie? I skąd wie cokolwiek?

Zanim zdążyła wpaść w panikę, od niechcienia podrzucił do góry kluczyki do samochodu i zaraz je złapał.

- Na pewno nie chcesz, żebym cię podwiózł?

- Spoko, kowboju. - Uśmiechnęła się. - Na pewno.

Ray rozmyślał o tej rozmowie, okrążając jezioro Center Hill w poszukiwaniu domku Harleya Samuelse. Myślał o walizce Maddie i o tym, co w niej chowała. O więzach, które sami tworzymy. Tych niewidzialnych, z których istnienia nie zdajemy sobie sprawy, i tych, które pieczołowicie budujemy, chcąc utrzymać innych przy sobie. Uzależnionych. Słabych. Nieważne, skąd się biorą. Te więzy duszą jak boa dusiciel. A potem połykają cię żywcem.

- Myślałaś kiedyś o tym, żeby wypuścić Maddie na wolność? Siedząca na tylnym siedzeniu Gillian wzruszyła ramionami.

- Niby dlaczego? To moja przyjaciółka.
- Płacisz jej wystarczająco dużo, by tak uważać.

Roześmiała się.

- Tak sądzisz?
- Sama mi to powiedziała.

Gillian pokręciła głową nie przestając się uśmiechać.

- Wszystkim to mówi, Ray. Już taka jest, zwłaszcza gdy ktoś zarzuca jej, że żyje na mój koszt. - Zerknęła na niego spod oka. - Zrobiłeś to, prawda?

Jego milczenie wystarczyło za odpowiedź.

- Jasne. Maddie była przy mnie w najgorszych okresach mojego życia. Teraz to ona mnie potrzebuje i nie zostawię jej.

Zamyślił się. Z przykrego doświadczenia wiedział, że ludziom nader często zdarza się niewłaściwie lokować zaufanie.

- Jej zdaniem jest odwrotnie. Uważa, że to ty jej potrzebujesz.

- Bo potrzebuję - przyznała bojowo Gillian. -

Świetnie się razem bawimy.

- Stare kpiary.

- Powiedziała ci o tym?

- Szkoła średnia to kupa śmiechu.

- Owszem, pod warunkiem że zaatakujesz, zanim cię dopadną. Uderzyło ją, jak bardzo prawdziwe są to słowa w odniesieniu do jej

całego życia. Wyjrzała przez okno na świat migający za szybą. Jezioro było inżynieryjnym cudem techniki w sercu gór Cumberland. Wpadały do niego cztery rzeki. Dokoła rozciągały się setki hektarów dzikich

lasów. Dla większości ludzi był to leśny raj, jednak Gillian zawsze doświadczała uczucia niepokoju, gdy tu przyjeżdżała lub gdy znalazła się

wystarczająco blisko. Wiedziała, co czai się nad wodą.

Wolałaby prowadzić sama, jak zawsze. To była część jej rytuału. Ilekroć wracała do Nashville, zawsze odwiedzała Harleya. Jakby w czasie, jaki upłynął od jej poprzedniej wizyty, coś mogło się zmienić, jakby mogły się pojawić nowe dowody, nowa teoria. Harley zdążył się ożenić, spłodzić dzieci, rozwieść się i przejść na emeryturę. A ona nadal przyjeżdżała. Początkowo co roku, potem rzadziej. Przyjeżdżała, nawet gdy stało się jasne, że nowych dowodów nie będzie. Straciła nadzieję, ale nadal musiała się z nim spotykać.

Rytuał stał się nałogiem.

Chciała usiąść za kierownicą ale Ray tylko na nią spojrzał. Spotkali się przy schodach, gdy wyszedł z pokoju Maddie. Razem zeszli na dół. Odruchowo zwolnił, by dotrzymać jej kroku, ale ledwie wspomniała o kluczykach do wozu dziadków, zatrzymał się i pochylił w jej stronę niczym byk, atakujący toreadora.

- Wiesz, czego wypatrywać, spodziewając się zasadzki? Jak uniknąć pułapki? Jak wyjechać spod ostrzału? - Odczekał chwilę dla efektu. - Ja poprowadzę.

I tak po raz pierwszy jechała w towarzystwie.

Tłukła się cudzym pi-kapem z mężczyzną, którego nie znała. I jeszcze coś. Po raz pierwszy jechała, wioząc inne morderstwo.

Harley czekał przy obtłuczonej skrzynce na listy, w miejscu, gdzie zwirowy podjazd łączył się z drogą. Z rękami w kieszeniach, kołysał się na piętach, patrząc, jak parkują i wysiadają. Nie był, delikatnie mówiąc, zbyt schludny, a emerytura tylko spotęgowała jego wrodzone niechlujstwo. Miał kilkudniowy zarost. Pogniecione drelichy zwisały

na czerwonych szelkach.

Chciała ich sobie przedstawić, ale Harley ją uprzedził.

- Pamiętam cię. Ray Pearce, prawda? - Uścisnęli sobie ręce jak starzy kumple. - Zięć starego Burke'a.

- Były zięć, ale tak, to ja.

- Były? O kurczę, przykro mi. - Uśmiechnął się smutno. - Los doświadcza najlepszych.

Ray skinął sztywno głową. Nie miał ochoty dyskutować o swoich problemach małżeńskich i powodach, dla których zasilił szeregi rozwodników. Harley nie przejął się tym.

- Grzebiesz w starych sprawach?

- Nie do końca.

Stary spojrzał na niego przeciągle.

- O ile pamiętam, awansowali cię? - Poklepał go po plecach, co oznaczało, że musiał wspiąć się na palce. - Byłeś na to zbyt młody, ale bystry, to ci przyznam.

Ray poruszył się niespokojnie, nagle czerwony jak burak.

- Doceniam, że to mówisz - odchrząknął. - Ale już nie pracuję w policji.

- Już nie... - Harley umilkł. Wodził wzrokiem od Raya do Gillian. Widać było, że pyta ją bez słów, co on tu robi.

- Jest ze mną - odparła, stwierdzając oczywiste.

Ruszyli w stronę domu, małej chatki ukrytej wśród drzew. Między zaroślami Gillian widziała słońce odbijające się w wodzie.

Ray jak zwykle trzymał się na końcu, a ona jak zawsze niemal od razu zdjęła buty. Przywykła już do niego. Do tego, że reaguje na jego bliskość. Na jego siłę i szerokie ramiona.

Harley nachylił się do niej.



- Chłopak? - szepnął. Pokręciła przecząco głową.
- Ochroniarz.

Dom pachniał tak samo jak zawsze: zjełczalym tłuszczem i zanętą na ryby. Zawsze czuła się jak uderzona obuchem, gdy tu wchodziła. Jak wtedy, gdy uczył jałowic ryby. Albo układać puzzle. Zerknęła w kąt. Stolik do kart stał tam, gdzie zawsze, na nim - niedokończone puzzle.

- Nigdy się nie zmienisz, co, Harley? - To jedna z cech, które w nim lubiła. Starość. Był jak opoka w jej oszalałym, wirującym świecie.

- A powinienem? - Objął ją ramieniem i uściskał. - Co powiesz na piwo?

Skinęła głową, a on zniknął w kuchni. Rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok padł na sfatygowaną brązową kanapę, wyłożoną miękkimi poduszkami, z wgnieceniem po lewej stronie, które zdradzało ulubione miejsce Harleya. Przed kanapą stał ten sam co zawsze stolik do kawy, a na nim, jak zwykle, pudełko po butach.

Serce zabiło jej mocniej na ten widok i jak zawsze usiłowała je opanować. Wyjrzała przez okno na znajome wody jeziora.

Harley wrócił z dwoma butelkami. Ray podziękował, Gillian zręcznie zdjęła kapsel. Stuknęli się z Harleyem butelkami.

- Pamiętam czasy, gdy częstowałem cię colą - mruknął staruszek. Gillian się uśmiechnęła.

- Pamiętam czasy, gdy podkradałam ci piwo. Harley roześmiał się ciepło. Ray wyjrzał przez okno.

- Rozejrzę się trochę. - Zmierzył Harleya wzrokiem. - Dacie sobie radę?

Harley spojrzał na niego wzrokiem pełnym rozbawienia i wyrozumiałości.

- Chyba tak.

Ray wymknął się na zewnątrz. Harley odprowadził go wzrokiem.

- Gliniarze źle się czują w obcym otoczeniu - mruknął. Zamyślił się nad swoimi słowami. Jak się domyślała, nad Rayem i nad wyborem, którego dokonał.

A potem, jakby doszedł do wniosku, że niczego już nie rozumie, westchnął głośno i opadł na kanapę. Poklepał poduszkę koło siebie.

- No, maleńka. Opowiadaj. - Skinął głową w stronę drzwi, które zamknęły się za Rayem. - Znowu wpakowałaś się w kłopoty?

Harley nie prenumerował gazet i nie miał telewizora. W radiu słuchał tylko muzyki, głównie jazzu. Nie przepadał za wiadomościami, tłumaczył. Przywilej samotności. Tak więc Gillian opowiedziała mu o wystawie, ataku i późniejszym morderstwie.

- To on - powiedziała. Piwo stało zapomniane. W jej głosie pojawiły się niskie zdecydowane nuty. - On tam jest. I znowu zabija.

Harley podniósł rękę.

- Powoli, powoli. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Przyciągnęła do siebie pudełko po butach.

- Musieliśmy coś przeoczyć. Coś, co pozwoli nam go złapać. Harley westchnął.

- Skarbie, powtarzasz to od dwudziestu lat - Odwrócił wzrok. - Wiem, że cię zawiodłem - powiedział miękko. - Ciebie i twoją rodzinę, ale nie wierze, żeby po tylu latach...

Pokręciła głową - energicznie, dziko - jakby sam ruch mógł zagłuszyć jego słowa.

- Nie mów tego, proszę. Harley położył rękę na pudełku.

- Nie możemy pominąć tego fragmentu twojej wizyty? Choć raz? Zawsze wtedy cierpisz, a mnie

serce pęka, kiedy na to patrzę. Zwłaszcza że to niczego nie zmieni.

Gillian się zamyśliła. Jej serce już waliło jak oszalałe, a rozpacz, która ją ogarnie, gdy otworzy pudełko, czaiła się tuż-tuż, gotowa zaatakować. Jaka to ulga, nie patrzeć. Nie widzieć. Nie pamiętać.

I wtedy przed oczami stanął jej obraz niedawno zamordowanej kobiety. Zapomniała o swoim bólu.  
- Przykro mi, Harley. Powoli uniosła wieko pudełka.

## Rozdział 20

Kiedy Ray wrócił, zastał Gillian i Harleya na kanapie, pochylonych nad stertą papierów. Na podłodze poniewierała się pokrywka od pudełka po butach, które leżało na kanapie obok Gillian.

Dwie pochylone głowy tworzyły idylliczny obrazek.

Starzec, wielki

i potężny jak niedźwiedź, a w jego cieniu żywe blond srebro.

Ray uznał, że są tu w miarę bezpieczni. Domek stał w głębi lasu, dokoła nie znalazł żadnych śladów opon, poza ich własnymi. Bez trudu usłyszałby plusk łodzi, gdyby przybiła do brzegu.

Usłyszałby każdy pojazd, Gdyby doszło do najgorszego, zaplanował trasę ucieczki przez las. Przystawił w tym celu pikapa, żeby był bardziej dostępny. Zależało mu, żeby wrócić do miasta

przed zmrokiem. Carlson wysłał ludzi do hotelu i Ray dostał na swój blackberry listę raport o stanie ochrony. Wszystko wyglądało w porządku, ale będzie spokojny dopiero, kiedy sam to sprawdzi.

- Ile jeszcze... - urwał, gdy Gillian podniosła wzrok znad gazety, którą trzymała w dłoni. Pozorna błogość tej sceny rozviała się bez śladu. Po anielskiej buzi spływały łzy. Była załamana. Umęczona. - Co do cholery... - Spojrzał na Harleya. - Co tu się dzieje? - Wyrwał skrawek papieru z dłoni Gillian.

- Wszystko w porządku. - Otarła łzy. Ale słowa i gest doszły do niego jak z oddali, bo widział tylko jedno. Zdjęcie, które trzymał.

Zdjęcie z miejsca zbrodni. Kuchnia, zwłoki na podłodze, krew.

Fatalne zdjęcie. Czarno-biała kserokopia, bardzo zużyta. Ktoś urwał jeden róg. Papier był pognieciony, jakby ktoś go zmiął, a potem znowu wyprostował.

Ray od razu wiedział, na co patrzy.

Kuchnia nie była tak idealna ani nieskazitelna jak na fotografiach Gillian. Zwyczajne pomieszczenie z poplamionym linoleum. Z niewidzialnego okna nie wpadało niesamowite światło. Ofiara nie jest uczennicą, choć wygląda młodo, nawet po śmierci. Podniósł wzrok i spojrzał na Harleya. Stary mężczyzna błagalnie patrzył mu w oczy.

- Ty to prowadziłeś? - domyślił się Ray.

- Tak.

Ray przeglądał rozrzucone papiery. Znajome formularze, protokoły.

- Masz tu całe akta? Wszystko?

- Każdy świstek, zeznanie, raport.

Ray stłumił panikę. Spojrzał na udęconą twarz Gillian i zrozumiał, że jej nie pomoże.

Przeniósł wzrok na Harleya.

- Oszalałeś?

- Zamknij się, Ray - mruknęła Gillian. - Nie mów tak do niego.

- Jakim prawem ci to pokazuje?

- Jakim prawem? A kto, do cholery, ma do tego prawo, jeśli nie ja?

- To ci łamie serce.

- I co z tego? Taka jest cena sprawiedliwości. Nie pozwoli jej zapłacić tak łatwo. Zwłaszcza jeśli ma się to stać na jego oczach.

- Idziemy stąd. I to już. Zaparła się.

- O nie.

Harley stanął między nimi.

- Malutka, może pospacerujesz nad jeziorem? A my sobie z Rayem pogadamy.

- Nigdzie nie idę. - Uparła się.

- Sama nie wyjdzie - zawtórował jej Ray.

Słyszając te słowa, dumnie zadarła głowę i zacisnęła usta.

- Mogę robić, co mi się żywnie podoba - oznajmiła i choć przed chwilą zaklinała się, że nigdzie nie pójdzie, odwróciła się na pięcie i wyszła.

- Hej. - Ray już za nią biegł, ale Harley zaszedł mu drogę.

- Niech idzie. Możesz ją obserwować przez okno w kuchni.

- Jezu - mruknął Ray pod nosem. Ale Harley ma rację. Widział ją dokładnie, a przynajmniej jej plecy. Szła sztywno wyprostowana, z piersią wypiętą do przodu. Wydawała się zagubiona nad brzegiem wielkiego jeziora, malutka w cieniu olbrzymich drzew.

- Nie bądź dla niej zbyt surowy - poprosił Harley miękko. Surowy? Facet ma chyba łuski na oczach. Przecież najbardziej na

świecie chciał stąd wybiec i ją pocieszyć. Sprawić, żeby rozwiały się czarne chmury nad jej głową. To pragnienie oblało go jak zimny pot. Zawsze pragnął tylko tego. Czy nigdy nie zrozumie, że się do tego nie nadaje? Że potrafi uratować komuś życie, ale nie uszczęśliwić?

- Nikt nie powinien oglądać zmasakrowanych zwłok własnej matki - powiedział.

- Lepsze to niż udawanie, że do zabójstwa nigdy nie doszło.

- Udawanie? Co ty pleciesz? Ta mała nie umie udawać.

- Ale zimna suka Genevra, owszem. - Harley wbił dłoń w kieszenie spodni. Zakołysał się na piętach. - Po pogrzebie zachowywała się, jakby córka nigdy nie istniała, a co dopiero umarła. Zamknęła przeszłość na wielką kłódkę.

Ray pokręcił głową.

się słabo. Nie wybaczyła i nie zapomniała.

- Może i tak. Ale też nigdy o tym nie mówiła. - Harley uniósł brew. - Słyszałeś, by choć raz wymieniła imię córki? Wspomniała o morderstwie? Chociaż raz?

Ray się zamyślił. Powoli pokręcił głową.

- Gillian przyjechała do mnie, gdy miała, bo ja wiem, może z trzynaście lat. Była w strasznym stanie. Taki mały odbezpieczony granat. Widziałeś kiedyś, co się dzieje, gdy złość nie znajduje ujścia? Byłeś gliniarzem. Widziałeś narkomanów, złodziei, wandalów...

Ray kiwał głową. Codziennie widywał dzieciaki, które wymknęły się spod kontroli.

- A jeśli nie robisz żadnej z tych rzeczy? Co wtedy? Co się dzieje z gniewem? Nie miała z kim pogadać o tym, co się stało. Rodzina nie wysłała jej na terapię. Nikt nie potrafił przyznać, że coś jest nie

tak. A ona miała problemy, synu... nawet nie wiesz, jak poważne.

Ray nie musiał wiedzieć. Wyczuwał to od niej, niemal widział otaczającą ją aurę tragedii. Właśnie to go przyciągało. A zarazem odpychało.

Nieszczęśliwe dusze, które trzeba uratować.

- Więc pozwoliłem, by do mnie przyjeżdżała - ciągnął stary policjant. - Potrzebowała przyjaciela.

- Wyjrzał przez okno. Gillian stała nad brzegiem.

Wyjęła coś z kieszeni. Mały aparat fotograficzny. -

Szukała prawdy, pomogłem jej w tym. I robię to zawsze, gdy wraca do domu.

Ray oparł się o lodówkę. Zimny metal palił go w plecy.

- Powiedziała ci o zabójstwie?

- Tak.

- Myślisz, że jest jakiś związek?

- Myślę, że to bardzo dziwne. Ale związek? Po tylu latach? Sam nie wiem.

Nie wiedzieć czemu, Ray nadal trzymał fotografię z miejsca zbrodni. Wbił w nią wzrok. Holland Gray leżała powykęcana, jakby połowa jej ciała chciała się wymknąć prześladowcy. Miała na sobie wzorzystą sukienkę - na czarno-białej fotografii nie widział kolorów ani nie rozróżniał wzoru.

Dostrzegłby go na klatce piersiowej, ale krew starannie pokryła materiał. Dużo krwi.

Nagle przed oczami stanęła mu jej twarz z okładki „Vogue'a”. Uwodzicielska, tajemnicza, z szelmowskim uśmiechem. Pełna życia. Twarz na policyjnej fotografii nie przypominała dawnej Holland. Była blada i pusta.

- Przyczyna śmierci?

- Dwie rany kłute. Morderca użył kuchennego noża. Podejrzewaliśmy, że chciała się nim bronić, a morderca go jej odebrał.

- Zgwałcił ją?  
- Jak wściekły. Rozerwał ją na strzępy.  
- Znała napastnika? Harley pokręcił głową.  
- Nie było śladów włamania, ale nie dotarliśmy do nikogo, kogo znała. Chodziła do szkoły gdzie indziej, więc nikogo tu nie znała. Nie bywała na przyjęciach ani w barach. Domek stał na uboczu, na południowym zachodzie miasta, niedaleko autostrady numer 100. Mieszkała skromnie, sama z córką.

- A przedtem, w Nowym Jorku? Albo w Los Angeles? Sukces rodzi zazdrość.

Harley wzruszył ramionami.

- Wszyscy mieli żelazne alibi. Nie znaleźliśmy motywu ani dowodu, że ktoś zlecił zabójstwo, zresztą to nie wyglądało na robotę zawodowca. Raczej na typowy napad na samotną kobietę, który skończył się tragicznie.

- Więc przypadek?

- Moim zdaniem tak, ale nie mogliśmy tego udowodnić. Choć nie myśl, że nie próbowaliśmy. Sprawdziliśmy śmieciarzy, dostawców, mechaników, listonosza, wszystkich, którzy bywali w jej domu.

- DNA?

- Zrobiliśmy badania później, kiedy tylko stało się to możliwe. Nie wszystkich odnaleźliśmy, a ci, do których dotarliśmy, okazali się niewinni.

Ray się zamyślił. Wniosek nasuwał się sam.

- Może morderca wtedy wyjechał, a teraz wrócił. Harley skinął głową.

- Może. Ale to byłby nie lada zbieg okoliczności.

Ray spojrział na zdjęcie Holland Gray, a potem znowu na Harleya. On także nie wierzył w zbiegi okoliczności.

- Rzecz w tym, że malutka - Harley wskazał głową



jezioro i Gillian - w to wierzy. Na twoim miejscu zrobiłbym wszystko, żeby znaleźć tego faceta. Inaczej ona to zrobi. A tego wolałbym nie doczekać.

## Rozdział 21

Gillian usłyszała trzask siatkowych drzwi. Domyśliła się, że Ray wyszedł na zewnątrz. Po chwili wyczuła jego obecność za plecami. Trwał przy niej. Czuwał. Był tak blisko. Bliżej, niżby sobie życzyła.

- Ładnie tu - stwierdził, stając obok niej.

Spojrzała na niego przez obiektyw małego canona, którego wsunęła do kieszeni w ostatniej chwili przed wyjściem z domu. Przesuwała obiektywem po jeziorze - szerokim, głębokim, o spokojnej wodzie, w której odbijało się błękitne niebo. Zacisnęła zęby.

- Widziałeś kiedyś topielca? - Odłożyła aparat.

Czuła przy sobie jego potężne ciało, ale nie patrzyła na niego.

Odezwał się po chwili:

- Nie.

- Jeszcze nie robiłam topielicy. - Zastanawiała się, jakie to uczucie, gdy ktoś się topi. Pomyślała o dławiącej panice, ogniu w płucach, nieuniknionym, zabójczym hańsieniu. Woda potrafi być kusząca, a zarazem

tak mordercza. - Co ty na to? - Uniosła aparat,

pokazując mu na wyświetlaczu zrobione zdjęcia. Patrzyła, jak je ogląda. Kiedy w końcu na nią spojrział, w jego oczach malował się smutek.

- Widzę, że nie znosisz piękna. Chyba że możesz je przetworzyć.

- W coś rzeczywistego.

- W coś ohydneho. - Powiódł wzrokiem dokoła. -

Gillian, to tylko jezioro. Woda. Drzewa. Jedyna śmierć w okolicy to ta, którą ty tu sprowadzasz. Szanowała jego niewinność, choć wydawała jej się bardzo nie na miejscu. Przecież to były glina. On akurat powinien wiedzieć dużo lepiej.

- Śmierć jest wszędzie, nawet wśród piękna.

- Tylko wówczas, jeśli jej szukasz.

- Albo jeśli ona szuka ciebie. - Przez chwilę patrzyła mu w oczy, ale nie wytrzymała. W jego twarzy znowu dostrzegła ten wyraz - smutek, pragnienie, pieszczotę. Nagle poczuła pieczenie pod powiekami. Odwróciła wzrok, przerażona, że zobaczy jej łzy.

On jednak znowu wykazał się taktem, i to większym, niż się spodziewała. Nie śmiał się ani jej nie współczuł. Nie dał po sobie poznać, że cokolwiek zauważył.

- Wiesz co? - Odetchnął głęboko, jakby w ten sposób chciał przerwać tę chwilę, tę więź między nimi. - Za dużo myślisz. Powinnaś pójść do normalnej pracy. Zbierać bawełnę. Prowadzić ciężarówkę. Nie miałabyś siły myśleć.

Uśmiechnęła się słabo.

- Szczęściara ze mnie, co? Jestem bogata i nie muszę pracować. Mruknął coś pod nosem, zrezygnowany.

- No to chodź, bogaczko. Idziemy. Puścił ją przodem. Szli do samochodu. Harley czekał przed domkiem.

- Nie zapominaj o mnie - powiedział do Gillian.  
- Do zobaczenia. - Cmoknęła go w policzek. Ray patrzył, jak sadowi się w pikapie, po czym zajął miejsce za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Gillian jeszcze raz pomachała Harleyowi i już ich nie było.

Kolejna wizyta za nią. Kolejna pielgrzymka zakończona. Opadła wygodnie na siedzenie i zamknęła oczy. Mogłaby przespać tydzień. Albo miesiąc.

Zawsze tak reagowała. Najpierw czarna chmura rozpaczy w drodze nad jezioro. Potem - czarna dziura w drodze powrotnej. Była pusta. Wypalona.

- Rozmawiałeś z Harleyem o nowym zabójstwie?

- Rozmawiałem.

- I?

- Nie rozwiązaliśmy zagadki, jeśli o to pytasz.

- Ale podzielasz jego zdanie, że te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego?

- Tego nie powiedziałem.

Odwróciła się do niego. Boże, tak bardzo potrzebowała teraz sojusznika.

- Więc uważasz, że niewykluczone, by...

- Tego też nie powiedziałem. - Zerknął na nią i jej nieśmiała nadzieja zniknęła bez śladu. - Zresztą to i tak bez znaczenia. - Wrócił wzrokiem do szosy. -

Mam cię pilnować, a nie ścigać bandytów. To zadanie innych.

- Kiedyś było twoje.

- Czas przeszły dokonany, mała.

Następne pytanie zadała ostrożnie.

- Nie brakuje ci tego? Zamyślił się.

- Czasami. - Zerknął na nią z ukosa. Widziała, że rozważa, ile jej powiedzieć. - Wzruszył ramionami.

- No dobra, brakuje.

- Więc czemu nie wrócisz? Milczał odrobinę za

długo.

- To skomplikowane.
- A co nie jest? Wzruszył ramionami.
- Znowu wracamy do okoliczności? Kolejne wzruszenie ramion.
- Czy to te same okoliczności, które sprowadziły cię do Nashville? Uśmiechnął się z trudem.
- Chcesz usłyszeć historię mojego życia?
- Ty moją znasz.

Nagle kabinę wypełniły dźwięki piosenki zespołu Clash. Gillian rzuciła się do torebki w poszukiwaniu komórki. Dzwoniła Maddie.

- Nadal na łowach? - zapytała.
  - W drodze do domu.
  - Żyjesz?
  - Kule się mnie nie imają.
  - Nie kul się obawiam, tylko wspomnień. Gillian wbiła wzrok w widok za oknem.
  - Fakt, uderzają celniej, ale poradzę sobie.
  - Mam coś, co złagodzi twój ból.
  - Torebkę koki?
  - Paczkę chrupek.
  - Bomba. I oranżadę?
  - Czy ja cię kiedyś zawiodłam?
  - Tylko jeśli chodzi o facetów.
  - A skoro o nich mowa, nadal masz Lassie u boku?
- Gillian spojrzała na Raya.
- Oczywiście.
  - Poproś, żeby zaszczekał. Gillian się roześmiała.
  - To Maddie - powiedziała do Raya. - Chce, żebyś zaszczekał.
- Nie odpowiedział, tylko uniósł z dezaprobatą brew. Potem ponownie skupił się na drodze.
- Przykro mi - Gillian ponownie zwróciła się do Maddie. - Nic z tego.
  - O kurczę, a już się cieszyłam.

- Widzimy się za godzinę?
- Jest mały problem. Dzwonił detektyw Burke. Nie stawiaś się na posterunku, żeby podpisać zeznanie.
- Dobra, wpadnę tam teraz. Chętnie sobie z nim pogadam.

Matthew Dobie siedział za biurkiem w przenośnym sztabie swojej organizacji, czyli w przyczepie kempingowej zaparkowanej między sklepem monopolowym i lombardem. Rozległo się pukanie do drzwi. Do przyczepy wszedł młody mężczyzna.

- Już przyszła, proszę pana.

Młodzieniec był członkiem jego straży przybocznej. Dobie nie mógł sobie przypomnieć, jak chłopak się nazywa. Davis? Dallas? Coś na D. Zresztą, nieważne. Straż przyboczna ma robić, co do niej należy, czyli chronić jego samego i osłaniać działania jego organizacji. Imiona są nieważne. Ważne, że są to wysocy, muskularni biali mężczyźni - idealni młodzi Amerykanie. W miarę możliwości nawet ładni. Podobali mu się przystojni mężczyźni. Lubił patrzeć na łuk ramienia opadający od mocnego karku. Na napiętą skórę, siłę...

Dobie zachęcał do ćwiczeń i propagował ograniczone spożycie cukru i konserwantów. Wszystko jest kwestią dyscypliny. Kontroli. Umiejętności zamknięcia pożądania na klucz, odcięcia się od niskich pragnień. Był dumny ze swoich chłopców. Lubił obserwować ich o świcie, gdy ćwiczyli. Rozgrzewka, przebieżka. Parada piękności.

Ten chłopak był wyjątkowy i Dobie nie odmówił sobie przyjemności podziwiania go przez chwilę. Miał króciutko przycięte jasne włosy, rzeźbione

rysy i dołeczek w brodzie, jak u Cary'ego Granta. I oczy -puste jak u pozostałych, gdy czekali na rozkazy, czekali, aż Matthew Dobie ich poprowadzi.

Dał znak i anonimowy młody bóg cofnął się, wpuszczając do przyczepy Ruth Gellico.

Dobie wstał, uśmiechając się promiennie.

- Wejdź, proszę. Pewnie ledwo żyjesz? Proszę, siadaj. - Młodzieniec podsunął jej krzesło. Kobieta opadła na nie bezwładnie. Była blada. -Może jesteś głodna?

Pokręciła przecząco głową. Nie, chcę tylko wrócić do domu. Nadal miała na sobie to samo ubranie, w którym ją aresztowano -biało-czarny strój kelnerki, upstrzony plamami czerwieni.

Śmierdziała więzieniem.

- Naturalnie. - Dobie skinął głową. Bez słowa odesłał młodzieńca. Davis albo Dallas znikł za drzwiami. - Naturalnie. I wkrótce tam wrócisz, osobiście tego dopilnuję. Kupię ci nawet bilet na autobus.

Z jej oczu popłynęły łzy.

- Dziękuję panu - szepnęła. - Jest pan taki dobry. Zapłacił pan kaucję i w ogóle. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Za to Matthew Dobie - owszem. Ruth Gellico się sprawdziła, okazała się skuteczniejsza, niż przypuszczał. Trafiła na pierwsze strony gazet, podsyciła zainteresowanie mediów. Świat stacza się w ręce szatana. Zabijanie i kurewstwo to sport, wszyscy chcieli podziwiać widowisko.

- To ja powinienem ci podziękować, Ruth. -

Poklepał jej dłoń. - Za ten heroiczny gest. Wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami. Jesteś bardzo dzielna

- zapewnił ciepło. Zawsze ciepło. - Bardzo, bardzo dzielna.

## Rozdział 22

Znajomy smród uderzył Raya jak obuchem, ledwie przekroczył próg posterunku. Wymiociny, środek dezynfekujący - aromat wymiaru sprawiedliwości.

- Super - mruknęła Gillian z przekąsem. - Tego ci brakuje?

- Byłaś kiedyś na posterunku w nocy? - Rozejrzał się dookoła.

- Ominęła mnie ta wątpliwa przyjemność.

- Coś takiego. A ja myślałem, że próbowałaś wszystkiego.

W drzwiach stanęła czarnoskóra kobieta w powłóczystej pomarańczowej szacie. Towarzyszyło jej dwoje dzieci w džinsach. Biegały niesfornie.

Skarciła je w języku tak egzotycznym, że Ray nie usiłował nawet zgadywać, z jakiego zakątka świata pochodzi. Nieco dalej trzy osoby kłóciły się zaciekle po hiszpańsku. Pod ścianą czekał

chudzielec z długą brodą, w obwisłych spodniach i kilku koszulach pod bezkształtnym płaszczem.

Uśmiechnął się, gdy Ray i Gillian go mijali. Nie miał jednego zęba.

Przed szklanymi drzwiami gromadziło się coraz więcej osób. Siedzieli na twardych ławkach, palili, wymachiwali dokumentami.

Cały czas trzymał rękę na plecach Gillian, prowadząc ją w stronę strażnika, który uśmiechał się od ucha do ucha zza kuloodpornej szyby.

- Proszę, proszę, kogo wiatry przyniosły. Co tu robisz, Ray? Żona dała ci wychodne?

Ray patrzył przed siebie na znajomą salę. Rzędy biurka, kilku policjantów. Przygotował się na nieuniknione, jakby miał przebiec otwartą przestrzeń pod ostrzałem nieprzyjaciela.

- Przyszedłem z Gillian Gray do Burke'a. Dostali przepustki, drzwi się otworzyły.

- Trzecie biurko po...

- Pamiętam - mruknął Ray.

Szedł za nią przez duże pomieszczenie, znosząc docinki.

- Hej, popatrzcie, przyszedł mąż swojej żony.

- Jak tam jaśnie pani?

- Fajny garnitur. Żonka wybierała?

- Skomplikowane - mruknęła Gillian.

- Bardzo.

Brnął przez śmiechy prosto do biurka Jimmy'ego.

Były szwagier wyszedł akurat sam ze świetlicy z kubkiem kawy w ręku. Ray od razu rozpoznał naczynie. Podarował mu je kiedyś na Gwiazdkę.

Napis na kubku głosił: „Wydział zabójstw. Nasz dzień się zaczyna, gdy twój się kończy”.

Ray uprzedził go telefonicznie, że przyjdą więc Jimmy nie był zaskoczony, ale i tak powitał go chłodnym wzrokiem. Popijał kawę, udając złego policjanta. Wsunął się za biurko.

- Proszę usiąść, panno Gray.

Rayowi nie zaproponował, by usiadł. I bardzo dobrze, bo Ray wolał stać. W ten sposób dużo lepiej widział całe pomieszczenie. Nie żeby Gillian coś groziło w budynku pełnym glin, ale przywykł do pozycji stojącej.

- Mam tu pani zeznanie. - Jimmy przeglądał stertę papierów na biurku. Ray uśmiechnął się w duchu. Jimmy nigdy nie mógł niczego znaleźć. Wszystko



się zmienia. A jednocześnie wszystko pozostaje takie samo. - Betty! - huknął Jimmy na całą salę do sekretarki. - Gdzie zeznanie Gray?

- Na twoim biurku, James - odparła. Była korpulentną niezwykle pogodną kobietą o brązowej skórze i szerokim uśmiechu, który poszerzył się na widok Raya. Wstała i podeszła do niego. - O Boże, Ray. Co tu robisz?

- Przyszedł ze mną - oznajmiła Gillian. W jej twarzy pojawiło się coś nowego, jakaś zadziomość, która nie wróżyła nic dobrego.

Betty uniosła brew, uśmiechając się od ucha do ucha.

- No, proszę. Jak fajnie.

- Tak, wolność mu służy - powiedziała Gillian odrobinę za głośno. - Świetnie wygląda, co? Betty przyjrzała mu się uważnie.

- Owszem. - Puściła oko.

- Nie masz nic do roboty? - prychnął Jimmy.

- Nie twoja sprawa - burknęła Betty. - Fajnie, że wpadłeś, Ray. - Poklepała go po ramieniu i wróciła do swojego biurka.

Gillian uśmiechnęła się pod nosem. Ray udawał, że tego nie widzi.

- Znalazłeś to zeznanie? - zapytał Jimmy'ego.

Jimmy tryumfalnie wyciągnął arkusz ze stosu.

- Mam!

Zabrał Gillian do pokoju przesłuchań, by odczytała zeznanie. Ray został na zewnątrz. Gdy Jimmy wychodził, spojrzął na Raya, jakby chciał coś powiedzieć. Nie zrobił tego, więc to Ray się odezwał.

- Jak ojciec?

- Lepiej.- Jimmy odwrócił głowę. - Rozmawiałem z Peterem. Dzięki za wczoraj.

Ray się uśmiechnął, słysząc jego burkliwy ton.

- Ej, Jimmy, tylko nie rzuć mi się na szyję.  
- Przecież ci podziękowałem. - Jimmy otworzył drzwi do pokoju przesłuchań i zajrzał do środka. - Proszę dać znać, gdyby pani czegoś potrzebowała  
- powiedział do Gillian. Chciał odejść, ale Ray go zatrzymał.

- Co z nim?

- Z kim?

- Z twoim ojcem.

Jimmy spojrzał na niego, poirytowany.

- Nic mu nie będzie.

- Rozmawiałeś z Nancy o opiece dla niego? Może w zakładzie?

- Nie jest chory.

- Zdrowy też nie. Jimmy zacisnął zęby.

- Ray, to mój ojciec, nie twój, już nie. Doceniam to, co zrobiłeś, ale nie potrzebuję twoich dobrych rad. Nie chcę ich.

- Słuchaj, ja tylko...

- Co tu robisz, Ray?

Ray odpowiedział poważnie:

- Szukam w dupku prawdziwego Jamesa R.

Burke'a. Jimmy łypnął na niego groźnie.

- Nie tu, w tym budynku, tylko w Nashville.

Dlaczego nadal tu jesteś? - Sądząc po jego tonie, zastanawiał się nad tym od dawna. - Nic cię tu nie trzyma. Nie masz rodziny ani znajomych. Dlaczego po prostu nie wyjechałeś?

Ray poruszył się niespokojnie. Nie lubił takich pytań, a tym bardziej nie chciał na nie odpowiadać.

- To nie twoja sprawa. Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać o...

- Nigdy nie wiesz, kiedy się wycofać - rzucił Jimmy, pokręcił głową i wyszedł.

Ray zwołał za nim:

- Pamiętasz Harleya Samuela? Jimmy zwolnił kroku. Odwrócił się.

- Pewnie, że tak. A co?

Ray powiedział mu, co znalazł w aktach Holland Gray. Jimmy wracał powoli, aż ponownie stanęli twarzą w twarz pod zamkniętym pokojem przesłuchań.

- Twierdzisz, że jest jakiś związek? - podsumował Jimmy.

- Niewykluczone. Nigdy nie ujęto mordercy Holland Gray. Jimmy przyglądał mu się przez chwilę

- No dobra, dzięki. Sprawdzę to. Ray nie spuszczał z niego wzroku.

- To wszystko?

- A co jeszcze byś chciał?

- Miałem nadzieję, że powiesz mi coś więcej o tej sprawie.

- Nie mogę. Nie jesteś policjantem.

- Oczywiście, że możesz. Jeśli tylko chcesz. Rozmawiałeś z Do-biem? Co powiedział? Ma alibi? Obejrzałeś zapisy z kamer przed muzeum? Sprawdziłeś w systemie?

Niższy mężczyzna przyglądał mu się z nieprzeniknioną miną i Ray zrozumiał, że niczego z niego nie wyciągnie.

- Jesteś fiutem, wiesz?

- A ty nieudacznikiem.

- Rzuciłem pracę, Jimmy. Nie żonę. Czego nie można powiedzieć o tobie.

- Tak? Ja przynajmniej nadal mam odznakę.

- No tak. Odznakę.

- Wolę to niż nic. W odróżnieniu od ciebie.

Jimmy odszedł, a Ray starał się stłumić gniew, który go ogarnął. Kiedy Gillian wyszła z pokoju przesłuchań, był już spokojniejszy.

Wrócił z nią do biurka Jimmy'ego. Rzuciła zeznanie

na stos innych dokumentów.

- Podpisane - oznajmiła.

- Dobrze - mruknął Jimmy. - Tak dla pani wiadomości, ta kobieta wyszła za kaucją.

- Cholera - mruknął Ray. - Kto zapłacił?

- Dobie.

Ray się zamyślił.

- Pracuje dla niego?

- Twierdzi, że nie, ale nie mamy tego jak sprawdzić.

- Co o niej wiecie?

- Pochodzi z Ohio. Niekarana, nie dostała nawet mandatu. Młodsza siostra padła ofiarą morderstwa, gdy były dziećmi. Związała się z grupą Dobiego kilka lat temu. Wślizgnęła się na wernisaż z ekipą kelnerów.

Gillian odsunęła krzesło, usiadła i niecierpliwie machnęła ręką.

- To nieważne.

- Jeśli chcemy uniknąć takich incydentów w przyszłości, bardzo ważne - zauważył Ray.

- To tylko głupi wybryk. Sztuczna krew. Macie ważniejsze sprawy do rozwiązania - upierała się.

Ray domyślał się, do czego zmierza

- Nawet nie próbuj - ostrzegł.

Puściła jego słowa mimo uszu. Skoncentrowała się na Jimmym.

- Morderca mojej matki jest nadal na wolności.

- Tak, Ray mi wspominał.

Zerknęła na niego przelotnie i wróciła wzrokiem do Jimmy'ego.

- No i?

- Zajmę się tym - odparł. Zmarszczyła brwi.

- To za mało.

- Na więcej nie licz - wtrącił Ray.

Pochyliła się w stronę Jimmy'ego z poważną miną.  
- On nadal czyha. I znowu zabija.  
- Może. Powiedziałem już, że się tym zajmę.  
- Proszę zrobić coś więcej. Wasz wydział już raz nawalił, nie powtarzajcie starych błędów. -  
Nabazgrała na skrawku papieru numer telefonu. -  
Proszę zadzwonić do Harleya Samuelsa.  
Spojrzenia Jimmy'ego nie powstydziłby się sam Brudny Harry, ale Gillian nie ustępowała.  
- I to już.  
- Tak jest, proszę pani. Kiedy tylko dostanie pani insygnia porucznika, zrobię wszystko, co szanowna pani rozkaże.

## Rozdział 23

W drodze powrotnej Ray zadzwonił do ochroniarzy w hotelu, by uprzedzić ich, że Ruth Gellioo wyszła za kaucją. Zadbał też, by strażnik hotelowy jej wypatrywał. Pod apartamentem czekał ochroniarz nazwiskiem Mallory.

Zastali Maddie na podłodze. Otoczona puszkami napojów i torebkami chrupek oglądała telewizję. Pokój Raya mieścił się tuż obok. Z apartamentem łączyły go wewnętrzne drzwi. Podszedł do nich.

- Daj znać, gdybyś chciała wyjść - przypomniał Gillian.

- Oczywiście. - Podniosła dwa palce. - Słowo harcerki. - Wiedział, jak niewiele jest warte.

Spojrzał na Maddie. Jak zawsze w eleganckiej

czerni, wydawała się nie na miejscu wśród tandetnie kolorowych paczek z przekąskami.

- Uważaj na nią - poprosił. Zasalutowała żartobliwie.

- Tak jest, panie sierżancie.

Na wszelki wypadek wyszedł też na korytarz i uprzedził ochroniarza, tak głośno, żeby obie usłyszały:

- Panna Gray nie wychodzi stąd sama.

- Tak jest. - Mallory był młody, ale jego garnitur był starannie wyprasowany, a maniery nienaganne.

- Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że mi nie ufasz - mruknęła Gillian, kiedy zamykał drzwi.

Wyjęła z torby cebulowe chipsy. Patrzyła na niego wielkimi niewinnymi oczami.

- Po prostu ubezpieczam wszystkie fronty. - Wszedł do swego pokoju.

- I własny tyłek - dodała Maddie. - Bo jest tego wart.

- Prawda - przyznała Gillian.

Zachichotały beztrąsko, jak na przyjaciółki ze szkolnej ławy przystało.

Koordynując przeprowadzkę do hotelu, Ray zadbał, by Carlson przesłał mu akta Gillian.

Ściągnął krawat, cisnął go na krzesło przy biurku, wyciągnął się na łóżku i wziął do ręki album z reprodukcjami jej prac.

Za ścianą Maddie i Gillian chichotały jak pensjonarki, a na kartach książki śmierć czaiła się w dziwnych, niesamowicie oświetlonych fotografiach. Czyhała wszędzie, w najzwyklejszych miejscach. W pokoju dziecięcym. W piwnicy. Szczegóły były dopracowane do perfekcji. Lampka w kształcie głowy klauna. Metalowy stolik pod telewizorem pomalowany w kwiaty.

I ciała. Cały album drobnych kobiecych ciał o martwych oczach.

Przewrócił stronę. Zmierzch w małym ogródku kontrastuje z bielą płotu. Po lewej stronie widać kółko różowego rowerka. Pod drzewem -dmuchany niebieski basenik, a w nim zielony wąż ogrodowy, z którego płynie woda. Ale zapomniano o niej, woda się przelewa, zbierając się w błyszczących kałużach. Nad basenikiem, jak baletnica zastygła w dziwnym świetle, ze sznura zwisa blond elf. Piękno i smutek tego zdjęcia ścisnęły go za serce. Pomyślał o wyprawie do Harleya Samuela i fotografiach z miejsca zbrodni. Nagle poczuł do Gillian szacunek. Trzeba nie lada odwagi, by zrobić to co ona. Większość ludzi woli zapomnieć, ona jednak nie szukała ucieczki w zaprzeczeniu. Nie uciekała przed cierpieniem. Była w tym jakaś szlachetność. Ciągle od nowa przeżywała własną tragedię, żeby zrozumieć, żeby wytłumaczyć ją światu. Odważna a zarazem szalona - w końcu nigdy nie wiadomo, co znajdziesz, szukając zbyt głęboko.

On jest mistrzem uciekania od trudnych pytań. Takich jak to, które zadał dzisiaj Jimmy.

Ale kto chciałby dzień w dzień widzieć w lustrze twarz nieudacznika? Kto się przyzna, że tkwi tu kierowany nie szlachetnością, jak mogłoby się wydawać, ale trzymany żalnymi wspomnieniami jedyne go życia, jakie znał?

Zamknął album, odpychając od siebie ponure myśli. Zostawi autoanalizę tym, których na nią stać. Ułożył się wygodnie, z pistoletem pod ręką i zamknął oczy. Wdychał powietrze przez nos, licząc do czterech, wydychał ustami, także na cztery. Obudził się kilka godzin później. Instynkt nie pozwalał mu spać zbyt długo. Było ciemno i cicho.

Wstał, uchylił drzwi i zajrzał do salonu w apartamencie. W słabym świetle lampy dostrzegł resztki chipsów i puszki po napojach, rozsypane jak popiół po pożarze. Drzwi do jednego pokoju były zamknięte, do drugiego - uchylone. Zajrzał do Gillian, przekonany, że śpi. Ale w mdłym świetle sączącym się z salonu zobaczył tylko puste łóżko.

- Gillian? - Wszedł dalej, zajrzał do łazienki. - Gillian! Jego głos niósł się echem w ciszy. Ogarnęły go złe przeczucia.

Odwrócił się gwałtownie, wyszedł i zapukał do Maddie. Cisza. Zajrzał do pokoju. Nikogo. Ruszył do drzwi i otworzył je energicznie. Teraz naprawdę dopadła go panika. Mallory'ego też nie było. Z bronią w ręku pobiegł do windy. Wcisnął guzik, ale nie mógł znieść czekania. Otworzył drzwi ewakuacyjne i zbiegł po schodach. Odszukał komórkę, instynktownie wybierając numer. Myślał, że serce mu pęknie, kiedy czekał, aż hotelowy ochroniarz podbierze telefon.

- Jest tu Ruth Gellico? - wrzasnął. - Widzieliście ją? Ochroniarz zapewnił go, że się nie pokazała.

- Panna Gray zaginęła. Strażnik spod drzwi też. - Przed oczami stanęło mu zdjęcie martwej kobiety, prawdziwej martwej kobiety. Miała twarz Gillian. I tak ujęcie za ujęciem. Martwa, zawsze martwa.

- Nic jej nie jest - usłyszał w słuchawce. - Co więcej, jeśli wie-rzyć kamerom, świetnie się bawi. Trafiło ci się niezłe ziółko. Sprawdź w barze.

Wpadł do hotelowego holu. Zobaczył przerażenie na twarzach recepcjonistów i uświadomił sobie, że celuje do nich z pistoletu.

Pojednawczo uniósł dłoń. Opuścił broń, ale jej nie schował. Bar był



Pojednawczo uniósł dłoń. Opuścił broń, ale jej nie schował. Bar był tuż za rogiem. Wpadł tam biegiem. Zaatakował go hałas, którego źródłem była grupka mężczyzn, zgromadzonych wokół drobnej blondynki. Mallory był wśród nich. Śmiał się głośno.

Ray zatrzymał się w pół kroku. Strach błyskawicznie zamienił się we wściekłość. Schował broń do kabury i przepchnął się przez tłum, wpatrzony w kobietę pośrodku.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?

- Hej, człowieku, wyluzuj - rzucił ktoś w tłumie.

Gillian się uśmiechnęła.

- Wszystko w porządku. Płacą mu, żeby taki był.

Spojrzał na Mallory'ego.

- Miałeś pilnować drzwi.

- Mówiłeś, że nie wolno jej wyjść samej. - Młody ochroniarz wzruszył ramionami. - A uparła się, że pójdzie.

- Wracaj na stanowisko- warknął. Mallory skinął głową i wyszedł.

- Ej, nie wyżywaj się na nim. - Gillian zachichotała.

- To nie jego wina.

- Myślisz, że tego nie wiem? - Złapał ją za rękę. - Idziemy. Wzięła drinka z baru i wzniosła jak w toaście.

- Koniec zabawy, chłopcy. Przyszedł tatuś.

Kilka osób się roześmiało, niektórzy protestowali.

Nie zareagował. Wyciągnął ją z kręgu i ruszył w kierunku holu.

- Miałaś być w ukryciu. Zniknąć.

Dreptała koło niego. Wiedział, że nie może dotrzymać mu kroku, ale miał to gdzieś.

- To nie w moim stylu - odparła.

- Nie w twoim stylu? Jezu, dziewczyno, a co to twoim zdaniem jest, pieprzona sztuka?

- Daj spokój, Ray, nie bądź taki. - Byli już przy drzwiach. Nagle się zaparła. Podniosła szklanke. - Napij się ze mną.

- Nie piję.

- Naprawdę? - Podniosła na niego wzrok i zasłoniła oczy, jakby patrzyła w słońce. - Nie wiem, czy mogę ufać facetowi, który nie pije.

- Pomysł polegał na tym, żeby ukryć cię w bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie nikt cię nie dopadnie. Nie powinnaś tak paradować publicznie.

- Dobrze wiem, na czym polegał pomysł. I byłam bezpieczna. Mal-lory mnie pilnował.

- Miał być przy...

- I Maddie. - Skinęła głową w stronę przyjaciółki. Maddie siedziała w cieniu jak pajęczycza, z drinkiem w dłoni i nieznajomym przyssanym do jej szyi. Patrzyła Rayowi prosto w oczy, nie zwracając uwagi na rozochoczonego adoratora.

Ray spojrzał na Gillian.

- Miałaś mi powiedzieć, gdybyś chciała wyjść.

- Spałeś. Każdy musi się kiedyś przespać, Ray.

- A ty? Ty nie sypiasz?

- Nie po wizycie u Harleya - odparła cicho. Podniosła na niego dumny wzrok. W jej oczach dostrzegł rozpacz. Zaklął pod nosem.

- Dobra - mruknął. - Ale jeśli chcesz pić, rób to w pokoju.

- Tam jest za cicho. - Usiadła przy małym stoliku. - Siadaj. - Poklepała sąsiednie krzesło. - I powiedz, dlaczego się ze mną nie napijesz.

Zacisnął zęby. Rozejrzał się dokoła. Już wcześniej zlokalizował wszystkie wejścia. Teraz skupił się na gościach.

- Masz być tam, gdzie ja - naciskała. - A nie mi rozkazywać. A ja zostaję tu.

Wypuścił głośno powietrze i niechętnie usiadł, tak żeby mieć oko na całą salę. Dopiero teraz, gdy trochę się odprężył, poczuł zapach alkoholu, usłyszał stukot kostek lodu w szklankach i za głośny śmiech. Nie lubił barów.

- Ray, czekam na twoje sekrety.

Spojrzał na nią z ukosa i wrócił do analizowania sali. Jeden z mężczyzn, którzy otaczali ją wcześniej, ciemnowłosa, potężny studenciak, co chwila na nią zerkał. Rayowi nie podobała się zaborczość w jego oczach.

- Nie mam żadnych tajemnic.

- Każdy ma. - Pochyliła się i musnęła palcem jego nadgarstek. W miejscu, gdzie go dotknęła, skóra paliła go żywym ogniem. - Jeśli nie pijesz, co robisz, żeby się zrelaksować?

- Nie spinam się. Roześmiała się.

- Jasne.

Uśmiechnął się słabo.

- Oddycham. Spojrzała na niego.

- Robię ćwiczenia oddechowe. Wdech, wydech, w rytmie na cztery. To spowalnia pracę serca. I pozwala się odprężyć.

Przyjrzała mu się znad kieliszka.

- Bardzo w stylu Yody.

Facet przy barze zaczął się zbliżać. Ray błyskawicznie zerwał się na nogi i zasłonił Gillian.

- Spadaj, kolego.

Gość był wielki, ale bez formy, jak emerytowany sportowiec. Poluzował krawat, żeby nie pił go w szyję. Guziki niebieskiej koszuli z trudem dopinały się na brzuchu.

- Pod warunkiem że pani sama tego chce.

- Ja ci mówię, czego ona chce. Mężczyzna zmrużył oczy.

- Nie potrzebuje rzecznika.

- To prawda. - Gillian stanęła między nimi. - Nie zachowuj się jak macho - mruknęła do Raya. A do nieznanajomego powiedziała: - Dzięki, ale już idę. Może innym razem.  
A potem, ot tak, zrobiła to, o co ją prosił od początku. Wyszła

## Rozdział 24

Ray pobiegł za nią. Dlaczego zawsze musi ją gonić? Miał wrażenie, że ciągle mu się wymyka - nie tylko ona, ale też jej nastroje, motywy. Wkurzało go to.

Z przesadną siłą dźgnął guzik windy, a gdy przyjechała, przytrzymał Gillian za łokieć w holu, dopóki nie sprawdził wnętrza. Gdy uznał, że jest bezpieczna, pozwolił jej wejść. Oparła się o ścianę i skrzyżowała ręce pod biustem. Jej piersi stały się bardziej widoczne pod obcisłą koszulką, a brzeg topu podjechał do góry, odsłaniając skrawek skóry tuż nad nisko zsuniętymi džinsami. Ray poczuł niepokój. Odwrócił wzrok.

- Skoro nie pozwalasz mi poszukać sobie towarzystwa, sam będziesz musiał mi je zapewnić.

- Jej ochryple niski głos kusił. Gdy na nią spojrział, napotkał zmysłowy, uwodzicielski wzrok.

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz.

Owszem, wiedział, choć tego nie chciał. Nie, to nieprawda. Chciał tego, i to bardzo, ale nie mógł.

Z wielu powodów, nie tylko zawodowych.

- Nie ma mowy.

- Po wizycie u Harleya nie sypiam sama - powiedziała, jakby cytowała punkt regulaminu dnia. Nie zamierzał się do niego stosować.

- Nie będziesz sama. Jestem tuż za drzwiami.

- Nie chcę, żebyś był za drzwiami.

- Nie chcesz, żebym był w środku, koniec, kropka.

Uśmiechnęła się zalotnie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

Zignorował jej uśmiech i płomień, który w nim zbudził.

- Szukasz ciepłego ciała, nieważne czyjego. Ale to nie będę ja. Chłystek z baru nadawałby się doskonale.

- Owszem, nadawałby się, ale nie doskonale. -

Zbliżyła się do niego. - W przeciwieństwie do ciebie. - Jej dłoń powędrowała wzdłuż jego ramienia. Potarła wewnątrz jego dłoni. Potem przesunęła się po jego biodrze i udzie.

Stał nieruchomo, niezdolny oprzeć się pieśszczocie.

Dotyk jej palców doprowadzał go do szaleństwa.

Nabrzmiał szybciej, niż wydawało się to możliwe.

Wiedziała o tym. Pochyliła się do niego, napierając piersiami na jego ramię, przywierając do niego biodrami. Kusząco rozchyliła usta.

W tym momencie winda się zatrzymała, a drzwi otworzyły.

Dzięki Bogu, czar prysł. Ray odepchnął ją i wyprowadził na korytarz.

- Cudem ocalony. - Roześmiała się.

Ciągnął ją do pokoju. Mallory wstał na ich widok.

- Chciałbyś się ze mną przespać? - zapytała go. -

Bo Ray nie jest zainteresowany. - Jej wzrok

powędrował do krocza Raya i z powrotem w górę.

Uśmiechała się. - To znaczy, jest zainteresowany,

ale...

Mallory wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale pod zabójczym wzrokiem Raya natychmiast spowaźniał. Otworzył drzwi. Ray wepchnął Gillian do środka. Od razu podeszła do okna - wielkiej, przeszklonej ściany, za którą rozciągała się panorama miasta. Otaczało ich morze światła. Budynek Batmana, zaprojektowany dla firmy telekomunikacyjnej BellSouth w kształcie telefonu, w rzeczywistości przypominający sylwetkę superbohatera, jarzył się błękitnie w ciemności. Położyła dłonie na szybie, jakby całą sobą chłonęła mrok. Blond wampirzyca sycąca się nocą. Cel idealny.

- Nikogo nie słuchasz, co? - Ray sięgał po sznur do zasłon.

- Słucham. - Zatrzymała jego dłoń. - Po prostu robię to, co chcę. - Przyciągnęła go do siebie. - Chodź tutaj. Spójrz. - Wskazała panoramę miasta. - Widzisz? O tam? To restauracja, na najwyższym piętrze hotelu Sheraton. Mama mnie tam kiedyś zabrała. Wystroiła mnie w różowy tiul i aksamit. Usiadłyśmy przy stoliku w pobliżu okna.

Restauracja się obraca, więc podziwiasz miasto ze wszystkich stron. - Podążył za jej wzrokiem i zobaczył migocące neony na dachu hotelu. - Bardzo się cieszyła, że może mi pokazać ten ósmy cud świata. Śmiała się, klaskała, pokazywała poszczególne budynki. A ja najlepiej zapamiętałam sukienkę. - Mówiła cichym, rozmarzonym głosem, pełnym nostalgii. Uśmiechała się lekko. - Każda mała dziewczynka choć raz w życiu powinna być księżniczką dla swojej matki.

Puściła jego dłoń i jeszcze przez chwilę chłonęła widok za oknem. Z bólem serca, czując, że odbiera jej jedyne pozytywne wspomnienie z

całego dnia, Ray zaciągnął zasłony.

Odwróciła się z roziskrzonymi oczami. Zamrugła i roześmiała się lekko, speszona.

- Ojej. - Odetchnęła głośno. - Popatrz, jak się rozkleiłam. A przecież tak naprawdę chcę cię tylko zaciągnąć do łóżka. - Złapała go za rękę i poprowadziła do swojego pokoju.

- Wydawało mi się, że już to przerabialiśmy.

Skrzywiła się.

- Owszem, ale skoro nie chcesz się ze mną przespać, musisz mi opowiedzieć bajkę na dobranoc.

- Nie znam bajek.

- Owszem, znasz. Dawno, dawno temu był sobie facet imieniem Ray. Miał dziwną pracę, łapał złych ludzi. Bardzo to lubił. Ale potem coś się wydarzyło. Zaistniały, jak to określał... okoliczności. - Byli w jej pokoju. Zanim się zorientował, zadarła bluzkę i ściągnęła ją przez głowę.

W pokoju panował mrok, rozjaśniony jedynie wąską smugą światła z salonu. Mimo to widział zarys jej pełnych piersi.

- Jezu! - Odwrócił się szybko. - Następnym razem uprzedź mnie przed takim numerem.

- Dobrze - powiedziała drwiąco, składając obietnicę, której nie zamierzała dotrzymać.

Odchrząknął.

- Poczekam na zewnątrz.

- Dobrze, Ray. Zawołam cię, gdy minie niebezpieczeństwo. Wrócił do salonu, starannie zamykając za sobą drzwi. Cały czas walczył ze sobą. Dotknąć jej czy nie? Spłonąć teraz czy później? Toczył tę walkę, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy.

Kilka chwil później stanęła w progu, wtulona w futrynę jak tancerka go-go w rurę. Zamiast

dżinsów miała na sobie przezroczysty szlafroczek, spod którego prześwitywał czarny koronkowy stanik i malutkie majteczki.

- Nie utulisz mnie do snu?

Popatrzył na jej niewinne oczy i złociste włosy, na anielską twarz nad zmysłowym ciałem.

- Za żadne skarby świata - wycedził. Roześmiała się i stanęła normalnie.

- No dobra. - Podeszła do niego. Jej nogi co chwila wysuwały się spod szlafrocza, w dekolcie migąła mu czarna koronka. Jest, nie ma, jest, nie ma.

Jest - Potrafisz zgasić pewność siebie, wiesz?

- Nie wydaje mi się, żeby w twoim wypadku było to możliwe.

Rozchyliła poły szlafrocza.

- Ostatnia szansa. Seks bez zobowiązań.

Objął ją, znalazł pasek szlafroka i przyciągnął do siebie, niczym lejcami.

- Zawsze są zobowiązania. - Czuł na sobie jej wzrok, gdy wiązał pasek. Jej miękkie, pełne usta były rozchylone, jakby czekały, aż się pochyli i ich posmakuje. Okrągłe piersi muskały jego ramię, gdy mocował się z paskiem. Poczuł, kiedy przeszedł ją dreszcz, ten sam co jego, elektryczny prąd.

Przełknął ślinę. Między nimi jest zbyt dużo ognia, emocji. A obiecywał sobie, że się nie zaangażuje. To tylko dziesięć dni, mówił sobie.

A potem na nią spojrzał. Siła pożądania sprawiła, że mało brakowało, a uległby. Elektryczność przerodziła się w niepokój, który i ona poczuła, bo gdy spojrzała mu w oczy, w jej wzroku nie było nic z wcześniejszego rozbawienia i zmysłowości.

Wytrzeźwiała w mgnieniu oka.

- Masz rację. - Jego dłonie znieruchomiały na pasku szlafroka. Odsunęła się, wyzwalaając z jego



objąć. - Porządny z ciebie facet, Ray, a to jest śmierć. Porządni faceci marzą o domu z ogródkiem, żonie i dzieciach.

Nie wiedział, czy się obrazić na te słowa, czy raczej cieszyć, że atmosfera się rozluźniła. Podszedł do baru, szerokiego szklanego kontuaru pod subtelnie oświetloną ścianą.

- Kiedyś tak było - odparł.

- Ale wynikły okoliczności? - Usiadła na oparciu kanapy. Machała nogami, obserwując go jak kot, uważnie, czujnie. - Opowiedz mi o nich. Będę tu, daleko, a ty opowiesz mi ten melodramat.

- Idź spać. Już późno.

- Mówiłam ci, że dzisiaj nie zasnę. - Nie spuszczała go z oczu. - Nie bez pomocy, a już ustaliliśmy, że do tego nie dojdzie. A więc... opowiedz mi coś.

Lubię smutne historie. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Ale to już pewnie wiesz. - Usiadła na

kanapie i ułożyła się wygodnie. - Dawno, dawno temu był sobie facet imieniem Ray, który zakochał się w złej czarownicy Nancy. - Dała mu znak, by kontynuował.

- Nie była czarownicą.

- Nie? - Zamknęła oczy, składając dłonie na piersi, tak jak układa się je zwłokom w trumnie. - Więc kim?

Dziwnie się czuł, widząc ją w tej pozycji. Martwą za życia. Chcąc odpędzić tę myśl, powiedział:

- Była dziewczyną, którą przez całe życie otaczali policjanci. Nie chciała wyjść za kolejnego.

- Więc czemu to zrobiła?

I nagle wszystko jej opowiedział. Żałosną baśń o Nancy i Rayu.

## Rozdział 25

Opowiedział, jak obiecał Nancy, że zapisze się na prawo. Jak namówił ją by wrócili do Nashville, bo tam mógłby studiować wieczorowo. Jak urządzono im huczne policyjne wesele, na którym aż roło się od glin.

- Nawet bandyci zrobili sobie wtedy wakacje. -  
Zacytował byłego teścia.

Żeby zapłacić za studia prawnicze, musiał pracować, więc sierżant pociągnął za odpowiednie sznurki i załatwił mu robotę ochroniarza w dyskoncie z odzieżą. Godziny pracy były okropne, a pensja jeszcze niższa niż policyjna. Co robił? Przeganiał nastolatki z parkingu. I ojciec, i brat Nancy służyli w policji. To było naturalne rozwiązanie. I tylko chwilowe, dopóki nie skończy studiów. Tak przynajmniej obiecywał Nancy.

- Ale Rayowi spodobało się bycie gliną — domyśliła się Gillian sennym głosem.

Umilkł na chwilę. Przypomniał sobie znajomy zapach, który dzisiaj poczuł. Przypomniał sobie posterunek, spotkania, raporty, zeznania w sądzie. Miał poczucie, że robi coś ważnego, właściwego. Trzyma wilki z dala od owiec.

- I to bardzo.

- Ludzie zazwyczaj nie rezygnują z tego, co lubią. I wtedy wszystko jej wyznał. Opowiedział, jak z trzech zajęć na prawie zrobiły się dwa, a potem zero, jak tymczasowa praca zmieniła się w stałą. A Nancy? Powiedzieć, że była nieszczęśliwa, to mało. Zaczęły się kłótnie, groźby, rozpacz. Potem zaszła

w ciążę i obiecała, że zostanie. Kiedy poroniła, wydawało się, że już nic jej nie zatrzyma. Aż pewnego dnia oprzytomniał. Jego partner był rozwodnikiem, podobnie jak większość chłopaków z posterunku. Samotnie pili piwo, grali w bilard albo siedzieli w domu i pili do lustra. A potem zginął Bob Denton. Też glina, miał za sobą dwa czy trzy rozwody i dzieci w Kalifornii, których praktycznie nie widywał. Mieszkał w obskurnej norze w An-tioch. Pewnej nocy, po swojej zmianie, jak co wieczór poszedł z chłopakami na drinka. Potem wrócił do domu i się zastrzelił. Ray podniósł palec do skroni.

- Tak po prostu.

Gillian rozplotła ręce, usiadła i spojrzała na niego.

- Na pogrzeb przyszli tylko policjanci.

Jeszcze nie zapomniał, jak bardzo się wtedy przestraszył. Jak zrobiło mu się słabo na samą myśl o takiej samotności.

- Więc odszedłeś.
- Nową pracę zawsze znajdziesz. Z rodziną nie jest tak łatwo. Gillian pomyślała o wszystkich swoich eks.
- A gdzie happy end? Roześmiał się gorzko.
- Właśnie. Niezły numer, co? Pół roku później Nancy mnie zostawiła.
- Widzisz? Mówiłam, że to czarownica.
- Nieprawda. Po prostu nie chciała już być moją żoną.
- Jakoś trudno mi w to uwierzyć - zażartowała.
- Poza tym... poznała Petera.
- Tego chłystka, który był u ciebie?
- Sypiała z nim od wielu miesięcy. Była w ciąży, a tym razem to na pewno nie było moje dziecko. Widziała, jak wiele kosztuje go to wyznanie, ile wstydu i gniewu. Przypomniała sobie złośliwe

docinki jego kolegów na posterunku. Kto porzuca karierę dla miłości? Większość facetów powiedziała by, że żon można mieć na pęczki. Ba, nawet ona by tak powiedziała. Zrezygnować z tego, w co się wierzy? Nigdy. Zresztą, jak można tego wymagać od ukochanej osoby? Z drugiej strony, skąd ona może o tym wiedzieć? Jeszcze nigdy nie stała przed takim wyzwaniem. Nigdy nie kochała nikogo tak bardzo, nigdy nie pozwoliła, by związek znaczył dla niej aż tyle. Taka miłość nie jest jej pisana. Nie pożyje wystarczająco długo, by jej zaznać.

## Rozdział 26

Ranek nadszedł szybciej, niż się spodziewała. Obudziła się na kanapie, dokładnie tam, gdzie wczoraj zasnęła, tyle że ktoś okrył ją kocem. Było jej ciepło i miękko. Nie musiała się zbytnio wysilać, by zgadnąć, kto ją otulił. Usiadła powoli. Kark zeszywniał jej od twardego oparcia. Ray spał na krześle przy drzwiach z dłonią zaciśniętą na pistolecie. Jej wiemy anioł stróż, pilnujący, by nie uciekła. Przeciągnęła się i przez chwilę patrzyła, jak śpi. Uśmiechnęła się na ten widok. Nagle ogarnęła ją tęsknota. Co by było, gdyby zaciągnęła go do łóżka? Gdyby wziął ją w silne, muskularne ramiona? Czy poczułaby się bezpieczna? Czy to w ogóle możliwe? Oczywiście Ray miał rację. Tylko by go

wykorzystała. A faceci tacy jak on - porządni, uczciwi - zasługują na więcej.

Spał spokojnie, emanując siłą. Mężczyzna z kamienia. Rzeźba. Na paluszkach wstała i odszukała aparat fotograficzny. Oświetlenie było ratalne, ale czasami tak jest lepiej. Może dzięki grze cieni uda jej się jeszcze bardziej podkreślić jego rysy.

Pstryknęła zaledwie kilka zdjęć, gdy Ray się odezwał, nie otwierając oczu:

- Mam nadzieję, że nie próbujesz się wymknąć. - Jego głos, głęboki, stanowczy, grzał ją jak słońce po zimnej nocy.

Nie opuściła aparatu. Obserwowała go przez obiektyw.

- A jeśli tak? Uniósł jedną powiekę.

- Będę cię musiał zabić.

- I sfotografować? Wyprostował się.

- Niczego nie obiecuję.

Opuściła aparat. Patrzyli sobie w oczy. Poczowała, że uśmiecha się od ucha do ucha.

- Dzień dobry.

- Bry. - Wstał, wsunął pistolet do kabury i otworzył drzwi. - Coś się działo? - zapytał Mallory'ego, który nadal czuwał na zewnątrz.

- Wszystko w porządku - odparł młody ochroniarz.

- Kto mnie zmieni? Za kwadrans kończę.

- Ktoś będzie. Niech do mnie zajrzy. Dopiero wtedy będziesz wolny. Gillian zadzwoniła na dół po kawę. Podano ją dziesięć minut po zmianie warty. Łapczywie rzuciła się na kofeinę i cukier.

Ray wyszedł ze swojego pokoju, odświeżony po prysznicu. Miał na sobie spodnie khaki i białą koszulę. Dobrze mu w tym stroju, pomyślała. Za dobrze. Oderwała wzrok od jego długich, silnych

nóg i skoncentrowała się na kawie. Czuła na sobie jego oczy, gdy szykowała sobie filiżankę.

- Co? - zapytała.

Wzruszył ramionami. Podeszedł do niej.

- Nic.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Nie na ciebie, mała, na twoją kawę. - Nalał sobie i upił łyk.

- Coś z nią nie tak?

- Nie, pod warunkiem że masz pięć lat i lubisz koktajle mleczne. Łypnęła groźnie na jego filiżankę.

- Niech zgadnę, wielki silny facet pije tylko czarną?

- A mała ślicznotka bardzo słodką. Że niby kto tu jest mały?

- Lepsze to niż mąż, którą ty pijesz. Udawał obrażonego.

- Mąż?

- Dobrze słyszałeś. Twoja kawa wygląda jak napar ze starego ołówka.

Teraz chyba naprawdę go uraziła.

- To ambrozja w najczystszej postaci. Tak właśnie Bóg nakazał ludziom przyrządzać kawę.

Prychnęła.

- W takim razie mam z Bogiem porachunki.

Roześmiał się, a jej zaparło dech, gdy zobaczyła, jak rozjaśnia się jego twarz.

- Chętnie posłucham - mruknął. Uśmiechnęła się szeroko.

- Nie wierzysz, że mogłabym wygrać?

- Szczerze mówiąc, wcale bym się nie zdziwił.

Dopiła kawę, rozkoszując się ciepłem, którym ją napełniała. A może to nie była kawa.

Dolał sobie i spojrzał na nią z iskrą w oku.

- Musimy omówić twój plan dnia.

- Plan?

- Tak, plan. Dzisiaj otwarcie wystawy. Planujesz tam być? Biedak. A już myślała, że ją rozgryzł.

- Ja nigdy niczego nie planuję - odparła. Widząc jego pokpiwające spojrzenie, nastroszyła się. - Nigdy.

Poprawił się w fotelu, nie spuszczaając z niej wzroku.

- Jesteś znaną artystką. Ludzie twego pokroju zawsze mają plan dnia.

- Ludzie mojego pokroju?

- Sławni.

- Ach, tak.

- Więc... muzeum. Idziesz?

- Mam już dosyć bycia oblewaną czerwoną mazią.

Nie, raczej nie. Ale kto wie? Nie mam kalendarza ani palmtopa. Jak powiedziałam, niczego nie planuję. Nie patrzę w przyszłość.

Czekała, aż zapyta, dlaczego. Już szykowała odpowiedź, bełkot o życiu chwilą, który wciskała większości. Ale nie zapytał.

Nie interesuje go to? Nie chce wiedzieć? Bez względu na powód zirytowało ją to.

- Nie zapytasz, dlaczego?

- Wiem, dlaczego. - Mówił cicho, patrząc na nią poważnie, mądrze.

Nagle przestraszyła ją jego przenikliwość. Nikt tyle o niej nie wie.

- Brak pamięci krótkotrwałej - powiedział po dłuższej chwili i nie wytrzymał, parskając śmiechem.

Rzuciła w niego saszetką cukru.

- Bo jesteś dziwaczką - stwierdził, łapiąc paczuszkę. - A spotkania, otwarcia wystaw i tak dalej?

- Maddie się tym zajmuje.

- Maddie.

- Tak, Maddie, pamiętasz ją?

- Świetnie. Porozmawiam z Maddie. - Wstał i podszedł do drzwi.

- Nie ma jej tam - zawołała za nim.

- Jak to?

- Po prostu.

Zawahał się i odwrócił w jej stronę.

- Skąd wiesz?

Nie chciała się z nim w to wdawać. Instykt podpowiadał, że tego nie zrozumie. Zwłaszcza po ich wczorajszym nieporozumieniu.

- Po prostu wiem.

Oparł się o ścianę koło sypialni Maddie.

- Co to za tajemnica?

- Żadna tajemnica.

- Więc?

Westchnęła. Skoro tak bardzo tego chce, proszę bardzo.

- Mówiłam ci, że po Harleyu nigdy nie śpię sama. I nagle zrozumiał. Nie podobało mu się to, co do niego dotarło.

- A ona co, trzyma się z daleka? Ułatwia ci to? -

Skrzyżował ramiona, zmrużył oczy. - Może jeszcze ci ich nagania?

- Jezu, naprawdę uważasz, że nie potrafię sama poderwać faceta? Nie, to ja wybieram. A wczoraj, jak ostatnia idiotka, wybrałam ciebie.

- Przynajmniej nie byłaś sama. Ani przez chwilę.

- Owszem, zauważyłam - rzuciła oschle. - Ja i mój kocyk. Maddie rozumie. Ty nie.

- Ależ tak, świetnie rozumiem - warknął i wszedł do pokoju Maddie. - Ma terminarz?

Słyszała, jak tłucze się po pokoju.

- Nie będzie zadowolona, że że grzebiesz w jej rzeczach - zawołała. Milczał. Nasłuchiwała, ale odpowiedziała jej tylko cisza.



- Ray? - skrzywiła się, patrząc na mleczną kawę. Czekala, aż coś powie, aż wróci. Nic. Zaintrygowana, odstawiła filiżankę i weszła do pokoju przyjaciółki. Ray stał nad jej walizką, leżącą na łóżku. W jego rękach dostrzegła plik kartek. Przyglądał się im.

- Co jest? Co się stało? Podenerwowany przerzucał kartki.

- Wiedziałem, że coś ukrywa.

- Niby co?

Wyrwała mu z reki arkusz. Drukowane litery zdawały się krzyczeć z białej strony:

„Nie zapomnisz mnie.  
Nie pozwolę ci na to, wariatko.  
Już nie żyjesz”.

Przejrzała pozostałe. Było ich sześć i wszystkie zawierały podobne groźby. Poczula mieszaninę strachu i podniecenia.

- Gdzie to znalazłeś?

- W walizce Maddie. Miła korespondencja od tak zwanej przyjaciółki.

- Nie żartuj. Maddie nigdy...

- Nigdy co?

Odwrócili się i zobaczyli Maddie w progu.

## Rozdział 27

Maddie popatrzyła na Raya z wyższością.

- Nigdy nie myszkowałyby w osobistych rzeczach

w cudzym pokoju? - podsunęła.

Patrzył, jak wchodzi. Sądząc po jej wyglądzie, miała za sobą ciężką noc. Jej zawsze nienagannie ułożone czarne włosy były potargane, a makijaż rozmazany. Chyba nie tylko Gillian nie spała sama.

- Tak, masz rację - mruknęła. - Nie zrobiłabym tego.

- Ty to napisałaś? - Nie owijał w bawełnę. Wodziła wzrokiem od niego do Gillian.

- A jak myślisz? - Przez jej twarz coś przemknęło. Niezdecydowa-nie? Wyrzuty sumienia? Ray wołał nie zgadywać.

- Moim zdaniem to możliwe. Prychnęła i weszła dalej.

- Jasne.

Gillian ciągle wpatrywała się w kartki z pogrózkami.

- Maddie, co to jest?

- Nic. Po prostu nic.

- Akurat - prychnął Ray. - To są groźby. Ty je wysłałaś? Gillian nie pozwoliła jej odpowiedzieć.

- Zaniknij się, Ray. Oczywiście, że nie ona. To od niego, tak? -Mówiła cichym, napiętym głosem.

- Od niego? - Zdziwił się. - Czyli od kogo?

- Od potwora z szafy - wyjaśniła Maddie i zabrała Gillian plik kartek.

- Moment! Daj mi to!

Maddie zaczęła je drzeć. Ray i Gillian rzucili się na nią prawie jednocześnie.

- Nie!

Ray dopadł jej pierwszy.

- To materiał dowodowy. Może nas doprowadzić do zabójcy. Maddie się roześmiała.

- Wątpię.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Jesteś tego bardzo pewna. Wiesz coś na ten

temat?

- Nic - odparła spokojnie, a gdy ciągle się w nią wpatrywał, dodała: - Dobrze, przyznaję się do winy. Ja to zrobiłam. - Podniosła rękę. - Proszę mnie aresztować, panie władzo.

- Dlaczego mi ich nie pokazałaś? - dopytywała się Gillian.

- Dlaczego? - Maddie roześmiała się ponuro. - Spójrz na siebie. I bez tego jesteś kłębkim nerwów.

- To nie twoja sprawa - upierała się Gillian. - Nie możesz za mnie decydować.

Maddie wzruszyła ramionami.

- Dlaczego? To ja cię ratuję, kiedy jest po wszystkim.

Gillian już miała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. W jej oczach pojawił się ból. W oczach Maddie także. Złagodniała, wyciągnęła rękę.

- Gillian...

- Powinnaś mi je pokazać.

Maddie spochmurniała, machnęła ręką. Zamknęła walizkę i cisnęła ją w kąt.

Ray podniósł kartkę.

- To posty z Internetu.

- Z mojej strony - dodała Gillian.

- Masz swoją stronę?

- Tak, Maddie jest administratorką.

Maddie. Zawsze wszystko sprowadza się do Maddie. Maddie zajmuje się jej karierą, planami, stroną. Ciekawe, czym jeszcze?

- Nie patrz tak na mnie, strażniku.

- Mogłaś to sfałszować.

- Mogłam, ale tego nie zrobiłam.

- Przestańcie. - Gillian stanęła między nimi.

Spojrzała na Raya. - Niby po co Maddie miałyby zrobić coś takiego?

- Żebyś się bała. Żebyś nadal trzymała ją przy sobie.
- Jest moją przyjaciółką. Nie potrzebuję innych powodów.
- Jej pozycja byłaby o wiele pewniejsza, gdybyś je miała.
- Maddie tego nie napisała - stwierdziła Gillian stanowczo. - Nie rozumiesz? Wysłał je zabójca. - Ochrypla z emocji. - Zabójca mojej matki.

Ray wolał nie wyciągać pochopnych wniosków.

- Tego nie wiemy.
- Ja wiem. Jeśli nie on, to kto?
- Nie wiem. Zapytajmy Maddie. Przecież to ona zajmuje się wszystkim. - Była nachmurzona, usta zaciskała w wąską linię. - No, kto, Maddie? Jeśli nie ty i nie morderca Holland Gray, to kto?

Maddie patrzyła to na niego, to na Gillian. Walczyła ze sobą. W końcu złagodniała. Opuściła wzrok.

- Dostajemy je... - urwała i spojrzała na Gillian. W jej oczach było błaganie o wyrozumiałość. - Od pół roku.

Gillian wstrzymała oddech.

- I nic mi nie mówiłaś?
- Jest tego więcej? - zainteresował się Ray.
- Tak.
- Od pół roku?

Maddie skinęła głową. Unikała wzroku Gillian, która osunęła się na

łóżko. Nie mogła w to wszystko uwierzyć, Ray wodził wzrokiem od jednej do drugiej.

- A co się stało pół roku temu? - Milczały, więc powtórzył to samo pytanie głośniejszym głosem, bardziej stanowczo: - Co się stało pół roku temu?

Gillian spojrzała na Maddie i zapytała:

- Myślisz, że to Kenny?

Maddie milczała, ale jej wzrok mówił wszystko.

- Jest do tego zdolny - mruknęła Gillian.
- Kim, do cholery, jest Kenny? - Ray tracił cierpliwość.
- I zawistny - dodała.
- Co to za Kenny? Spojrzały na niego jednocześnie.
- Kenny Post, gwiazda rocka. - wyjaśniła Gillian. -
- No, może nie gwiazda. - Zerknęła na Maddie. -
- Znasz zespół Czarny Karaluch? - zapytała Raya.
- Nie.
- No właśnie, jak większość ludzi. I dlatego Kenny jest także pijakiem, oszustem i generalnie nikim - dokończyła.
- To jej były chłopak - wyjaśniła Maddie.
- Agresywny i zazdrosny były chłopak - mruknęła Gillian. Ray milczał. W aktach nie było mowy o byłym chłopaku.
- Gdzie twój komputer? Muszę to sprawdzić.

Maddie wyjęła laptop z torby.

- Teraz mi wierzysz?
- Tego nie powiedziałem. Ale chcę zobaczyć te pogróżki na własne oczy.

Znieruchomiała z laptopem do połowy wyjętym z pokrowca.

- To niemożliwe.
- Niby dlaczego? Maddie się zaczerwieniła.
- Usunęłam je.
- Co? Dlaczego? - Ray czuł, że traci panowanie nad sobą.
- Maddie! - jęknęła Gillian.

Na ułamek sekundy Maddie straciła swoje słynne opanowanie. Zawahała się. Widać było, że gorączkowo szuka jakiegoś wytłumaczenia.

- Dlaczego? - Ray nic dawał za wygraną.
- Nie chciałam, żeby Gillian je zobaczyła - zawołała

w końcu. -Zadowoleni?

- Albo nigdy nie istniały, może sama je napisałaś - zauważył Ray.

- Wracamy do tego?

- Przestań. - Gillian spojrzała na Raya

Maddie patrzyła na nią rozpalonym wzrokiem.

- Nie musisz mnie bronić! - Przeniosła wzrok na Raya. - Tak, masz rację. Napisałam je i ukrywałam przez pół roku.

- Nie najlepiej, skoro je znalazłem - zauważył.

- Nie znalazłeś ich tak po prostu. Wyszperałeś je.

Grzebałeś w moich rzeczach. Coś jeszcze przypadło ci do gustu? Jedwabne majtki? -

Pomachała mu przed nosem zwitkiem materiału.

Wyrwał go jej i cisnął na łóżko.

- A co do „pół roku”, to mamy tylko twoje słowo.

- Daruj sobie, Ray - mruknęła Gillian.

- A co jest nie tak z moim słowem? Było dość dobre, kiedy.,.

- Nie dla mnie.

- Ja nie...

- Dość! - Po krzyku Gillian zapanowała cisza. - Ona tego nie zrobiła - powiedziała w końcu. - Może to Kenny, a może nie. Ale na pewno nie Maddie.

- Miłością i przyjaźnią manipuluje się najłatwiej - zauważył Ray.

- A to co? Konfucjusz? - prychnęła Gillian. - Ray, tu nie chodzi o ciebie ani o Nancy, ani o inne nieszczęścia w twoim życiu.

Jej słowa ugodziły go jak kule, prosto w serce, ale zaraz się otrząsnął. Uciekł w chłód.

- Tak jest, Gillian, masz rację. Nie rozmawiamy o mnie, tylko o tobie. O tobie i twojej czarownicy.

- Wiesz co?- Maddie gwałtownie otworzyła szufladę, wyjęła naręczce ciuchów i zamknęła ją energicznie. - Idę się wykąpać. Ty też powinnaś. -

Spojrzała na Gillian. - Masz dzisiaj spotkanie w Domu Sztuki. - Dom Sztuki był największym centrum edukacji artystycznej w Nashville. Oferował zajęcia dla wszystkich grup wiekowych, od przedszkolaków po seniorów.

- Cholera, zapomniałam.

- Gdybyś raz na jakiś czas zaglądała do kalendarza...

- Wiem, wiem. - Gillian uśmiechnęła się bezczelnie.

- Życie chwilą

- I załóż coś szokującego. Wieczorem jesz kolację z dziadkami. Gillian spochmurniała. Najwyraźniej nie miała na to ochoty.

Ray był mocno poirytowany. Nie znosił niespodzianek, zwłaszcza tylu naraz.

- Miałaś mnie informować, jeśli planujesz wyjście - powiedział do Gillian.

- Właśnie to zrobiłam - zauważyła chłodno Maddie.

- Ale nie na tyle wcześnie, żebym się rozejrzył na miejscu.

- Słuchaj, zawsze odwiedzam Dom Sztuki, kiedy jestem w Nashville. - Włączyła się Gillian. -

Ufundowałam stypendium fotograficzne.

Rayowi ani trochę się to nie podobało. Im więcej rutyny, tym większa szansa, że ktoś to dostrzeże i zaatakuje.

- Jak to: zawsze?

- Właśnie tak. Zawsze. - Maddie pokazała mu drzwi. - Czy teraz mógłbyś...

Ray zacisnął usta i wskazał jej komputer.

- Mogę...?

Uśmiechnęła się ponuro.

- Proszę bardzo. - Weszła do łazienki, ostentacyjnie trzaskając drzwiami.

Ray złapał Gillian za ramię i wyciągnął z pokoju.

- Nie chcę jej tutaj - powiedział.

- Spadaj.  
- Nie ufam jej. W takiej sytuacji nie mogę cię skutecznie chronić.  
- No to mamy problem, skarbie, bo ja jej nie odprawię. - Gillian od-maszerowała do swojego pokoju, zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem. Wściekły, rozglądał się za czymś, w co mógłby uderzyć, ale zaraz się opanował. Oddychanie. Liczył powoli, aż zupełnie się uspokoił. Musi zachować jasność umysłu, bo niezależnie od opinii Gillian zagrożenie jest rzeczywiste. I niewykluczone, że pochodzi od osób jej najbliższych.

Maddie oparła się o zamknięte drzwi łazienki. Pod szlafrokiem była zlane potem. Nie potrzebowała lustra, żeby wiedzieć, że wygląda okropnie. Tak też się czuła.

Nie zapomniała, że ilekroć bogate dziewczyny w Hadley nazywały ją córką górnika, Gillian stawiała w jej obronie. I razem wypinały się na snobki i cały świat.

A teraz?

Cisnęła ubrania na deskę klozetową, zostawiając w ręku tylko telefon, który przemyciła ze sobą. Przez chwilę przyglądała mu się ze strachem. Potem zamknęła oczy i wybrała numer.

Uzyskała połączenie. Przedstawiła się i wyjaśniła, dlaczego dzwoni. Pięć minut później usłyszała to, co chciała usłyszeć, ale wcale nie poczuła się przez to lepiej. Nadal się obawiała, że ich złapią. Za bardzo

ryzykowali. Ktoś się w końcu zorientuje.



## Rozdział 28

GdY Gillian się szykowała, Ray zadzwonił do Carleco Security i poprosił, żeby poszukali w bazach danych wszystkiego o Kennym Poście. Poprosił także, by znaleźli zdjęcie i sprawdzili na nagraniach z muzeum, czy go tam nie było. Jeśli to on pisał listy pogrózkami i jeśli jest w Nashville, zagrożenie przybierze bardzo realny wymiar. Pracownicy biura mieli także skontaktować się z Nowym Jorkiem i spróbować tam go namierzyć. Ray poprosił też, by ktoś zabrał z hotelu laptop Maddie. Są sposoby, by odzyskać z twardego dysku skasowane pliki, a wśród ludzi Carlsona jest dwóch informatyków. Jeśli Maddie stoi za pogrózkami, udowodnią to.

- I natychmiast poślijcie kogoś do Domu Sztuki - powiedział na koniec. - Panna Gray ma tam spotkanie. Chcę mieć pewność, że mamy opracowane trasy ewakuacji. Tak na wszelki wypadek.

Potem zadzwonił do Jimmy'ego. Nie został go, ale zostawił wiadomość o byłym chłopaku Gillian. Ciągle czekał na bardziej szczegółowe informacje o Kennym. Dla zabicia czasu otworzył laptop Maddie i sam wyszukał podstawowe dane w Internecie. Krytycy pisali o muzyce Posta, że rozsadza głowę, jest brutalna i agresywna. Uważali go za nowego Sida Viciousa. Na zdjęciu zobaczył wysokiego chudego mężczyznę w podartych dżinsach i wysokich skórzanych butach. Ciemne tłuste włosy opadały mu na twarz, usta nad kozią bródką

uśmiechały się ironicznie. Oprócz recenzji Ray znalazł także notki prasowe - jedną o zdemolowanym barze w SoHo, i drugą, o zniszczonym pokoju hotelowym w Chicago.

Nieźle ziółko.

Ale czy chciał śmierci Gillian?

- Poczytałem sobie o twoim chłopaku - powiedział, gdy Gillian wyszła ze swojego pokoju. Miała na sobie obcisłą dżinsową spódniczkę, która podkreślała jej pośladki, zwiewną, przezroczystą bluzeczkę i czarne kozaki na szpilkach. Była twarda, delikatna i seksowna jednocześnie. Ray jęknął w duchu.

- To już nie mój chłopak - odparła, po czym naląła sobie kawy i usiadła na wysokim barowym stołku. Spódniczka podjechała jej do góry, odsłaniając smukłe uda. Ray odwrócił wzrok.

- Istny łamacz serc. Roześmiała się gorzko.

- Nie tylko serc.

- A czego jeszcze?

Milczała, pochłonięta wsypywaniem cukru do filiżanki. Posłała mu pytające spojrzenie.

- Uderzył cię kiedyś? - zapytał szorstko Ray.

Ponownie zajęła się kawą.

- Raz czy dwa, po alkoholu. No ale odpłaciłam mu pięknym za nadobne, więc daruj sobie gadki umoralniające.

- Przecież nic nie mówię.

- I tak cię słyszę. - Spojrzała na niego znad filiżanki. - Posłuchaj, jego już nie ma - tłumaczyła.

- Jak pozostałych.

- Pozostałych?

- Wszystkich miłości mojego życia. Ray poczuł lekkie ukłucie zazdrości.

- Kochałaś go?

Wzruszyła ramionami, chowając się za filiżanką

- Zabijałam z nim czas.

Zastanawiał się, czy ona w ogóle kiedyś kochała?

Czy traktowała jakiś związek poważnie? I co ważniejsze, czy ktoś kiedyś kochał ją? Naprawdę się o nią troszczył?

Przypomniał mu się szorstki ton Genevry i milcząca pokora Chipa. A potem to, jak sam szlachetnie wzgardził ciałem Gillian. Powinien się z nią przespać i mieć to z głowy. Dla niej to i tak bez znaczenia, a on może znowu mógłby swobodnie oddychać.

Problem w tym, że nie wierzył, że jest jej wszystko jedno. Co tylko potwierdzało, jaki z niego dureń.

- Wiesz, gdzie on teraz jest?

- Nie. Ale jeśli nie w trasie, to pewnie u siebie. A jeśli koncertuje,

jego agent powie ci, gdzie go znaleźć. - Podała mu nazwisko i numer telefonu.

Godzinę później Ray miał na biurku akta kryminalne Kenny'ego Posta, ale nadal żadnych wiadomości o miejscu jego pobytu. Nie było go w jego nowojorskim mieszkaniu, agent nie planował żadnych koncertów i nie miał pojęcia, gdzie się podziewa klient. Podobnie pozostali członkowie zespołu. Kenny Post przepadł jak kamień w wodę. Ray wolał nie ryzykować. Ściągnął samochód z kierowcą. Pieprzyć wtapianie się w tło.

Maddie znowu odmówiła.

- Jak chcesz - mruknął, zadowolony, że kobiety się rozdziela. Gillian była jednak innego zdania.

- A niby jak tam dotrzesz? - zwróciła się do przyjaciółki. - Oszalałaś?

- To twoja działka - rzuciła Maddie, sięgając po płaszcz i torebkę.

- Więc nie doprowadzaj mnie do szału - burknęła

Gillian. - Jedziesz z nami.

- Świetnie. Jak chcecie. - Ray tracił cierpliwość. -

Ale chodźmy już. - Przepuścił je przodem. Na zewnątrz czekał samochód.

W holu okazało się, że aby dotrzeć do auta, muszą pokonać morze dziennikarzy. Kiedy zobaczyli Gillian w szklanych drzwiach, dosłownie oszaleli. Ochrona hotelowa z trudem utrzymywała ich na zewnątrz.

- Jezu - mruknął Ray. Odwrócił się bez słowa, odciągając Gillian od drzwi. - Tylne wyjście - powiedział do mikrofonu i już po chwili usłyszeli pisk opon odjeżdżającej limuzyny. - Chodźmy. - Pchał Gillian przed sobą. Maddie truchtała za nimi. - Właśnie dlatego kazałem ci wczoraj siedzieć w pokoju! - Ray pociągnął Gillian w bok. - Brukowce dobrze płacą za informacje. Któryś z twoich kumpli z baru zainkasował niezłą sumkę.

- Albo jedna z pokojówek. - Posłała mu pogardliwe spojrzenie. Przyśpieszył kroku. - Pamiętaj, że to ty wybrałaś hotel.

Wraz z limuzyną na tyły hotelu dotarli pierwsi paparazzi. Ray wziął Gillian pod rękę i zaczął się przepychać przez tłum, osłaniając ją przed kamerami.

Patrzył, jak wraz z Maddie wsiada do limuzyny. Sam zajął miejsce koło kierowcy. W tym momencie Gillian wykręciła jeden ze swoich szalonych numerów.

Otworzyła okno.

Trzaskały aparaty, błyskały flesze, dziennikarze przepychali się, chcąc coś od niej usłyszeć.

- Hej, Gillian, spójrz tutaj!

- Pojedziesz dzisiaj do muzeum?

- Co sądzisz o zabójstwie?

- Zabiłaś już dzisiaj kogoś? Ray poczerwieniał z

wściekłości.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz? - wrzasnął do Gillian.

- Jedź! - syk-nął do kierowcy. - Jedź! I zamknij to cholerne okno!

Ciemna szyba się podniosła. Gillian opadła na siedzenie z zadowolonym uśmiechem.

- Oszalałaś? - zapytał Ray.

- Wiesz, że tak.

- Może to ona napisała te listy - powiedziała kpiąco Maddie. Tego już było za wiele. Kropla przepełniła kielich.

- Wiesz co? Chcesz się zabić? Proszę bardzo. Ja nie zamierzam się narażać dla twoich głupich gier. Odwiozę cię do muzeum, a potem radź sobie sama.

## Rozdział 29

Gillian przechadzała się po Domu Sztuki, uważnie przyglądając się wystawionym fotografiom. Tuż za nią szedł tłumek rozchichotanych, przejętych dzieci.

Zatrzymała się przed interesującym ujęciem budynku w centrum miasta. Autor zdjęcia uwiecznił róg budynku na wpół spowity w cieniu, co dało bardzo dramatyczny efekt.

- Czyje to?

Mały chłopczyk o czekoladowej skórze podniósł rękę. Uśmiechał się od ucha do ucha i nerwowo kołysał na piętach.

- Co ci się spodobało? - zapytała. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale milczał. Gillian nie dawała za wygraną.

- Dlaczego zrobiłeś to zdjęcie?

- Spodobało mi się słońce - powiedział w końcu. - To, jak przecina budynek. - Roześmiał się.

Pozostałe dzieci mu zawtórowały.

Gillian także.

- Mnie też się to podoba - zapewniła. Maddie trzymała się z boku, zostawiając Gillian samą z dziećmi

i ich nauczycielką. I z facetem, który powinien być Rayem.

Gillian pamiętała go z muzeum, ale zapomniała jego nazwiska. Lan-don? Landsdown? Był mniejszy od Raya. Kątem oka widziała jego niewzruszoną czujną twarz. Przypominał jej sprzedawcę ubezpieczeń. Nie było w nim nic, co kusiłoby jej obiektyw. Był anonimowy. Przeciętny. Zwyczajny. Landowe. Tak się nazywa. Bawiła się tym nazwiskiem. Landowe. Grajdoł. Pasą. Masą. Jezu, skąd te wiejskie skojarzenia? Wiedziała. Gryzły ją wyrzuty sumienia. Może przesadziła w hotelu. Trzeba było spuścić głowę i pokornie go słuchać.

Nie. Prowokacja to nie tylko jej nawyk, ale także konieczność. Niby jak morderca ma ją znaleźć, jeśli nie wie, gdzie jest? Zatrzymała się przed zdjęciem balonów lecących ku słońcu.

- Fajne. - Patrzyła na żywe kolory i słońce w tle.

- To zdjęcie Marcy! - zawołał ktoś. Dzieciaki z przejęciem kiwały głowami, wskazując chudziutkiego rudzielca z warkoczykami jak u Pippi Langstrumpf, na końcu grupki.

- Ona jest nieśmiała - tłumaczyły dzieci.

Nieśmiałość nigdy nie była problemem Gillian. Ray

musi się z tym pogodzić i tyle. Wóz albo przewóz. Chyba przewóz, sądząc po obecności Landowe'a. Dzieciaki szarpały ją są rękę, domagając się uwagi. Z roztargnionym uśmiechem oglądała fotografie na ścianach. Niektóre były naprawdę dobre, ale nie mogła się skoncentrować. Nie teraz, gdy zaprzętały ją myśli o Rayu.

Jezu, ale z niego dupek.

Nowy facet nie przyprawiał jej o drżenie jak Ray. Mówi się trudno. Miała swój plan, a obecność Ray a tylko komplikowała sprawę. Dobrze, że odszedł. Usiłowała skupić się na czarno-białym zdjęciu maski starego forda.

- To auto mojego tatusia - wyjaśnił cichy głosik w tłumie.

- To auto Dwayne'a - potwierdził inny głosik.

Przynajmniej nie musiała się przejmować spięciami między Maddie i Rayem. Teraz interesuje ją tylko potwór. I to, kiedy po nią przyjdzie.

Ray wrócił do hotelu z facetem, który przywiózł Landowe'a. Carlson nie był zadowolony z jego decyzji, ale Ray miał to w nosie.

Wyjechał z hotelowego parkingu i skręcił w West End. Biuro znajdowało się w przeciwnym kierunku, ale musiał ochłonać, odzyskać spokój. Więc jechał. Przed siebie. I może nigdy nie przestanie.

Wyjedzie z miasta. Ze stanu. Od dawna miał taki plan, więc czemu nie zrealizować go właśnie teraz? Było chłodno, ale słońce uparcie przebijało się przez chmury. Wszędzie kwitły wiosenne kwiaty, jakby plamy koloru mogły ożywić beton wielkiego miasta.

Dziesięć minut później dojechał do rozstajów.

Skręcił na autostradę numer 100, która przechodzi w drogę do Natchez. Jednak najpierw czekała go

podróż przez Belleyue, krainę apartamentów i domków klasy średniej. Krainę mężów, żon i dzieci. Nie jego dzieci. Krainę Nancy i Petera. Odrobina cierpienia dobrze mu zrobi.

Coś jeszcze czekało przy setce. Przed oczami stanęła mu twarz Gil-lian, ale odepchnął od siebie to wspomnienie. To już nie jego sprawa.

Chcąc odpędzić od siebie myśli o niej i pozostałych kobietach jego życia, skręcił na parking przed małym centrum handlowym i zatrzymał się przed kawiarnią Starbucks. Niestety, jego szczęście zrobiło sobie tego dnia wolne. Zatrzymał się w pół kroku. Po drugiej stronie parkingu Nancy ugiwała się pod ciężarem zakupów i dzieciaka. Wielki brzuch utrudniał jej wędrówkę.

Ray znieruchomiał. Cholera. Zostać czy odjechać? Pytanie jego życia.

Już miał się odwrócić, ale zanim ostatecznie się zdecydował, Nancy podniosła wzrok i go zobaczyła. Patrzyli sobie prosto w oczy. Podniosła rękę z pakunkiem i pomachała nieśmiało.

- Cześć, Ray. Co u ciebie? Wagary?

Prawdopodobieństwo, że na nią wpadnie, było bliskie zeru.

- Mniej więcej. - Podeszedł do niej zabrał kilka pakunków. - Wszystko w porządku? - zapytał, nie wiedząc, co innego powiedzieć.

- Tak.

Ciemne włosy miała zebrane w koński ogon, na twarzy nie było najmniejszego śladu makijażu. W stylu sprzątaczkii, jak zwykła mawiać. Zazwyczaj dodawała jeszcze: „Ale jeśli zrobisz pranie, chętnie zrobię się na bóstwo”.

Dlaczego pamięta takie drobiazgi? Do szału doprowadzała go świadomość, że szczegóły z ich



życia nadal chodzą mu po głowie.

- Kto to? - Mały chłopczyk, którego prowadziła za rękę, przyglądał mu się ciekawie. Miał jasne włosy ojca i zielone oczy Nancy. Ray udawał, że nie poczuł ukłucia żalu.

- To jest Ray - odparła. - Przywitaj się.

Ale chłopczyk tylko się na niego gapił, tak że Ray poczuł się jak zwierzak w zoo.

- Dobrze wyglądasz. - Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Roześmiała się.

- Nieprawda. - Poklepała się po wielkim brzuchu i mrugnęła konspiracyjnie. - Jeszcze cztery tygodnie.

- Podobno bliźniaki?

Skinęła głową. Zachichotała mimo woli.

- Wyobrażasz to sobie?

Powiedzieć, że ciężarna promienieje, to banał, ale nie znajdował lepszego słowa, by opisać jej wygląd.

- Gratulacje.

- Dzięki.

- Wydajesz się... - odchrząknął, jakby słowa nie chciały mu przejść przez gardło. - Bardzo szczęśliwa.

Zamyśliła się, a potem uśmiechnęła szeroko.

- Bo jestem.

Patrzyli na siebie i niezręczna chwila się przedłużała. Czy powinien wspomnieć o jej ojcu? O tym, że widział się z Jimmym? Nancy nie przepadała za ojcem, a ponieważ spotkanie Raya z Jimmym nie przebiegało w zbyt przyjacielskiej atmosferze, uznał, że będzie to równie krępujące jak milczenie.

- Czas na nas - powiedziała w końcu. Spojrzała na niego wyczekująco.

- Och. - Ray poczuł się jak kretyn. - Proszę. -

Oddał jej sprawunki.

- Do zobaczenia. - Pomachała mu.

- Pa. - Odmachał, choć wiedział, że ponowne spotkanie jest mało prawdopodobne.

Wszedł do kawiarni i zamówił kawę. Jakby potrzebował jeszcze więcej kwasu.

Wypił ją duszkiem. Pieprzyć to. Co z tego, że z nim Nancy nigdy nie była tak szczęśliwa? Teraz jej szczęście to problem Petera. Ray nie potrafi uszczęśliwić. Nawet jego matka była wiecznie smutna - aż do ostatniej chwili, gdy wjechała samochodem na drzewo. Nigdy nie udało mu się wywołać uśmiechu na jej twarzy.

Zabrał resztkę kawy do samochodu, wyjechał z parkingu i skręcił w lewo. Ale tym razem wiedział, że nadkłada drogi.

Autostrada numer 100 była kiedyś wiejską drogą prowadzącą przez rolniczą krainę. Przyjeżdżali tu czasem z Nancy do Loveless Café na smażonego kurczaka. Opowiadała wtedy, że gdy była dzieckiem, miejsce, w którym zatrzymał się na kawę, było ostatnim bastionem cywilizacji. Dalej były już tylko pola i farmy. Zastanawiał się, co tam uprawiano. Tytoń? A może hodowano krowy? Albo konie?

Teraz i tak nie miało to już znaczenia. Większość farm zniknęła bez śladu, a wzdłuż asfaltu wyrosły chodniki. Tam, gdzie dawniej rozciągały się pola, teraz kusiły centra handlowe. Dwadzieścia lat temu nadal znajdowałyby się na wsi. I zapewne właśnie tego szukała Holland Gray, sprowadzając się tutaj. Przypomniał sobie adres z akt Harleya i zwolnił. Był na miejscu. Mały domek stał przycupnięty na wzgórzu na skraju okręgu Davidson. Prowadził do niego wąski podjazd, wyznaczony płotem. Na pagór-

ku od trawy odcinały się dwa białe budynki gospodarcze. Dom otaczała schludna weranda z ozdobnymi poręczami. Od frontu stały zabytkowe bujane fotele. Ciekawe, czy to na jednym z nich siedziała Gillian na okładce „People”? Masywny kamienny komin oznaczał, że w środku jest kominek. Prawdziwy, a nie taki z drwami na gaz. Ray wiedział od razu, dlaczego Holland zakochała się w nim. Romantyczny wiejski domek, idealne miejsce do uwicia rodzinnego gniazdka, Ale czy tego właśnie chciała? Jej rodzice mieli posiadłość w Belle Meade. Dlaczego postanowiła zagrzebać się tu, na wsi? Jeśli wierzyć prasie, porzuciła blichtr wielkiego świata ze względu na dziecko, ale Gillian miała już sześć czy siedem lat, gdy tutaj zamieszkały. Skąd ta nagła odmiana? Zwolnił, a potem się zatrzymał. Wyobraził sobie Holland z blond aniołkiem u boku. Uciekinierkę ze świata mody, sesji zdjęciowych i gwiazd. Dwadzieścia lat temu ten domek stał się jej ostoją. Schronieniem. Ale i pułapką, ukrytą wśród wzgórz Tennessee. Morderca zakradł się niezauważony. Nawet jeśli Holland krzyczała, nikt jej nie słyszał. Po wszystkim napastnik z łatwością oddalił się boczną dróżką. Ray wyjął z kieszeni zdjęcie miejsca zbrodni. Znalazł je rano, w kieszeni koszuli, w której był u Harleya. Nie przypominał sobie, by je tam chował, więc zapewne zrobił to podświadomie. Wychodząc, celowo je zabrał, choć nie wiedział, że tu przyjedzie. Że stanie przed domem, przed ślicznym grobowcem Holland Gray. Wpatrywał się w fotografię i coś nie dawało mu spokoju. Coś z domem? Miał ochotę zapukać do drzwi. Ciekawe, czy obecni mieszkańcy go wpuszczą. Chciał obejrzeć tył, podwórko, przez

które zapewne zakradł się morderca. I kuchnię z linoleum, na którym umarła Holland Gray. Czy zobaczy coś, co umknęło innym? Znajdzie niewidoczny dotąd związek między tym, co wydarzyło się wtedy, a tym, co dzieje się teraz? Zresztą, co go to właściwie obchodzi? Skończył z Gillian.

Rozdzwoniła się jego komórka.

- Ray, tu Jimmy. Gdzie twoja klientka?

- Masz na myśli Gillian?

- A masz ich więcej? Myślałem, że się nie przemęczacie i załatwiacie jedną na raz.

Ray puścił tę złośliwość mimo uszu. Mógł powiedzieć, że Gillian już nie jest jego klientką, ale wtedy Jimmy bez słowa odłożyłby słuchawkę.

- A co?

- Pamiętasz Bentona Jamesa, dziennikarza z „Przeglądu Tennessee”?

- Co z nim?

- Dostał kolejne zdjęcie.

## Rozdział 30

Gillian wyglądała przez okno limuzyny w drodze z Domu Sztuki. Przez ciemne szyby wszystko wydawało się czarne.

Następna ofiara. Trup. I znowu nie ona. Kolejna imitacja. Także to zdjęcie starannie upozorowano i przesłano do prasy. Ktoś opisał je jej nowemu ochroniarzowi, a on z kolei przekazał opis Gillian.

Przedstawiało salonik z włączonym telewizorem. Na podłodze stało mleko, obok ciasteczka. Ciało leżało na rozłożonym pasjansie. Na asie pik widać było smugę krwi z poderżniętego gardła młodej dziewczyny. Po lekcjach.

Gillian dobrze pamiętała to zdjęcie.

Skomplikowane ujęcie, sporo się napracowała, by jak najlepiej uchwycić wszystkie szczegóły.

Zwłaszcza otwarte, wpatrzone w przestrzeń oczy ofiary. Chciała, żeby mówiły: „Widzę cię. Chodź, powiedz, jak się nazy-wasz”.

Ale on powiedział to komu innemu.

Dziewczynie na gigancie. Blondynce. Młodej, bardzo młodej. Lan-dowe powiedział, że miała piętnaście czy szesnaście lat.

Łzy dławily Gillian w gardle, ale dzielnie je powstrzymywała. Tak szybko wyprowadzili ją z Domu Sztuki, że nawet nie zabrali Maddie.

A nowy, Grajdoł, nie odpowiadał na jej pytania.

Kierowca zatrzymał się przy tylnym wejściu.

Wysiadła. Nowy szedł za nią, trzymając ją za łokieć. Wprowadził ją jak pies pasterski stado owiec.

- Odsuń się - warknęła.

- To jest standardowa...

- Wiem. - Odepchnęła go. - I tak się odsuń.

Facet zacisnął zęby, ale cofnął się o krok. Gillian przyspieszyła i jak na zawołanie zobaczyła otwarte drzwi windy. Wbiegła do środka, zanim się zamknęły. Landowe został na zewnątrz.

- Panno Gray! - Słyszała jego stłumione krzyki, a potem kopnięcie. Masz pecha, matole.

Wiedziała, że nie pozbyła się go na długo. Pewnie gna teraz po schodach i, znając jej pecha, będzie na nią czekał na górze.

I czekał, tyle że nie on. Kiedy rozsunęły się drzwi,

Gillian sapnęła zdumiona.

Ray.

Zakłęła w myślach, zła, że ją zaskoczył.

- Tęskniłaś? - W jego ustach zabrzmiało to jednocześnie jak obelga i prowokacja. Skinął głową, aby wyszła.

Minęła go, nie podnosząc wzroku. Co to za uczucie się w niej rodzi? Podniecenie? Szczęście? Nie podobało jej się, że czuje coś takiego na czyjkolwiek widok, ani teraz, ani nigdy. A zwłaszcza na widok Raya Pearce'a.

- Jak za bólem zęba.

W tym momencie na piętro wpadł Landowe. Dyszał ciężko.

- Panno Gray - wysapał, opierając się o ścianę. - Proszę więcej tego nie robić.

Ray ze współczuciem poklepał go po plecach

- Odsapnij trochę, już ją mam - rzucił. Jakby była dziką kłaczą w corralu.

Landowe skinął głową. Zostawili go w korytarzu.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi apartamentu, Ray powiedział:

- Burke już tu jedzie, więc się przygotuj. - Mówił spokojnie, bez emocji. Nie oceniał tego, co zrobiła. Nie tłumaczył, czemu wrócił.

Miał rację. Jest tyle ważniejszych spraw.

Oskarżenia mogą poczekać. Musi się skoncentrować na morderstwie, na skorygowaniu torów losu. Niech przeznaczenie uderzy w nią, a nie w kolejną niewinną blondynkę.

Osunęła się na wysoki barowy stółek, nagle znużona.

- Jest coś jeszcze - dodał Ray.

Podniosła wzrok i zobaczyła w jego oczach złe wieści.

- Kiedy sprawdzaliśmy komputer Maddie, na twojej stronie pojawiła się nowa wiadomość. Bawiła się pustą filiżanką, walcząc z narastającym strachem.

- Co w niej było?

Przez chwilę się wahał, a potem powiedział cicho:

- "Ja to robię naprawdę".

Patrzyła mu w oczy. Nagle zrozumiała.

- On zabija naprawdę. - Wbiła paznokcie w dłoń, żeby nie krzyczeć. - A ja... ja tylko fotografuję.

- Na to wygląda.

Ogarnęły ją chłód i przygnębienie. Skurwielił ją wykorzystuje. Wykorzystuje tak, jak przewidzieli jej krytycy - przywołując nową przemoc. Pochyliła się nad kontuarem, nerwowo szukając kubka, szklanki, czegoś, czego mogłaby się uchwycić, by nie upaść.

Znalazła Raya. Silna dłoń na plecach pomogła jej odzyskać równowagę.

- Już dobrze - szepnął. - Akurat

Milczał.

- Nadal uważasz, że to Maddie? - zapytała w końcu.

- Może - przyznał.

- Przecież teraz była ze mną w Domu Sztuki. Twój kumpel Landowe to potwierdzi

- Ale nie była z tobą wczoraj wieczorem, gdy wyszłaś z baru. A właśnie wtedy nadano tę wiadomość. - Urwał. Wiedział, że nie spodoba jej się to, co zaraz usłyszy: - Słuchaj, ciągle nie możemy znaleźć Posta. Dlatego musimy cię zabrać z hotelu. Zbyt wiele osób wie, że tu jesteś.

Rzeczywiście, nie spodobało jej się to.

- Nie zgadzam się.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Chyba żartujesz. Będziesz się jeszcze upierać?

Zanosiło się na kolejną konfrontację. W innych okolicznościach nie miałyby nic przeciwko temu, ale teraz, kiedy wiedziała to, co wiedziała, nie chciała się kłócić.

Przyjrzała mu się.

- Co ty tu właściwie robisz? Myślałam, że rzuciłeś tę robotę. Ray podszedł do przeszklonej ściany. Z rękami w kieszeniach

patrzył na zaciągnięte zasłony. Nie chciał się zastanawiać, dlaczego wrócił. Dlaczego znowu patrzy w te nieszczęśliwe fiołkowe oczy. Ale spotkanie z Nancy, a potem widok tamtego domku, symbolu tragedii Gillian...

Przypomniał sobie dzień, kiedy policja uniwersytecka zawitała do jego pokoju w akademiku. Już samo to było szokujące, ale gdy pierw-

sze zdenerwowanie minęło, domyślił się, że wydarzyło się coś strasznego. Poprosili, by wszedł do środka, posadzili na wąskim łóżku. Umierał z niepokoju, choć inny głos w głowie uspokajał, mówił, że nakręca się bez powodu. Pewnie wlepili mu mandat za parkowanie albo chodzi o coś w drużynie. A potem, z bezosobowym współczuciem, które prezentują policjanci i żołnierze bezpowrotnie zmieniający życie nieznajomych, powiedzieli mu, że jego matka się rozbiła i złożyli kondolencje.

Od początku miał opory przed wyjazdem na studia - niejasne, niezwerbalizowane lęki. Ale Birmingham dawało pełne stypendium w zamian za grę w ich drużynie hokejowej. Nie mógł odrzucić takiej oferty.

Policjanci poklepalili go po ramieniu i wyszli, a on siedział odrętwiały, oniemiały, wpatrzony w podręcznik Wstęp do politologii. I wtedy zrozumiał,



czego tak bardzo się obawiał - że wyjeżdżając, nie będzie mógł jej pilnować. A kto wie, co się stanie, kiedy nie będzie czuwał?

- Masz już dwa trupy - powiedział w końcu. - Po co ci trzeci? Gdy Gillian stanęła obok niego, poczuł, jaka jest kruchotka i wrażliwa.

- Więc jak, zostajesz? - zapytała. - Sama nie wiem, czy mi się to podoba. - Kąciki jej ust drgnęły lekko. Pierwsza oznaka uśmiechu, odkąd wrócił.

- Pod jednym warunkiem - zastrzegł.

- Dlaczego zawsze stawiasz jakieś warunki?

- Odeślesz Maddie do domu. To tylko dodatkowa osoba do pilnowania.

- Potrzebuję jej.

- Nieprawda.

- No to ona potrzebuje mnie.

- Z tym akurat się zgadzam.

- Nie pozwolę, by myślała, że ją o coś obwiniam...

- Zapomnij o winie i pomyśl, co będzie, jeśli morderca przyjdzie po ciebie, a jego ofiarą padnie Maddie?

Patrzył, jak docierają do niej jego słowa. Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej:

- Landowe pojedzie po nią do Domu Sztuki i zabierze na lotnisko. Bagaż wyślesz jej kurierem.

- Chyba żartujesz. Nie odeślę jej jak paczki.

Przyjedzie tutaj, wszystko jej wytłumaczę, a potem się pożegnamy. Jak ludzie.

Gillian miała milion wad, ale na pewno była lojalna,

- Dobrze. - Poddał się. - Niech będzie, Landowe przywiezie ją do hotelu.

## Rozdział 31

Burkę zjawił się w hotelu przed Maddie. Wylegitymował się strażnikowi, minął Raya i wszedł do salonu. Położył na stoliku ciężki segregator. Chyba od dawna nie spał. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę okoliczności: dwa morderstwa, prawdopodobnie dokonane przez seryjnego zabójcę.

- Wiadomo coś o Poście? - zagadnął Ray.
  - Szukają go tutaj i w Nowym Jorku. Mam nadzieję, że w końcu znajdą.
  - To nie on - powiedziała Gillian. Burke spojrział na nią ostro.
  - Skąd ta pewność?
  - Bo sprawcą jest ktoś, kto już tu był. Kenny nie miał pojęcia o losie mojej matki, dopóki mu o tym nie opowiedziałam. Zresztą i tak jest za młody.
  - Nadal pani uważa, że te morderstwa coś łączy?
  - Oczywiście. Burke się zamyślił.
  - Rozmawiał pan z Harleyem Samuelsem? - zapytała.
  - Tak.
  - I?
  - Nie mogę zdradzać szczegółów śledztwa, ale zapewniam, że kiedy tylko pojawią się informacje, które będę mógł pani przekazać albo zechcę u niej zasięgnąć, odezwę się.
- Spiorunowała go wzrokiem.
- Ty arogancki...
  - Ludzie w szklanych domach...
  - Dzięki. - Ray nie dopuścił do wybuchu awantury. Ze zmarłymi Jimmy radził sobie doskonale.

Niestety, z żywymi szło mu o wiele gorzej. -  
Doceniamy wszystko, co nam powiesz.  
Nieco udobruchany, Burke zaczął mówić:  
- Spójrz na to. - Położył na stole zdjęcie nastolatki  
z natapirowaną blond fryzurą i za mocnym  
makijażem. - To Dawn Farrell - powiedział. -  
Druga ofiara. Widziała ją pani kiedyś?  
Gillian przyglądała się fotografii.  
- Nie - odparła chłodno, choć słowa z trudem  
przechodziły jej przez gardło. Odchrząknęła. -  
Nigdy.  
- Gdzie była pani wczoraj wieczorem? Jej oczy  
rozbłysły.  
- Ja? A co to pana, do cholery, obchodzi...  
- Była tutaj, pod nadzorem. - Ray znowu  
interweniował. - I na dole, w barze, ze mną.  
- I nie podszedł do pani nikt, kto wydawał się... -  
Burkę pokręcił głową. Wzruszył ramionami. - Sam  
nie wiem? Dziwny? Zainteresowany pani pracami?  
- Piliśmy. Nie dyskutowaliśmy o sztuce.  
- A pani asystentka, Madeleine Crane? Gillian się  
naburmuszyła.  
- Była ze mną.  
- Niezupełnie - wtrącił spokojnie Ray. Burke  
spojrzał na niego. - Były razem do północy. Potem  
Gillian wróciła do pokoju, a Maddie została w  
barze. Zobaczyliśmy ją dopiero rano.  
- Była sama? - zapytał Burke.  
- Przecież pan ją widział - prychnęła Gillian. - Myśli  
pan, że kobieta taka jak ona spędza noc samotnie,  
jeśli nie ma na to ochoty?  
- Tego nie wiemy - powiedział Ray z naciskiem,  
jakby chciał dać Gillian do zrozumienia, że nie  
powinna wyciągać pochopnych wniosków. -  
Wieczorem była z kimś w barze. Kiedy  
wychodziliśmy z panną Gray z baru, był z nią jakiś

facet. Rano była sama.

- Kim był gość w barze? Zna go pani? Gillian wzruszyła ramionami.

- Nie.

Burke w zadumie bębnił palcami po stole.

- No, dobrze. - Wstał. - Porozmawiam z barmanem, popytam trochę. Zobaczymy, czy uda nam się odnaleźć tajemniczego wielbiciela pani Crane.

- Maddie nie ma nic wspólnego z tymi zabójstwami.

- Nie twierdzę, że jest inaczej. Ale to w końcu pani asystentka. I zataiła przed nami ważne informacje. Dlatego chcę z nią porozmawiać.

Ray zerknął na zegarek.

- Powinna tu być lada moment. - Jakby na zawołanie, w drzwiach stanęła Maddie.

Rozejrzała się po zebranych. Posłała Rayowi chłodne spojrzenie i skupiła się na Burke'u.

- Miło pana znowu widzieć.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań.

- Domyślam się.

- Nie musisz odpowiadać - wtrąciła się Gillian.

- Czym jest mała rozmowa między przyjaciółmi? - Maddie spojrzała na policjanta. - Bo pan jest moim przyjacielem, prawda?

Burke się spieszył, jednak nie na tyle, by zbiło go to z tropu.

- Dlaczego nie powiedziała pani nikomu o pogroźkach? - zapytał. Zawahała się. Westchnęła.

- Nie traktowałam ich poważnie. Poza tym obawiałam się, że Gillian niepotrzebnie się zdenerwuje. Moim zadaniem jest chronić ją przed wszystkim, co mogłoby oderwać jej uwagę od pracy. Tak jak te pogroźki.

Burke spojrzał na Gillian.

- I pani to kupuje?
  - Oczywiście. Maddie jest nadopiekuńcza.
  - Wręcz toksyczna - zapewniła Maddie.
- Burke wodził wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. Sądząc po jego minie, nie wiedział, czy mówią prawdę, czy tylko się z niego nabijają. Ray sądził, że i jedno, i drugie.
- A gdzie pani była wczoraj?
  - Już mówiłam - odpowiedziała Gillian. - Była z kochankiem. Przepraszam, Maddie - mruknęła.
  - Byłam tu, w hotelu. - Maddie podała Burke'owi numer pokoju nieporuszona faktem, że wie o jej nocnych ekscesach.
  - Ktoś może to potwierdzić?
  - Zamawialiśmy jedzenie do pokoju. Niech pan sprawdzi. Bez nazwisk. Gillian ma rację, Maddie jest bardzo opiekuńcza. Burke przyglądał jej się przez chwilę.
  - Dobrze, zajmę się tym. - Wstał i spojrzał na Gillian. - Proszę mnie informować, gdyby wydarzyło się coś podejrzanego albo coś sobie pani przypomniała.
  - Odprowadzę cię. - Ray ruszył za nim do windy.
  - Słuchaj, Ray, nie wyciągniesz ze mnie informacji, których nie chcę udzielić.
- Ray skinął głową ze zrozumieniem.
- Możesz mi powiedzieć coś o ofierze? Burke westchnął.
  - Uciekła z domu. W Portland została matka i jej liczni kochankowie. Mała uciekała kilka razy. W zeszłym roku zatrzymano ją za kradzież w sklepie. Wydział do spraw przestępczości nieletnich odesłał ją do domu. Sześć tygodni temu uciekła znowu. Dziewczyny z Dickerson Road mówią, że czasem przychodziła zarobić najedzenie.

- Masz profil sprawcy?
- Pracujemy nad nim.
- Pokaż to waszemu psychologowi. - Ray wyjął zdjęcie miejsca zbrodni, które zabrał z domu Harleya. - Popatrz na położenie ciała, na rany.
- Skąd to masz?
- Nieważne. Pojechałem dzisiaj w okolice Pasquo do domu, w którym zginęła Holland Gray. Patrzyłem to na dom, to na zdjęcie i coś nie dawało mi spokoju, ale dopiero teraz skojarzyłem, o co chodzi. Tutaj. -Wskazał zdjęcie, a potem swoją lewą pierś. - I tutaj. - Dotknął fotografii, a potem swojego brzucha.
- No i?
- Spójrz na zdjęcie Gillian. Dziewczyna na jej fotografii ma trzy rany, nie dwie. Burke po raz pierwszy okazał zainteresowanie.
- Ile ran miała pierwsza ofiara zabójstwa, ta, której zdjęcie pokazałeś nam w rezydencji Gray'ów?
- Dwie.
- No właśnie. Jak u Holland Gray.
- Jezu.
- Skoro zabójca odtwarza zdjęcia Gillian, dlaczego bliżej mu do oryginału, czyli zabójstwa jej matki?

## Rozdział 32

Zanim zapadł zmrok, okazało się, że komputer Maddie jest czysty. Ray nie skreślił jej jednak z

listy podejrzanych. Mogła wysyłać wiadomości z innego sprzętu.

Dzwonił też Burke. Najwyraźniej potwierdziła się wersja Maddie, co do miejsca jej pobytu. Wyszła z baru wkrótce po Gillian, chociaż nikt nie przypominał sobie, by wychodziła w towarzystwie. Wynajęła osobny pokój i tam nocowała. Sama. Kelner, który przyniósł jej jedzenie, nie zauważył, by w pokoju był ktoś jeszcze. Dlaczego więc tego nie powiedziała?

Gdy Burke ją o to zapytał, usłyszał, że to wyłącznie jej sprawa, z kim sypia lub nie, oraz kiedy i dlaczego to robi.

Trudno to nazwać satysfakcjonującą odpowiedzią.

Tak, Ray zdecydowanie chciał, żeby wyjechała.

Na szczęście Gillian łyknęła argument o bezpieczeństwie przyjaciółki. Zamknęła się z nią w pokoju. Nie wiedział, co jej powiedziała, ale o szóstej Maddie stanęła w progu z walizką w ręku. Ray wpatrywał się w telewizor. Na ekranie widział muzeum i długie kolejki chętnych, pragnących obejrzeć kontrowersyjne zdjęcia Gillian. Z boku wytrwale protestowali przeciwnicy jej prac. Nie blokowali jednak dostępu do wystawy.

- Pewnie mają rację - mruknęła Gillian, widząc, jak dziennikarz podsuwa mikrofon jednej z protestujących.

- Nie ma czegoś takiego jak zła reklama - zauważył cierpko Ray.

Wyłączył telewizor i nieproszony wziął od Maddie walizkę. Poprosił strażnika przed drzwiami, by wezwał bagażowego i sprowadził taksówkę.

Maddie nie spuszczała go z oczu. Odważnie wytrzymał jej spojrzenie. Nie pozbył się podejrzeń, ale fakt, że wyjeżdżała, przemawiał na jej korzyść.

- Posłuchaj - zaczął niechętnie. - Podejrzliwość to

część tego zawodu.

- Czy to przeprasiny?

- Powiedzmy.

Wydęła usta i zamyśliła się. Spojrzała na Gillian, jakby rozważała wszystkie za i przeciw przyjęcia lub odrzucenia jego gestu.

Gillian rozłożyła ręce.

- Na mnie nie patrz. To twoja sprawa. Maddie spojrzała na Raya.

- Zastanowię się nad tym - powiedziała i minęła go. Już w progu odwróciła się i posłała przyjaciółce smutny uśmiech.

- Uważaj na siebie, wariatko.

- Dobrze.

- Mówię poważnie.

- Wiem.

Spojrzała ostami raz na Raya i zrobiła krok w stronę korytarza.

- Rzeczywiście ma niezły tyłek - rzuciła przez ramię. I poszła.

Landowe wsadził ją do taksówki. Posłusznie dała się zawieźć na lotnisko. Nie oponowała nawet, kiedy taksówkarz wystawił jej walizkę na chodnik. Zapłaciła mu i dała suty napiwek. Chciała, żeby ją zapamiętał, gdyby policja tu węszyła.

Podszedł bagażowy.

- Nadać bagaże, proszę pani?

- Nie, dziękuję.

Wciągnęła walizkę na kółkach przez szklane drzwi do terminalu. Minęła tłumy w kolejce do odprawy, weszła na ruchome schody i zjechała dwa poziomy niżej. Wyszła z budynku i podeszła do postoju taksówek.

Taksówkarz, Sikh, miał turban i brodę. Wrzucił jej walizkę do bagażnika. Maddie wsiadła do wozu.



Podawała mu adres hotelu w centrum, niedaleko lokum Gillian. W razie potrzeby dojdzie tam na piechotę, a wiedząc to, co wiedziała, podejrzewała, że będzie musiała.

Taksówka ruszyła. Maddie opadła na oparcie i zamknęła oczy. Ray Pearce nie wyrzuci jej z miasta. Nie teraz, kiedy waży się jej przyszłość.

## Rozdział 33

Godzinę po tym, jak Maddie wyjechała, Ray zapakował Gillian do limuzyny i zawiózł do rezydencji dziadków na kolację.

Przed bramą gromadzili się demonstranci. Dobrze, że ludzie Carlso-na zdążyli zdemontować stare, zardzewiałe wrota i wstawić nowe. Dwaj ochroniarze stacjonujący w posiadłości prosili o wsparcie, więc Ray zabrał Landowe'a.

Po raz pierwszy Gillian nie protestowała przeciwko dodatkowej obstawie.

Kierowca czekał, aż wrota się rozchylą. Po obu stronach drogi demonstranci wymachiwali transparentami. Przez szparę w bramie na teren posiadłości wślizgnęło się kilku paparazzich. Landowe wyskoczył z limuzyny i popędził za nimi. Pozostali ochroniarze utrzymywali tłum w bezpiecznej odległości.

Podjechali pod drzwi wejściowe i Ray wprowadził Gillian do środka. Pokojówka zaprowadziła ich do salonu. Chip pochylał się nad barkiem. Genevra

zmierzyła Gillian taksującym wzrokiem. Jej oczy zatrzymały się na krótkiej obcisłej spódniczce i wysokich szpilkach.

- Pracujesz na ulicy? - syknęła. Gillian się rozpromieniła.

- Nie na takich obcasach.

Ray wyczuł napięcie panujące w salonie. Jakby wszyscy wiedzieli, że za ścianami budynku szaleje chaos, ale nikt nie chciał tego przyznać. Zajął miejsce w drzwiach, skąd bardzo dobrze widział i salon, i korytarz.

Gillian podeszła do niego i wzięła go pod rękę.

- Ray zje z nami kolację - oświadczyła. Rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Raczej nie.

- Daj spokój. Kolacje Genevry obrosły legendą.

- On pracuje, Gillian - zauważył Chip.

- Nie może jednocześnie ochraniać cię i kroić kaczki - dodała Genewa.

- Zdziwiłabyś się. Ray potrafi wszystko.

Widział rozbawienie w jej oczach i zagubienie we wzroku Grayów.

- Przepraszam państwa. - Wyprowadził ją na korytarz. - To dlatego nie protestowałam, kiedy zabrałem Landowe'a?

- Popilnuje nas przez godzinkę. Miał ochotę ją udusić.

- Potrzebuję towarzystwa - tłumaczyła. - Inaczej co chwila będę słyszała kolejne pytanie. Pytanie, wykład, pytanie, wykład, i tak bez końca.

- Nie ma to jak posadzić do stołu goryla, żeby rozładować atmosferę, co?

Wzruszyła ramionami.

- Żarcie jest dobre. - Uśmiechnęła się. - Pomóż mi, Ray. Wezwij Landowe'a przez ten fikuśny sprzęt i poproś, by zajął twoje miejsce.

Powinien odmówić. Po pierwsze, posiłek z podopiecznym to przejaw braku profesjonalizmu. Po drugie, nie uśmiechała mu się pozycja na linii strzału państwa Gray. Miał jednak kilka pytań, na które mogli odpowiedzieć tylko oni. Lepsza okazja do rozmowy raczej się nie trafi.

W ten oto sposób znalazł się naprzeciwko Gillian za osiemnastowiecznym stołem z orzecha włoskiego. Landowe stał w drzwiach na straży.

- Wszystko w porządku? - zapytał Chip ściszym głosem. Zerknął ukradkiem na żonę. - O ile nam wiadomo, doszło do kolejnego...

- Charles! - warknęła Genevra.

Ray zrozumiał - morderstwo to nieodpowiedni temat do rozmowy

przy kolacji. Powiedział więc tylko:

- Wszystko jest pod kontrolą.

- Oczywiście poza drugim morderstwem - zaszcebiotała Gil-ban. łamiąc pakt o nieagresji, który dosłownie przed chwilą zawarł z jej dziadkami.

- Nie będziemy o tym rozmawiać przy kolacji - ucięła Genevra.

- Ile ona miała lat? Szesnaście czy piętnaście?

Ray?

- Szesnaście - odparł krótko. - Kaczka jest wyśmienita, pani

Gray.

- Sprowadzamy je z farmy pod Jackson - odparła Genevra.

- Najpierw odcina się głowę - poinformowała

Gillian. - Tak mi się przynajmniej wydaje. -

Spojrzała na babkę. - Odcinają im głowę na farmie czy robisz to sama?

Ray przypomniał sobie słowa Harleya o tym, że pani Gray nigdy nie rozmawia o morderstwie córki

ani nie przyznaje, że wnuczka ma problem. Oziębła suka, podsumował Harley. Ray zerknął na nią z ukosa. Zimna, tak. Ale w jej rysach dostrzegł coś jeszcze. Upór. Waleczność. Takie same jak u kogoś jeszcze za tym stołem.

- Robię to sama, - Genevra spojrzała jej prosto w oczy. - Jeśli chcesz, żeby zadanie wykonano dobrze... - Spokojnie wsunęła do ust widelec z kaczką. Zrobiła to z gracją i wdziękiem. Zamknęła usta. Pogryzła, Przełknęła. Odłożyła widelec. - Zapewne zainteresuje cię wiadomość, że aukcja zapowiada się bardzo ciekawie. Pomysł spotkał się z ciepłym przyjęciem i mamy nadzieję zebrać sporą sumę dla szpitala.

Nie sposób było nie podziwiać klasy, z jaką starsza pani odrzuciła przynętę Gillian.

Ray się skupił. Aukcja jest w przyszłą sobotę.

- Genewa jest organizatorką- wyjaśnił Chip. - I świetnie się spisała.

- Nawet ja coś ofiarowałam - dodała Gillian. - Ważna randka. Widziałeś?

Wrócił myślami do albumu na stoliku. Nie mógł sobie przypomnieć.

- Blondynka w wannie pełnej krwi, a dokoła mnóstwo balsamów i płynów do kąpieli.

Ach, tek.

Chwila milczenia. Starsi państwo wyglądali na przerażonych.

- Żartowałam. - Gillian zachichotała.

- Prosiłam o kwiaty - zauważyła Genewa.

- I kwiaty posłałam.

Chip odchrząknął i zwrócił się do Raya:

- A pan skąd pochodzi?

Oho. Czas na rozładowanie atmosfery.

- Z Long Island. Genevra podniosła głowę.

- Ma pan tam rodzinę?

- Moja matka zginęła, gdy byłem na studiach.  
- A ojciec? - zagadnęła Gillian. Powinien się spodziewać, że zada pytanie, na które nie miał ochoty odpowiadać.  
- Za horyzontem - odparł w końcu. - Im mniej o nim powiem, tym lepiej.

Gillian się rozpromieniła.

- Coś takiego! Nie miałam pojęcia, że tyle nas łączy!

Ray wyczuł, że napięcie w pomieszczeniu gwałtownie wzrosło. Zaintrygowało go to. W aktach sprawy nie było ani jednej wzmianki o ojcu Gillian. Nie znał nawet jego nazwiska. Przez moment rozważał, czy o to nie zapytać, ale uznał, że lepiej nie drażnić tej sprawy. Ciszę przerwała Genewa.

- Od dawna mieszka pan w Nashville?

Gillian nie byłaby sobą, gdyby tak łatwo pozwoliła na zmianę tematu.

- Wszyscy mamy ojców - zauważyła. - Ale nie każdy ma ojca, o którym wszyscy milczą.

- Bo nie ma nic do powiedzenia - wycedziła Genewa. - Nie żyje.

- Jakie to wygodne - szydziła Gillian.

Ray wodził wzrokiem od babki do wnuczki.

Najwyraźniej to drażliwy temat.

- Jeszcze whisky? - zapytał Chip, choć szklanka Raya nadal była pełna.

- Nie, dziękuję. Chip upił spory łyk.

- Nie pije pan?

- Nie. - Nie tłumaczył, dlaczego. Grayowie mieli już dość swoich własnych problemów. Tkwili w przeszłości po uszy. Nie będzie ich przytłaczał swoją. - Studiowałem w Birmingham - powiedział.

- I grałem w hokeja. A pan w futbol amerykański, prawda? Na Uniwersytecie Vanderbilta?

- Tak jest. - Chip się rozpromienił. Wdał się w przydługą opowieść o tym, jak wybrano go najlepszym zawodnikiem roku i rozmowa zeszła na bezpieczniejsze tory. Deser podano w bibliotece, pełnej polerowanego drewna i skórzanych obić. Regał z książkami zajmował całą ścianę. W rogu stał zabytkowy globus, w przeciwległym kącie tykał zegar stojący. W zamieszaniu, które powstało podczas zmiany miejsca, Ray przeprosił gospodarzy i poszedł do Landowe'a.

Wszędzie panował spokój.

- Część demonstrantów się rozeszła, zostało kilku. I trochę papa-razzich - poinformował Landowe.

- Wszystko gotowe?

- Daj tylko znać. Gillian podeszła do nich.

- Przynieść ci coś? Papierosa? Szkocką? - Wzięła Landowe'a pod rękę. - A może skręta?

Landowe zerknął z ukosa na Raya.

- Nie, dziękuję.

- To dobrze. - Puściła go z uśmiechem. - Bo o skręcie żartowałam. Ray nie zwracał uwagi na jej zaczepki.

- Chcesz odpocząć? - zapytał Landowe'a.

- Dam radę.

Ray wziął Gillian pod rękę i zaciągnął do biblioteki.

- Zostaw go w spokoju.

- Jest dorosły, sam o siebie zadba. - Podała mu filiżankę z kawą. Porcelanowe naczynie było tak delikatne, że obawiał się, iż pęknie mu w dłoniach.

- Czarna jak węgiel i równie mocna - poinformowała. - Taka jak lubisz.

Spróbował. Kawa była dobra i mocna.

Służąca podała ciasto, za które podziękował.

Ciekawe, czy Grayo-wie kiedykolwiek zjedli kolację z personelem.

Przez wzgląd na nich, a także dlatego, że z tej pozycji miał lepszy widok na cały pokój, nie usiadł. Ciszę przerywało jedynie tykanie zegara. Dziadkowie Gillian zasiadali w fotelach tak wysokich, że prc minały trony. Chyba przez cały wieczór nie siedzieli równie wygodnie. Ray zaryzykował.

- Pojechałem dzisiaj na wycieczkę - rzucił w przestrzeń. - Autostradą numer 100.

Nagle poczuł na sobie trzy pary oczu.

- Widziałem dom. - Nikt nie zapytał, o jakim domu mówi. - Gdyby Holland mieszkała tam dzisiaj, tkwiłaby w środku przedmieścia, ale wtedy wylądowała pewnie na końcu świata. Na pustkowiu. Pytania nasuwają się same.

- Nie będziemy o tym rozmawiać. - Genevra przeszywała go wzrokiem.

- Jakie pytania? - zainteresowała się Gillian. Spojrzał na nią.

- Dlaczego wyniosła się z tego pięknego domu. Od rodziny. Czemu zostawiła za sobą bezpieczną przystań.

- Bezpieczną przystań? - Gillian się zachnęła. - Raczej klatkę. Nie odrywała od niego wzroku, więc nie dostrzegła skurczu bólu na twarzy babki.

Genevra postawiła filiżankę na oparciu fotela.

- Holland zawsze była niezależna. Nigdy nikogo nie słuchała.

- A jednak przyjechała tutaj, żeby uciec od swojego szalonego życia w mieście - zauważył Ray - Tak przynajmniej donosiła prasa. - Zignorował grymas Gillian i niepokój na twarzach starszych państwa. Wzruszył ramionami. - Media rzadko kiedy mają rację, więc... - Podniósł wolną rękę. — Intryguje mnie, dlaczego naprawdę tu wróciła.

- Ze względu na mnie. - Oczy Gillian rozbłysły. -  
Chciała dla mnie czegoś lepszego niż towarzystwo  
narkomanów.

Ray upił łyk kawy.

- Przecież miałaś już... ile? Sześć, siedem lat? Do  
tej pory nie przejmowała się swoim stylem życia.  
Skąd ta nagła zmiana?

Genewa wstała, przewracając filiżankę i spodek.  
Filiżanka upadła na dywan, ale talerzyk zabrzączał  
na podłodze i rozpadł się na kawałki.

Chwila ciszy, jakby rozbity talerzyk był wszystkimi  
negatywnymi emocjami w pomieszczeniu. Jeden  
akt przemocy i świat rozleciał się na kawałki.

Chip wstał i wezwał pokojówkę. Kobieta, która  
podawała kolację, wpadła do biblioteki, złapała się  
za głowę i szybko wyszła. Wróciła ze szczotką i  
szufelką. Zbierała resztki porcelany obojętnie  
obserwowana przez pozostałych.

Temat Holland Gray skończył się. Gdy Ray się  
rozejrzył, Gillian już z nimi nie było.

## Rozdział 34

Znalazł ją na piętrze w jej pokoju. Landowe czuwał  
przy drzwiach.

- Przejmuję ją - powiedział Ray. - Przygotuj  
limuzynę. Landowe wyszedł, a Ray wszedł do  
pokoju. Gillian pochylała się  
nad grubym albumem z wycinkami. Oparł się o  
framugę i obserwował, jak zawzięcie go ignoruje.



- Byłaś kiedyś w tym domu?

- Nie.

Sceptycznie uniósł brew.

- Unikanie konfrontacji nie jest w twoim stylu.

Gwałtownie podniosła głowę. Łypnęła na niego groźnie.

- Nie muszę tam wracać, żeby pamiętać. Żeby to zobaczyć. - Przez chwilę wytrzymała jego spojrzenie. - No dobra, więc jestem tchórzem.

Każdy ma w sobie odrobinę z tchórze.

Ray nie nazwałby jej rezerwy tchórzostwem. To

raczej dystans, który zachowywała celowo, by odtwarzać rzeczywistość na zdjęciach. By

manipulować wspomnieniami. Zmieniać je. Szukać obiektywizmu. Chciała złagodzić ból i sprawić, by

jej życie stało się łatwiejsze.

Wszedł do pokoju i usiadł na łóżku.

- Wcale nie jesteś tchórzem.

Mówił miękko, ale i tak patrzyła na niego gniewnie.

- Skąd te pytania o moją matkę?

- Z ciekawości - odparł spokojnie, zaskoczony jej oburzeniem.

- Zdenerwowałeś dziadków. - Ją także.

- Chwileczkę. Ty możesz ich wkurzać, ale inni nie?

- Może - przyznała niechętnie. - Coś w tym stylu.

- Coś takiego. - Położył sobie rękę na sercu w

udawanym zdziwieniu. - Gillian Gray ma serce.

- Bardzo zabawne.

Skinął głową w stronę albumu.

- Co to?

Otworzyła go. Album pękał w szwach od wycinków.

- Babka nadal myśli, że o nim nie wiem, ale

znalazłam go, kiedy miałam jedenaście lat - Powoli przekładała kartki.

Artykuły o Holland przeplatały się ze zdjęciami.

Holland jako nastolatka na promocji w sklepie, którego już nie ma. Holland w katalogach luksusowych domów towarowych. I później, w dodatku o modzie w „New York Timesie”. Ray znał niektóre okładki, ale w albumie były także zdjęcia prywatne. I pamiątki. Zerwane ramiączko stanika z pokazu Valentino w Rzymie. Zaproszenie na Paryski Tydzień Mody. Zdjęcia przyjaciół i znajomych.

- Widzisz, jaka z babki kłamczucha? - mruknęła Gillian. - Udaje, że nienawidzi mojej matki, ale zachowała wszystkie wycinki.

Ray muskał palcami poźółkłe artykuły, wyblakłe zdjęcia, stare po-laroidowe fotki.

- Ile razy to oglądałaś?

- Tysiące? - Zaśmiała się sucho. - Dużo. Kiedyś oglądałam zdjęcie po zdjęciu i szukałam sobie ojca.

Pokazała mu ujęcie zza kulis pokazu mody.

Holland na brokatowym tle. Jakiś blondyn ustawia aparat na statywie.

- Podobały mi się jego długie włosy.

Przerzuciła kilka kartek. Kolejne zdjęcie Holland - w garderobie, przy toaletce - tym razem z wałkami we włosach, roześmianej. Za nią stoi mężczyzna z suszarką.

- A może fryzjer?

- Wiesz, kim są? Pokręciła głową.

- Nie.

- A twój ojciec?

- O, jego nazwisko znam. Martwy.

- Twój ojciec nazywa się...

- Martwy. Tak przynajmniej wszyscy o nim mówią.

„Mamusi, kto jest moim tatusiem? Twój tatuś jest martwy, skarbie”. „Babciu, kto jest moim tatusiem? Twój tatuś jest martwy, kochanie”. -

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie próbowałam czegoś się o nim dowiedzieć?

- Oczywiście, że tak. Ale po tysiącach prób uznałam, że dobre i ta-

Me nazwisko. No bo co mi z tego przyjdzie? I tak nie przyjedzie i nie zabierze mnie do siebie. - Z

żalem musnęła palcem twarz matki na zdjęciu. - Taką ją lubię. Bez makijażu, z wałkami we włosach. Roześmiana. Była bardzo ładna.

Ray widział jej smutek. Delikatnie wyciągnął rękę i powoli zamknął album.

- Musimy już iść.

- Tak, dość tego mazgajstwa. - Podniosła ciężki album i poszła do sypialni babki.

Ledwie minęła próg, otoczył ją zapach róż.

Najsilniejszy, bo to tutaj babka trzymała krem Jardin de la Vie, na toaletce w rogu pokoju.

Po lewej stronie toaletki stała wysoka szafa. Gillian otworzyła ją i wspięła się na palce, by ukryć album za pudłami z kapeluszami, których Genevra prawie nigdy nie nosiła.

- Nie było to łatwe, gdy miałam jedenaście lat.

Ray sięgnął nad jej głową i umieścił album na właściwym miejscu. Nie musiała już wspinać się na palce.

- Dobrze mieć cię pod ręką.

- Nie ma sprawy.

Zeszli po schodach. Gillian zerknęła na niego ciekawie.

- Więc... twój ojciec też nie żyje?

- Wątpię. Karaluchy nie zdychają. Zaskoczyły ją tak mocne słowa.

- O Jezus. Co on takiego zrobił?

- Okradł firmę, w której pracował. Trafił za kratki. Potem wyszedł za kaucją i uciekł z miasta. Nie

dzwonił. Nie pisał. Nigdy go nie złapali.

- Nieźle.

Gdy Gillian żegnała się z dziadkami, Ray zerknął na wyświetlacz telefonu. Landowe wysłał SMS z informacją, że jest w drodze. Burke prosił o telefon. Wybrał jego numer.

- Wiemy, skąd wysłano ostatnią wiadomość - zaczął Jimmy. - Z komputera pierwszej ofiary, w biurze H&R Block. - A więc to nie Maddie. - I mamy nową. Z komórki Dawn Farrell. - Zacytował ją. Żołądek Raya fiknął salto.

- Odciski?

- Żadnych.

Nic, co zaprowadziłoby ich do zabójcy.

- Nie ryzykuje.

- Uważaj na nią- powiedział Burke i się rozłączył.

Kilka minut później Gillian wyszła z biblioteki- Rozejrzała się.

- Gdzie Landowe?

- W limuzynie - odparł Ray i wskazał tył domu. - Idziemy.

- Ale drzwi są tam. —Spojrzała na drzwi wejściowe. - Dokąd idziemy?

- Zaczęła się twoja wielka przygoda. Poczekaj, a sama się przekonasz.

Zaprowadził ją do tylnego wyjścia. Przed domem czekał land rover Chipa.

- Wsiadaj - powiedział. Zaczekał, aż wykona jego polecenie, po czym wskoczył na miejsce kierowcy i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Chip dał ci kluczyki? Nikomu nie daje prowadzić tego samochodu.

- Kluczyki dał mi Eugene, jego szofer. Chip mi pozwolił. - Wyjechali przed dom i skierowali się do bramy.

- Gdzie limuzyna?

- O ile mi wiadomo, w drodze do hotelu.
- Zmyłka?
- Zmyłka.

Przyglądała mu się podejrzliwie. Jej niepokój wzrastał.

- Szkoda. Wiesz, że lubię byc w centrum uwagi.
- O, tak. - Skręcił na wschód, oddalając się od hotelu.

- Zabierasz mnie na przejażdżkę, Ray?
- Owszem.

Nic podobało jej się to, ale nie miała wyjścia. Nie wyskoczy przecież z pędzącego samochodu.

Naburmuszona, wpatrywała się w mrok. Wkrótce minęli zjazd na autostradę numer 100.

Ray zerknął na nią ukradkiem. Czy pamięta tę ulicę? Jeśli tak, nie dała po sobie niczego poznać. Dziesięć minut później dojechali do osiedla Bent River.

- Nie wiedziałam, że mają tu kluby - mruknęła Gillian.

- To teren prywatny. - Zawiózł ją do domku przy końcu ślepej uliczki. Budynek miał kamienną podmurówkę i ładnie utrzymany ogród, ale poza tym niczym się nie wyróżniał. Drogę do drzwi oświetlała pojedyncza lampa na kamiennym postumencie. Ray podał Gillian ramię.

- Co ty wyprawiasz, Ray?
- Dbam o twoje bezpieczeństwo.
- W hotelu nic mi nie grozi.
- Nasze rozumienie słowa „bezpieczeństwo” jest całkowicie różne. Miał zamiar dać jej klucz, by otworzyła drzwi, ale nie był pewien, czy usłucha, dlatego pochylił się nad nią, przekręcił klucz w zamku i sam je otworzył. Nie protestowała, gdy lekko pchnął ją do środka.

## Rozdział 35

Gdy zamknął drzwi, Gillian odwróciła się do niego. W fiołkowych oczach buzował ogień.

- Spryciarz z ciebie.
- Inaczej nie wyszłabyś z hotelu.
- Czy to nie podchodzi pod porwanie?
- Wszystko ustaliliśmy z Chipem, więc twoi krewni wiedzą, gdzie jesteś.

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

- Daj mi kluczyki - wycedziła.
- Nie.
- To idiotyczne. Nie jesteś już policjantem i nie masz prawa mnie tu trzymać.
- Mogę spróbować.
- Zadzwońię po taksówkę.
- Nie ma tu telefonu.

Sporunowała go wzrokiem i wsunęła dłoń do torebki, szukając komórki.

- Nie ma jej tam - poinformował spokojnie. - Została u dziadków.
- Chyba żartujesz.
- Musiałem cię ukryć. Dom należy do firmy ochroniarskiej. Wykorzystujemy go jako tymczasową kryjówkę, gdy trzeba przemyśleć strategię.

- Niczego nie muszę przemyśleć.
- Podczas gdy ty przekomarzałaś się z babką, na twojej stronie pojawiła się nowa wiadomość.

Gillian znieruchomiła.

- Od mordercy. Pytająco uniosła brew.

- „Zrób to ze mną”.

- „Ze mną?” Chce, żebym do niego dołączyła?

Żebyśmy razem zabijali?

- Albo żebyś była kolejną ofiarą.

Na jej twarzy pojawiły się akceptacja i gotowość.

Przeraziło go to.

- Dlatego musimy przemyśleć strategię - mruknął, rozglądając się dokoła. Zastanawiał się, czy te ściany są wystarczająco grube, by ją po-

wstrzymać? - Część twoich rzeczy już tu jest. -

Machnął ręką w głąb domu. - Masz wszystko, co niezbędne.

Przyglądała mu się, jakby rozważała, czy powinna się sprzeciwić. W końcu westchnęła ciężko.

- Dobrze.

Zawahał się. Poszło zbyt łatwo.

- Dobrze?

- Dobrze! Dobrze! - Machnęła ręką i tupnęła gniewnie. To bardziej w jej stylu. - Jesteśmy tutaj.

Dobrze. - Cisnęła torebkę na kanapę, a sama klapnęła obok.

- Mamy jedzenie. Nawet serowe chrupki, które tak lubisz.

- Co za facet. - Rozejrzała się. - To wszystko?

Tylko ja i mój anioł stróż? No i smakołyki, ma się rozumieć.

- Landowe jest na zewnątrz.

- Pewnie ma telefon.

- Nie wezwie ci taksówki.

- No jasne, że nie.

- Cieszę się, że jesteś taka zgodna. - Łypnęła na niego wrogo. - Chodź, pokażę ci dom. -

Poprowadził ją korytarzem. Otworzył pierwsze drzwi po prawej stronie. Sypialnia. I jej walizka na

łóżku. - To twój pokój.

- A twój?

Machnął ręką w przestrzeń.

- Będę w pobliżu.

Puściła to mimo uszu. Tak naprawdę interesowały ją tylko kluczyki. I powrót w blask reflektorów, żeby potwór mógł ją odnaleźć.

Zerknęła na Raya, na jego smukłe długie ciało i wyraziste rysy twarzy, i zacisnęła dłonie w pięści. Chciała go dotknąć. Dobrze, może nie tylko o potwora jej chodzi. Nie umknęły jej długie spojrzenia Raya. Jakby chciał przestać na nią patrzeć, ale nie mógł. I jego biała koszula, teraz pognieciona, przylegająca do jego silnych ramion, rzeźbionych mięśni... Ona też nie mogła przestać się na niego gapić.

Ale to wszystko nieważne. Ważne są tylko kluczyki.

Podeszła bliżej.

- Gdzie? - Musiała odchylić głowę do tyłu. Boże, ale on wielki.

- Nieważne. - Przełknął ślinę, aż podskoczyła mu grdyka. - W pobliżu. Nie martw się.

Objęła go w talii i poczuła, jak nieruchomieje.

- Wcale się nie martwię.

- To dobrze. Bo nie musisz.

Jego usta były tak blisko, że wystarczyło, by wspięła się na palce. Ale kieszeń była bliżej.

Patrzył na nią, oszołomiony. Rozkojarzony. Z trudem przypominała sobie, co zaplanowała i o co w tym wszystkim chodzi. I że drugiej takiej okazji może nie mieć. Błyskawicznie sięgnęła do kieszeni, w której schował kluczyki.

Ale on był szybszy. I wcale nie tak rozkojarzony, jak sądziła. Uwięził jej dłoń w swojej.

- O nie, moja droga.



Nie podawała się, szukała. W końcu poczuła pod palcami metal kluczyków. Choć nadal przytrzymał jej nadgarstek, zacisnęła na nich dłoń i wyszarpnęła ją.

Nie spodziewała się, że wolną ręką błyskawicznie odbierze jej zdobycz.

- Oddawaj! - Wyciągnęła rękę, ale trzymał kluczyki wysoko nad głową.

- O, nie.

Podskakiwała, szarpiąc go za rękę, ale płynnie ją cofał. Zachwiała się i zatoczyła na niego. Szarpała się i miotała, za wszelką cenę usiłując zdobyć kluczyki.

Zirytował się.

- Dość tego. Przestań.

- Zmuś mnie.

- Żartujesz. - Roześmiał się, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. Spiorunowała go wzrokiem, bezgłośnie rzucając mu wyzwanie.

Wzruszył lekko ramionami, poruszył się i ani się obejrzała, a przyparł ją plecami do ściany.

Wyrywała się, ale trzymał mocno. Uwięził jej dłonie nad głową.

- Puszczaj!-warknęła.

- Nie.

Plecy miała wygięte w łuk, piersi wypięte, a on patrzył. Nie, nie patrzył. Pożerał ją wzrokiem. Jej sutki nabrzmiały, napierając na cienki materiał stanika, jakby przyciągał je jego wzrok.

- Puszczaj!

Nie zrobił tego. Zamiast tego pochylił się i pocałował ją. Nie był delikatny, ale nie potrzebowała teraz delikatności. Przeszył ją strumień czystej energii. Kolana ugięły się pod nią. Mimowolnie jęknęła.

- Nadal chcesz wyjść? - szepnął i znowu ją

pocałował.

Chciała mu się wyrwać, ale nie po to, żeby uciekać. Chciała go dotknąć. Rozpaczliwie pragnęła poczuć pod dłońmi jego silne, twarde ciało. Kiedy na chwilę się od niej oderwał, wspięła się na palce i pocałowała go mocno. Jęknął i puścił jej rękę. Natychmiast wyrwała mu kluczyki i odepchnęła go. Z krzykiem rzucił się za nią. Pobiegli korytarzem. Zanim się obejrzała, leżała na ziemi, jak wtedy w muzeum, przygnieciona jego ciężarem. Ale tym razem, o Boże... Tym razem miała we włosach jego oddech, jego usta na uchu, jego twardość na udzie. Nie potrafiła się oprzeć. Zaciskając dłoń na kluczykach, przesunęła rękę tak, by objąć go za szy-

ję. Nagle zapomniała o ucieczce. Ręce? Co ma w dłoni? Oprócz jego ramion, jego skóry?

Gorączkowo szarpała za białą koszulę, wyciągając ją ze spodni. Przez chwilę mocowała się z guzikami, aż w końcu wyrwała je zniecierpliwiona. I nagle był wolny. Jego skóra, silna klatka piersiowa - wszystko było dla niej.

Rozchylił jej bluzkę. Poczwała na skórze zimne powietrze, ale ogrzały ją jego usta. Ogrzewał jej piersi w czarnym koronkowym staniku, jej brzuch i niżej, o Boże, niżej. Uniosła biodra, a on zadął jej spódniczkę i zerwał czarne stringi. Nie było czasu na zdejmowanie butów. Gdzie ten rozporek? Boże, szybciej, skarbie. I nagle w niej był.

- Ray - jęknęła. - Ray, o Boże.

Leżeli na podłodze w morzu ognia. Robił to, czego pragnął od wielu dni. Pólnagi, nabrzmiały namiętnością.

- Gdzieś się wybierasz? - szepnął jej do ucha.

Ugryzła go. Odpowiedział tym samym.

- Z tobą wszędzie.

Jęknęła, gdy zaczął się w niej poruszać. Mocno. Bardzo mocno. Oplotła go nogami, wbijając obcas w jego plecy. Dotykał jej, unosił coraz wyżej i wyżej, aż poszybowała z krzykiem. Nakrył jej usta swoimi, szepcząc jej imię, gdy w niej kończył. A potem cisza. Milczenie po burzy, którą wywołali. Ray w milczeniu wysunął się z niej. Słuchawka wypadła mu z ucha. Znalazł ją i włączył.

- Co? - mówił szybko, nie zakładając jej. - Tak, wszystko w porządku. Nie, nie trzeba, zostań na zewnątrz. Tak. U nas spokój. - Wstał, zapiął rozporek.

Ten gest przeszył ją dreszczem. Nie potrafiła się opanować. Nie zawracając sobie głowy zapinaniem bluzki ani poprawianiem zsuniętego ramiączka stanika, podpełzła do niego i uklękła u jego stóp. Dotknęła rozporka.

- Tak, dam ci znać. - Odepchnął jej dłoń, ale wróciła. Sapnął głośno, gdy go dotknęła. - Nie, nic się nie dzieje, spokój.

- Raczej huragan - mruknęła. Z uśmiechem stwierdziła, że znowu nabrzmiął.

Uwolniła go i polizała. Dłoń bez słuchawki spoczęła na jej głowie. Błagała, by przestała i zaklinała, by robiła to dalej.

- Dobrze - rzucił stłumionym głosem do mikrofonu.

- Tak. Na razie. - Jęknął, niezdolny dłużej się opanować. Zaciśnął palce na jej włosach, gdy wzięła go całego w usta. - Jezu.

Oparł się o ścianę, z dłonią w jej włosach i członkiem w jej ustach. Rozkoszowała się jego smakiem, twardością. Drżał pod jej dotykiem. Drażniła go. Jęknął, gdy delikatnie muskała go zębami.

Nagle zadrżał i wycofał się. Zdjął buty, ściągnął spodnie i jednym ruchem wziął ją na ręce jak

lalkę. Oplotła go nogami, a on w nią wszedł. Całował ją... Boże, czuła, jak przebija ją niemal na wylot. Jęknęła w podnieceniu, czując narastającą falę rozkoszy. Nową, świeżą, jakby nie szczytowała kilka minut temu. Jakby tego przed chwilą nie robiła. Jakby nigdy tego nie robiła. Ani z nim, ani z kimkolwiek innym. Była coraz wyżej, zbliżała się do tego cudownego miejsca, gdzie świeci ciepłe, jasne słońce i gdzie nie ma ciemności. Nagle Ray się zawahał. Jęknęła żałośnie, ale on nie wyszedł z niej, tylko zabrał ją ze sobą do sypialni. Upadli na łóżko.

Na moment rozłączyli się, a potem usiadła na nim, spragniona tego ciepła, tego ognia w sobie. Jęknęła, gdy go poczuła. Szybko ściągnęła koszulę i stanik, a jego dłonie zamknęły się na jej piersiach. Pieścił je i całował. Wygięła się w łuk, wznosząc się coraz wyżej. Sięgnęli szczytu, a potem opadli na siebie, znużeni. Jak drzewa po huraganie.

Zdawało się, że minął rok, zanim odzyskała oddech. Wiek, zanim odzyskała zmysły i zorientowała się, że na nim leży. Ze jego dłonie błądzą po jej nagich plecach, barkach i ramionach. Jej nagich ramionach. Znieruchomiła. - Co do... - Nie dokończył pytania, przewrócił ją na plecy. Zapalił boczną lampkę. Gillian zakryła oczy wierzchem dłoni, ale czuła jego palce na ramionach. Jego oczy, płonące pytaniami o to, co zobaczył. Była na to przygotowana. Czekwała. W głowie układała odpowiedzi.

Ale on zrobił coś, czego nie zrobił przed nim nikt inny. Nigdy. Przyciągnął ją do siebie, objął i milczał. Po prostu milczał.

## Rozdział 36

Kiedy Ray obudził się kilka godzin później, zobaczył nagą Gillian, pochylającą się nad nim z aparatem.

- Co ty wyprawiasz? - Odepchnął jej dłoń.

- A jak myślisz? - Zrobiła mu kolejne zdjęcie, po czym przesunęła się, żeby lepiej widzieć. Migawka trzasnęła kolejny raz.

- Uwieczniam cię. Nie chcesz przejść do historii?

- Bez ubrania? Nie, dzięki.

Z westchnieniem odłożyła aparat.

- Chodź tutaj. - Przyciągnął ją do siebie. - Ale zmarzłaś. - Pocierał chude, poranione ramiona, chcąc je rozgrzać.

Podniosła aparat i zanim zdążył się uchylić, zrobiła im zdjęcie. Opuściła rękę i dłoń z aparatem opadła bezwładnie na posłanie.

- Nie chcesz wiedzieć? - zapytała w końcu.

Leżeli przytuleni, a on muskał palcami dziwaczne blizny, brzydkie pląty skóry wyglądały jak rany po nożu albo ogniu, albo - myślał o tym z trudem - jak ślady tortur. Koszmarnych tortur. W aktach Gillian nie było ani słowa o tym, że ją

maltretowano. A może to robota Kenny'ego Posta?

Nie. Blizny są stare, więc pochodzą sprzed lat.

Wyobraził ją sobie jako małą dziewczynkę i zaślepił go gniew.

Odetchnął głęboko, usiłując opanować wściekłość.

- Pewnie, że chcę - powiedział. - Ale to twoja historia i opowiesz mi ją, kiedy będziesz chciała.

- Dlaczego nie zapytasz?  
- O co? Co ci się stało? To widzę. Kto to zrobił?  
Boże, chyba nie chcę wiedzieć. Nie wiem, czy  
zdołałbym się powstrzymać, by go nie odszukać i  
nie zabić gołymi rękami. - Zacisnął pięść.  
- Ją - poprawiła cicho. - Zabić ją.  
- Co?  
- I nie musisz zbyt daleko szukać.  
Nie wierzył własnym uszom. Babka? Boże, nic  
dziwnego, że Holland zabrała stamtąd dziecko. I  
nic dziwnego, że Gillian tak bardzo jej nienawidzi.  
- Słuchaj, nie musisz tam wracać - powiedział  
szybko, szczerze. - Nigdy więcej.  
Zamiast do niego przywrzeć, odsunęła się.  
Wsparała się na łokciu, by na niego spojrzeć.  
- Dokąd?  
- Do Belle Meade. Do babki. Nie pozwolę jej więcej  
cię skrzywdzić.  
I wtedy stała się dziwna rzecz. Gillian się  
roześmiała. Musnęła go palcem po nosie.  
- Och, Ray - westchnęła. - I co ja z tobą zrobię?  
- Zostań w pobliżu. Pozwól, żebym cię chronił.  
- Mój słodki Ray. Kiedy nie jesteś upierdliwy,  
jesteś naprawdę udany, wiesz?  
Odepchnął jej dłoń.  
- Wiesz, co właśnie do mnie dotarło? Im bardziej  
kpisz, tym bardziej ci zależy.  
Patrzyli sobie w oczy.  
- Znalazł się domorosły psycholog - rzuciła  
chłodno. - Nie wiesz, że możesz uciekać, ale nie  
możesz uciec? Nie, jeśli koszmar jest w tobie.  
- O co ci chodzi?  
- Ray, to nie Genevra zostawiła te blizny.  
- Ale powiedziałaś: ona. Więc kto? Maddie?  
Pokręciła przecząco głową.  
- Jeszcze jedna błędna odpowiedź i stracisz szansę

na bramkę numer trzy. - Nie odrywała od niego wzroku.

I nagle zrozumiał. Zobaczył to w głębi fiołkowych oczu. Pojął i jego świat legł w gruzach.

- O Boże. - Gniew ustąpił smutkowi, który zdawał się zalewać cały świat. - Boże. - Łzy dławili go w gardle.

- Hej, tylko się nie roztkliwiaj.

- Pieprz się, Gray. - Wytarł oczy.

- Ta opcja bardziej mi odpowiada.

Zaatakował jak grzechotnik. Zanim zorientowała się, co się dzieje, leżała na plecach przygnieciona jego ciężarem.

- Sama to sobie zrobiłaś? Pocięłaś się jak indyka na święta?

- A jeśli tak?

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jeśli tak? O Boże. - Przyciągnął ją do siebie. - Boże. - Trzymał ją w objęciach i całował, jej kark, policzki, usta. - Dlaczego nikogo tam nie było? Dlaczego nikt się tobą nie opiekował?

- Już dobrze - powiedziała, obejmując go i pocieszając. Cóż za wzruszająca ironia losu. - To było dawno temu.

Przypomniała sobie reakcje innych mężczyzn na jej blizny. Niektórych facetów brzydziły, innych podniecały. Niektórzy, chcieli usłyszeć wszystko ze szczegółami. Kiedy Kenny je zobaczył, chciał, by razem dodali nową. Na pamiątkę ich pierwszego razu.

Żaden nie przejął się tak jak Ray. W każdym razie nie z jej powodu. Z powodu dziecka, którym kiedyś była. Albo nigdy nie była. Pozwoliła więc, by Ray otoczył ją ciepłym kokonem. Zanurzyła się w jego współczuciu. Potraktowała jego silne ramiona jak tarczę.

Mur, przez który nikt się nie przedrze.  
Trzymał ją mocno, całując czule i, na Boga,  
podołało jej się to. Aż za bardzo. Mogłaby do tego  
przywyknąć. Do jego obecności, do tego, że  
trzyma potwora na dystans.

Odepchnęła go.

- Dostyc tego. Duszę się.

Patrzył na nią tak długo, aż się zaczerwieniła. W  
jego oczach pojawił się chłód.

- Jeszcze przed chwilą nie miałaś nic przeciwko  
temu.

- To było przed chwilą Puścił ją gwałtownie.

- Proszę bardzo. - Wstał energicznie. - Chcesz się  
poczuć swobodnie? Proszę. - Udał się na  
poszukiwanie ubrań. A może także rozsądku?

Pytanie tylko, czyjego, czyjej?

Sama, skuliła się w kłębek pod kołdrą. Patrzyła na  
blizny. Ciemne trójkąty - pamiątki po rozpalonym  
żelazku. Niezdarne kreski - inicjały jej i matki.

Wszystko po to, by nie krzyczeć.

Przestała się ciąć. gdy odkryta fotografię. Nauczyła  
się kierować gniew gdzie indziej. Ale piętno  
przeznaczenia było w niej ciągle. Towarzyszyło jej  
nawet tu i teraz, w tym pokoju, gdy podniosła  
wzrok i zobaczyła, czego Ray od niej oczekuje.

Szczyścia. Nadziei. Bezpieczeństwa.

Rzeczy, o których nigdy nie myślała. Na które nie  
liczyła. Których nie oczekiwała.

Nie, jeśli ma stanąć twarzą w twarz z monstrem  
na wolności. Potworem, który zabija. I idzie po  
nią.



## Rozdział 37

Genewa Gray zawiązała pasek jedwabnego szlafrocza i usiadła przy małej toaletce, która była pomysłem jej matki. Macey Holland chciała także, by córka miała osobną sypialnię, ale jako świeżo upieczona małżonka Genevra uznała to za zbyt staroświeckie. Kompromisowym rozwiązaniem był malutki buduar i toaletka z lustrem. Siedziała przy niej teraz, ponad pięćdziesiąt lat po dyskusjach z matką, wyciągając dłoń po różany krem do rąk Jardin de la Vie. Po raz pierwszy kupiła go podczas podróży poślubnej i od tego czasu używała wyłącznie tego specyfiku, nawet jeśli oznaczało to sprowadzanie go z Paryża. Wtarła krem w dłonie. Zawsze była dumna ze swoich długich wąskich palców. Teraz kłykcie sterczały nieładnie, powykręcane artretyzmem. Westchnęła. Wychowano ją w przekonaniu, że zasługuje na to, co najlepsze i najpiękniejsze. Rodzina Hollandów należała do miejscowej arystokracji w zapyziałym miasteczku w Alabamie, w którym jej ojciec był burmistrzem i bankierem. Genevra od dziecka była przekonana, że i ona będzie królową.

I wcale się nie pomyliła. Studiowała na Uniwersytecie Vanderbil-ta, gdzie trafiła do Kappa Alfa Theta, najbardziej prestiżowego stowarzyszenia żeńskiego na uczelni. Na drugim roku studiów została królową balu, a dwa lata później odnalazła swoje miejsce w życiu jako żona Chipa Graya. Chip był jednym z najprzystojniejszych i najbardziej lubianych chłopców na uczelni, a drzewo genealogiczne jego rodziny w Nashville

sięgało pięciu pokoleń wstecz. Ich ślub był towarzyskim wydarzeniem roku i Genevra myślała, że jej życie potoczy się tak, jak się zaczęło. W obfitości przywilejów. Zaszczytów. Darów losu. Niestety dopiero trzy bolesne lata i dwa poronienia później urodziła córkę. Na dodatek przy porodzie wystąpiły powikłania i nie miała szans na więcej dzieci.

Holland była jednak tak śliczna, że rekompensowała matce wszystko. Jakby Bóg i świat chcieli przeprosić za błędy przeszłości. Do dziś Genevra pamiętała dotyk jedwabistych włosów córeczki. Mała odziedziczyła po matce słynne niebieskie oczy, jasną karnację i smukłą figurę, a po ojcu wzrost. I choć Genevra była nieco zbulwersowana widokiem twarzy córki w gazetach, w głębi duszy była z niej bardzo dumna.

W końcu Holland przeprowadziła się do Nowego Jorku i jej twarz zaczęła zdobić okładki periodyków i ekrany telewizorów. Rzadko przyjeżdżała do domu, a gdy Chip i Genewa odwiedzali ją na północy, nie miała dla nich czasu. Szokował ich hałas, wulgarność oraz wszechobecne narkoryki i seks.

Genevra nie powinna się dziwić, gdy Holland zaszła w ciążę, a jednak był to dla niej szok. Niezamężna córka nie chciała ujawnić nazwiska ojca. Genevra wzdrygnęła się na wspomnienie wstydu, ukradkowych spojrzeń przyjaciółek i okrucieństwa ukrytego w troskliwych pytaniach.

Wytrzymała wszystko, podobnie jak dzielnie zniosła wcześniejsze rozczarowania. Powtarzała sobie, że to część boskiego planu i że wkrótce wszystko zmieni się na lepsze. Gdy Holland na dobre wróciła do domu, wydawało się, że Genevra miała rację. Została wybrana, a Bóg nie zapomina

o wybranych.

A jednak zapomniał, pomyślała z goryczą. I to na dobre. Udowodnił to jednym razem boskiego bata. Nie chciała wracać myślami do tamtego koszmaru. Czasami miała wrażenie, że usycha i zmienia się w pustą łupinę, że lada moment rozpadnie się w proch, który rozwieje wiatr.

A jednak, wbrew szczeremu pragnieniu, codziennie budziła się na nowo. Budziła się, by stawić czoło mrocznemu koszmarowi, który pokonywała, zaprzeczając jego istnieniu. Ta walka ją zahartowała, choć zabiła w niej wrażliwość i sprawiła, że uśmiech rzadko gościł na jej twarzy. Genevra dostrzegła lekko uchylone drzwi szafy i zorientowała się, że Gillian tu była. Wnuczka myślała, że babka niczego się nie domyśla, ale Genevra zawsze wiedziała, gdy Gillian tu przychodzi. Prowadziły tę żalosną grę od lat. Genevra nie miała odwagi zaglądać do albumu, od nowa przeżywać swojej straty, patrzeć na dowody na to, jak bardzo zmieniło się jej życie. Zachowała go jednak dla Gillian. Wnuczka ma prawo poznać matkę, tyle że Genewa nie może ich sobie przedstawić.

I tak Gillian zakradała się ukradkiem, by przejrzeć album, a Genewa udawała, że nic o tym nie wie. Tak samo jak udawała, że jej cudowne życie wcale się nie zmieniło. I że wnuczka, pozornie twarda jak skała, nie jest w rzeczywistości wrażliwa i delikatna.

Wszedł Chip.

- Myślałem, że śpisz.

Spojrzała na niego. Dawniej szeroka, jego pierś skurczyła się i zapadła, a opalona twarz pobladła. Tak bardzo się postarzeli.

- Właśnie się kładę.

Odszedł, by włożyć piżamę. Jego widok przypomniał Genevrze mężczyznę, którego Gillian zaprosiła na kolację: wysokiego, barczystego -jak Chip przed laty.

- Chip. - Zatrzymał się w progu łazienki i odwrócił. Rzadko tak się do niego zwracała. To idiotyczne, żeby prawie osiemdziesięcioletniego mężczyznę nazywać Chip. A jednak nagle, nie wiadomo skąd, dawne przydomko pojawiło się w jej ustach jak wspomnienie innych, lepszych czasów. - Musimy coś z nim zrobić.

Nie zapytał, kogo ma na myśli. Powoli wrócił do pokoju, nie odrywając od niej oczu.

- Na razie, jej pilnuje.

Napotkała jego wzrok w lustrze. Zrozumiał.

Istnieje wiele definicji bezpieczeństwa. Ale zadawanie niewygodnych pytań nie jest jedną z nich.

Poklepał żonę po ramieniu.

- Dobrze. Rano to załatwię.

Pocałował ją w głowę, jakby chciał ją w ten sposób uspokoić. Ucisnęła jego dłoń, udając, że mu się udało.

Ray zamknął drzwi do sypialni, w której została Gillian. Pośpiesznie zbierał swoje ciuchy, poniewierając się w korytarzu. Starał się odgadnąć, kto jest w domu. Landowe na pewno. I ktoś jeszcze.

Od razu wiedział, dlaczego się zjawili. Wpatrzony w zamknięte drzwi sypialni, oparł ciężko głowę o ścianę. Zamknął oczy. Z jednej strony skręcał się ze wstydu, z drugiej - zrobiłby to samo, jeszcze raz. Nie podobało mu się ani jedno, ani drugie. A teraz musiał jeszcze stanąć twarzą w twarz z kolegami z pracy. Wciągnął spodnie, włożył ko-

szulę, zapiął trzy najniższe guziki i na tym zakończył, bo pozostałych nie było. Przeszył go lekki dreszcz, gdy przypomniał sobie, co się z nimi stało.

W pokoju zastał Landowe'a i Colemana. Ten ostami był prostakiem z głową ogoloną na łyso. Carlson wysyłał go zazwyczaj do roboty niewymagającej użycia rozumu. Najwyraźniej Landowe nie miał czasu poszukać kogoś innego. Mężczyźni oglądali w telewizji turniej siatkówki plażowej kobiet. Na stoliku leżała niedojedzona pizza. Spojrzeli na niego i zaraz wrócili wzrokiem do ekranu. Ray poczerwieniał.

- Hej, Ray, chyba coś zgubiłeś? - Coleman rzucił w niego drobnymi przedmiotami. Odbiły się od jego klatki piersiowej, upadły na dywan i patrzyły na niego jak dwoje białych oczu. Guziki. - Musisz się zdecydować: albo ją ochraniasz, albo posuwasz.

- Przykro mi, Ray - włączył się Landowe. - Nie odpowiedziałeś na ostatnie wezwanie.

Ray skinął głową. Jezu, ile razy to słyszał?

Sypianie z klientką to jedna z największych zasadzek tej pracy. W życiu nie przypuszczał, że sam w nią wpadnie.

Dobrze chociaż, że zachowali dyskrecję. Nie wpadli do sypialni, nie wprawili Gillian w zakłopotanie. Z drugiej strony, dlaczego mieliby to robić?

Dyskrecja to część tego zawodu. W każdym razie, jeśli chodzi o klientów.

Coleman wbił zęby w kawałek pizzy.

- Powiedz, Ray, warto było? - Skinął głową w stronę sypialni. - Taka malutka... - Młasnął ustami.

- Założę się, że była ciaśniutka.

Nim się obejrzał, Ray trzymał go za gardło.

- Co do kur... - wydusił Coleman. Reszta zanikła w chrapliwym bełkocie.

- Zamknij się, do cholery!
- Puszczaj, dupku!
- Ray! Ray!

Landowe go odciągnął. Ray wpatrywał się w Colemana, dysząc ciężko.

- Wynoś się - powiedział Landowe i rzucił mu mikrofon. Pewnie znaleźli go w korytarzu, jak resztę. - No, idź. Carlson chce cię widzieć z samego rana.

- Nie wyjdę tak od razu. Landowe się zdziwił.

- Jak to?

- Chce się pożegnać. - Coleman zachichotał. - Jezu, Pearce, słyszałem o tobie i twoich kobietach. Ta cipka zawróciła ci w głowie, co?

Ray znowu rzucił się na Colemana, ale Landowe zastąpił mu drogę.

- Dosyć tego! Uspokój się, Ray! Opanuj się, do cholery! Landowe trzymał go za ramię. Ray skinął głową i mężczyzna go puścił.

- My jej wyjaśnimy - powiedział. - Idź już.

Ray zastanowił się. Był skołowany. Musi sobie to wszystko poukładać. Przemyśleć, zrozumieć, co to znaczy. A przy Gillian to niemożliwe. Boże, przecież przy niej z trudem oddycha. Koledzy mają rację. Nie może jej chronić, jeśli się zaangażuje.

- Pilnujcie jej - powiedział w końcu. - I to dobrze.

- Zobaczymy, czy uda nam się tak skutecznie, jak tobie - rzucił Coleman.

- Zamknij się, Coleman - warknął Landowe i odprowadził Raya do drzwi. Ray wyszedł z domu w ciemność. Nocny chłód był mu potrzebny. Zimny powiew był jak policzek na rozpaloną twarz.

Spanie z klientką to poważny błąd. Zakochać się w niej to katastrofa.

Gillian usłyszała zamieszanie i wybiegła z sypialni.

Przyszedeł wreszcie? Zjawił się po nią? Czy Ray właśnie stawia mu czoła?

Po chwili zorientowała się, z kim naprawdę walczy Ray. Z Lan-dowe'em i kimś jeszcze. I wcale nie chodzi o zabójcę.

Dupek, przemknęło jej przez głowę. Niby kogo nazywa cipką? Może sypiać, z kim chce i niech spadają na bambus, jeśli im się to nie podoba. Już szła, by im to powiedzieć, kiedy trzasnęły drzwi i Ray zniknął.

Tego się nie spodziewała. Myślała, że będzie bardziej bojowy. Bardziej wytrwały. Przytulona do ściany, nagle poczuła chłód. Potarła ramiona i przypominała sobie dotyk Raya. Jego usta, bliskość, nagość. I nagle nie było jej już zimno. Płonęła.

Jęknęła. No cóż, powtórki z rozrywki nie będzie, więc nie ma sensu tęsknić. Ani za Rayem, ani za kimkolwiek innym. Nie ma go? I dobrze. Ona ma zadanie do wykonania. Musi prześladować prześladowcę.

W milczeniu wróciła do sypialni, by się ubrać. Została boso. Szpilki to nieodpowiednie obuwie na ucieczkę.

W pokoju była osobna łazienka. Zajrzała do niej. Ubikacja, wanna z prysznicem za zasłonką i małe okienko w ścianie.

Przyniosła z pokoju fotelik i wciągnęła go do wanny. Popatrzyła na okienko. Będzie ciężko, ale chyba się przeciśnie.

Otworzyła je szeroko i łazienkę wypełniło nocne powietrze. Mocowała się z siatką antykomarową, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Serce stanęło jej w piersi.

Cholera.

Zeskoczyła z fotela i zaciągnęła zasłonkę. Znowu

pukanie.

- Panno Gray?

- Chwileczkę!

Błyskawicznie rozpięła koszulę.

- Wszystko w porządku, panno Gray? - Poznała głos Landowe'a.

- Ray? - Specjalnie zmierzwiła włosy i uchyliła drzwi. - Och, Landowe - mruknęła sennie.

Zadbała, by zobaczyć rozpiętą koszulę i od niechcenia zakryła piersi. Lanowe odwrócił wzrok, speszony, dokładnie tak, jak się spodziewała.

- Wszystko w porządku? Wydawało mi się, że słyszałem...

- Wszystko w porządku, oprócz tego, że nie dajecie mi spać. - Ziewnęła ostentacyjnie. - Czy możesz mnie sprawdzić rano?

- Tak, oczywiście. - Odwrócił się, by odejść. Gillian nie zdołała oprzeć się pokusie i zawołała za nim:

- Przyślij mi tu Raya.

Landowe już otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy dodała:

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ma fantastyczny tyłek. - Zamknęła drzwi, słysząc jak speszony mamrocze:

- Tak, proszę pani. Szybko wróciła do łazienki.

Zdjęcie siatki antykomarowej zajęło jej pół godziny. Przerzuciła buty za parapet. Oby nie zginęły. Odetchnęła głęboko i podciągnęła się.

Początkowo było trudno, ale dzięki drobnej figurze udało jej się przecisnąć.



## Rozdział 38

Ray siedział w land roverze zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy. Znieruchomiał, widząc drobną postać przemykającą między zaroślami. Włączył mikrofon, by ostrzec kolegów w domu, że jakiś facet wymyka się z krzaków, gdy zobaczył, że to wcale nie facet.

Uśmiechnął się ponuro. A jednak miał rację. Od początku wiedział, że ci dwaj nie zdołają upilnować Gillian.

Patrzył, jak podskakuje na jednej nodze, zakładając najpierw jeden but, a potem drugi. Boże, wyszła boso? Dokąd ona się wybiera? Nie ma samochodu i raczej nie ma jak wezwać taksówki, chyba że ci idioci dopuścili ją do telefonu.

Przebiegła przez jezdnię i skierowała się w stronę zjazdu na autostradę. Poczekał, aż się trochę oddali, po czym ruszył za nią ze zgaszonymi światłami. Z odległości dwóch przecznic widział, jak zbliża się do wjazdu na autostradę i próbuje złapać okazję.

Czy ona zupełnie oszalała?

Głupie pytanie. Oczywiście, że tak. Na szczęście nie można było powiedzieć tego samego o kierowcach, których o tej porze było i tak niewielu. Minęło dwadzieścia minut, a nikt się nie zatrzymał. Kiedy po pięciu minutach minął ją kolejny samochód, bezradnie zwiesiła ramiona. Już myślał, że zrezygnowała. Ale nie. Podniosła głowę, wyprostowała się i ruszyła w stronę Nashville na piechotę. Szybko mszył z miejsca, wyjechał na autostradę. Czy naprawdę chciała iść do Nashville

pieszo?

Jechał za nią w bezpiecznej odległości, co chwila zjeżdżając na pobocze, by zachować odpowiedni dystans. Kusiło go, by się zatrzymać i zabrać ją do wozu, ale co tam. Długi spacer w szpilkach dobrze jej zrobi. Zresztą nic jej nie będzie, ma ją na oku. Jej mały maraton zakończył się na pierwszej napotkanej stacji benzynowej. Minał ją i zobaczył, jak Gillian wchodzi do pawilonu. Widział wyraźnie, jak w jasno oświetlonym wnętrzu rozmawia ze sprzedawcą, a potem podchodzi do telefonu na ladzie. Podniosła słuchawkę, wystukała numer, powiedziała coś szybko i rozłączyła się.

Nie można jej odmówić inteligencji. Po co maszerować taki kawał, skoro można się przejechać? Zgasił silnik i czekał na taksówkę. Potem pojedzie za nią na drugi koniec kraju, jeśli będzie trzeba.

Jednak po chwili Gillian wyszła z budynku i ruszyła w drogę.

Powrotną.

Szybko odpalił silnik i zawrócił.

Droga powrotna zajęła jej kwadrans dłużej.

Utykała, skręcając w bramę osiedla River Bend.

Zaparkował przecznicę od domu i patrzył, jak zakrada się do niego tą samą drogą, którą z niego wyszła.

To bez sensu. Zupełnie bez sensu. I właśnie dlatego tak bardzo się denerwował.

Powrotny marsz zajął jej pół godziny. Dziesięć minut po tym, jak zniknęła w środku, przed domem pojawiły się pierwsze samochody.

Mężczyźni z notesami i dyktafonami, fotografowie. Potem przyjechały wozy transmisyjne. Reporterzy i dziennikarze zbierali się przed małym domkiem. W końcu jeden z nich - chyba Benton James,

reporter z „Przeglądu Tennessee”, ten, który był wtedy w muzeum - podszedł do drzwi i zapukał. Ray nie wierzył własnym oczom. Ona nie dzwoniła po taksówkę. Nie dzwoniła do Maddie ani do dziadków. Gillian zwołała cholerną konferencję prasową.

Ledwie rozległo się pukanie, Gillian ruszyła energicznie do drzwi.

- Ja otworzę.

Landowe i ten drugi wyciągnęli pistolety. Zastawili jej drogę.

- Zabierz ją na tył budynku - mruknął Landowe do faceta łysego jak Kojak.

- Kto to jest? - burknęła Gillian. - I gdzie Ray?

- I to już!

Kojak złapał ją za ramię. Znowu pukanie.

- Panno Gray? Panno Gray, jest tam pani?

Wyrwała się. Spojrzała na Landowe'a.

- Otwieraj - poleciała.

- Chyba pani żartuje. Nie wiemy, kto tam jest.

- O ile mi wiadomo, mordercy nie pukają do drzwi.

Landowe i łyśol wymienili spojrzenia.

- Otwieraj, do cholery, bo sama to zrobię.

Kojak wzruszył ramionami, odciągnął ją na bok i zastawił drogę. Landowe podszedł do drzwi, stanął przy framudze i nacisnął klamkę.

Powitał go błysk fleszy i dziesiątki głosów.

Landowe zatrzasnął drzwi.

- Prasa - mruknął Kojak.

- Skąd się dowiedzieli? Gillian wyminęła łysego.

- Ja ich zawiadomiłam. - I zanim zdążyli zareagować, podbiegła do drzwi.

Wyszła na zewnątrz i stanęła na progu, w świetle kamer, w blasku fleszy. Uniosła rękę na znak, że prosi o ciszę.

- Panowie, odpowiem na wasze pytania, ale muszę je najpierw usłyszeć.

Kakofonia przerodziła się w stłumiony szum.

Wszyscy mówili jednocześnie. Gillian wskazała palcem jednego z dziennikarzy.

- Bierze pani udział w aukcji charytatywnej na rzecz szpitala. Czy wycofa się pani, zważywszy na kontrowersje, jakie budzą jej prace?

- Nie. - Wskazała kobietę z przodu.

- Jaka martwa natura znajduje się na aukcji?

- Żadna. - Uśmiechnęła się. - Nie chcę nikogo wystraszyć. Podarowałam krajobraz. Ulubione zdjęcie mojej babki.

Zaczęła się niepokoić. Jeśli pozostałe pytania będą równie niewinne, nie trafi na pierwsze strony jutrzejszych gazet.

Mężczyzna w pierwszym szeregu wyglądał znajomo. Wskazała go.

- Benton James z „Przeglądu Tennessee” - przedstawił się. - Co pani sądzi o trzecim morderstwie?

- Słucham?

- O trzecim zabójstwie. Co pani o nim sądzi?

- O trzecim... - Patrzyła na tłum. Wzdrygnęła się. - Chyba się pan pomylił. Nie było...

- Nie pomyliłem się — obstawał przy swoim.

Zajrzał do notesu. - Ofiarą jest Linda Hayes.

Słowa „trzecie morderstwo” rozchodziły się falami po tłumie, zagłuszając hałas.

- Godzinę temu dostałem zdjęcie - ciągnął dziennikarz z dumnym uśmiechem. - Basenik - dorzucił tytuł jednej z jej prac.

Cisza eksplodowała burzą pytań.

- Uważa pani, że to jej wina?

- Co pani powie rodzinom ofiar?

- A Matthew Dobie?

- Przestanie pani?

Tłum napierał, przytłaczał ją ogromem i hałasem. Dusiła się, traciła oddech. Przed oczami stanęła jej fotografia powieszzonego dziecka. Chciała uciekać, krzyczeć, ale nie mogła się ruszyć. Myśleć. Oddychać.

- Dostyc tego. Rozejść się! - Ray przebił się przez tłum i wziął ją pod rękę. - Koniec konferencji - zawołał i pociągnął ją do drzwi.

- Panno Gray! Panno Gray!

- Co pani teraz zrobi?

Otworzył drzwi, żeby wepchnąć ją do środka, ale Gillian jeszcze nie skończyła. Nie pozwoli łajdakowi wygrać.

Odwróciła się, wyswobodziła z opiekuńczych ramion Raya i spojrzała na tłum. Umilkli jak zaczarowani. Jak dobermany śliniące się przed atakiem. Miała to gdzieś. Mierzyła ich wzrokiem, szukała kamer, pozwoliła, by oślepiły ją błyski aparatów.

- Powiedzcie mu, gdzie jestem - wycodziła powoli, wyraźnie. - Napiszcie to wielkimi, drukowanymi literami. Pokażcie to na ekranach. Niecił wie dokładnie, gdzie jestem. I powiedzcie mu, że się go nie boję. - Po jej policzku spłynęła łza. - Słyszycie? Powiedzcie mu, że czekam. - Ray objął ją mocno. - Czekam na niego! - Ciągnął ją do drzwi - Czekam!

- Co pani robi?

- Zabije go pani?

- Zabije go pani, panno Gray? Ray zamknął drzwi kopniakiem.

- Puść mnie! - Wyrывała się, ale trzymał mocno.

- Nie puszczę cię, mała. - Jego silne ramiona zaniknęły się wokół niej. - Więc już nie walcz. - Przytulił ją do siebie, aż jej jęki znikły na jego

piersi. - Przestań - powiedział cicho. - Po prostu przestań.

I jakby wiedział, jakby przejrzał na wylot jej żaloszny umysł i rozdarte serce, utulił ją. Przywarła do niego i rozplakała się. Szeptał słowa ukojenia, kołysał ją i patrzył, jak płyną gorące łzy. Dotrzymał słowa. Był przy niej.

## Rozdział 39

Telefon zadzwonił o ósmej rano. Leżała na łóżku całkowicie ubrana, wtulona plecami w Raya. Przez moment nie wiedziała, gdzie jest, ale dźwięk telefonu przypomniał jej wczorajsze wydarzenia.

Ray się poruszył, przeciągnął i instynktownie przyciągnął ją do siebie. Jego silne ramiona były jak tarcza - twarde i nieugięte. Kolejny dzwonek. Ray sięgnął do stolika, na którym leżała jego komórka. Wczoraj oddałaby za nią wszystko.

- Pearce - rzucił. Koszula wystawała mu ze spodni, pogniecionych po całej nocy przy niej.

Zamknęła oczy. Usiadła. Wsparła się na łóżku i opuściła nogi. Musi przestać. Nie może ciągle na nim polegać. Bo jeszcze zamarzy jej się niemożliwe.

- Tak, proszę pana - mówił do słuchawki. - Jest tutaj. Położył dłoń na jej ramieniu i bez słowa podał jej aparat.

- Gillian? - powiedział Chip. - Możemy porozmawiać?

Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła zatroskaną twarz Raya. Odwrócił wzrok, jakby wiedział, że nie powinien tak na nią patrzeć. Zniknął w łazience. Usłyszała szum spuszczonej wody i odkręcony kran.

- Co się stało? - powiedziała do słuchawki. Dziadek się zawahał.

- A skąd wiesz, że coś się stało?

- Nikt nie dzwoni o ósmej rano. Coś się musiało stać.

Znowu chwila wahania. Gillian zacisnęła usta.

Czekała. Czyżby czwarte morderstwo? Boże, tylko nie to. Zesztywniała w oczekiwaniu na wyrok.

- Godzinę temu zadzwonił do mnie Tom Petrie.

Wstrzymała oddech.

- Burmistrz? No, no, w jakich kręgach się obracamy.

Chip okazał się o wiele lepszy w ignorowaniu jej sarkazmu niż Ge-nevra.

- Jestem przewodniczącym rady nadzorczej muzeum - odparł spokojnie.

- Muzeum? - Wstrzymała oddech.

- Prosił, żebym przedstawił wniosek. Była bardzo spięta. Zapytała powoli:

- Jaki wniosek?

- Chce zamknąć wystawę.

Znieruchomiała, wpatrzona w przestrzeń. Nic dziwnego.

- Zwołałem nadzwyczajne posiedzenie na dziewiątą- ciągnął Chip. - Chciałem ci tylko... powiedzieć.

- Poprzesz ten wniosek?

Znowu cisza. I w końcu:

- Tak. Uważam, że nie mamy innego wyjścia. Nie po tym, co się wczoraj stało.

Jej serce na moment przestało bić. Trzy trupy. To

wszystko jej wina.

- Bardzo mi przykro, Gillian. Musimy myśleć w szerszej perspektywie.

- Dzięki za słowa otuchy - mruknęła.

- Gillian...

Nie obchodziło jej, co jeszcze ma do powiedzenia. Zamknęła telefon, przerywając połączenie. Ray obserwował ją z progu łazienki.

- Problemy?

Nie wiedzieć czemu przypomniała sobie, jak wieczorem zaniósł ją do łóżka. Wstydziła się własnej słabości, tego, że tak bardzo go potrzebuje.

Przybrała obojętną minę i odparła sucho:

- Nie. - Wstała, minęła go i weszła do łazienki.

Boże, wygląda okropnie. Wczorajsze łyżki rozmazały tusz. Miała go wszędzie - na policzkach, pod oczami. Odkręciła kran, oparła się ciężko o blat i czekała, aż popłynie gorąca woda. - Burmistrz chce zamknąć wystawę.

Odwrócił się do niej. Zmarszczył brwi. - Może to zrobić? Namoczyła myjkę i przetarła twarz. Jeśli zarząd się zgodzi, tak. Oczywiście. - Spłukała twarz i sięgnęła po ręcznik.

Ale to jak przyznanie racji Dobiemu. Jak uznanie, że zabójstwa to twoja wina.

Kątem oka dostrzegła jednorazową maszynkę do golenia. Przyglądała się małym ostrzom o kilka sekund za długo. Zaciśnęła dłonie na brzegu umywalki, aż pobiełały jej kłykcie. Chciała krwawić. Potrzebowała tego.

Ale maszynka zniknęła w innej dłoni. W lustrze napotkała wzrok Raya.

- To nie twoja wina - powiedział do jej odbicia. - Nie. Twoja. Wina.

- Powiedz to Margaret Pulley - odpowiedziała. -



Dawn Farrell. Albo Lindzie Hayes. - Zwiesiła głowę, nie mogąc na siebie patrzeć. - Co, nie możesz?

Jasne, przecież nie żyją

- Nie ponosisz winy za działania wariata. Ani teraz, ani wtedy. Gwałtownie podniosła głowę.

- Co to ma znaczyć?

- Dobrze wiesz, co to znaczy. Miałaś wtedy siedem lat. Nie mogłaś jej uratować.

- Przyganiał kocioł garnkowi. Zmarszczył czoło.

- O co ci chodzi?

- Nie możesz czuwać bez przerwy. Każdy robi to, co musi. Zawsze znajdzie się sposób, żeby...

Niebezpiecznie zmrużył oczy.

- Taki na przykład? - Podniósł maszynkę. - Chcesz powiedzieć, że bez względu na to, co zrobię, i tak się potniesz?

- Nie, Ray. Już tego nie robię. Nie muszę. Jeśli chcę się skrzywdzić, robię zdjęcie. Cholerną fotkę. Wybiegła z łazienki, zanim popłynęły łzy. Dopadła fotela, którym posłużyła się podczas wczorajszej ucieczki. Nogi ugięły się pod nią i opadła na miękkie siedzenie. Wbiła drżące ręce w oparcie. Dlaczego zawsze ginie ktoś inny?

Zamknęła oczy, wściekła na siebie za te dreszcze.

- Będzie jakieś oświadczenie? - W głosie Raya znowu pojawiła się czułość. I spokojna siła, która już tyle razy pomagała jej wziąć się w garść.

- Tak, podczas zebraniu zarządu.

- Możemy tam pójść. Przekonać ich do zmiany zdania. Otworzyła oczy, patrząc przed siebie tępym wzrokiem. Przez głowę przemknęło jej pytanie, czy w całym tym zamieszaniu Ray pamiętał, żeby zabrać dla niej czyste ubranie.

- To będzie cios dla muzeum - powiedziała w końcu.

- Dla nich? A dla ciebie?

- Ja nie muszę polegać na hojności darczyńców. Oni tak.

- Jak to?

- To nowa placówka. Nie mają własnej kolekcji. Korzystają z wystaw czasowych. W świecie sztuki ingerencja cenzorska to niemal zbrodnia, i właśnie tak będzie postrzegane zamknięcie wystawy. Przygotowałam ją na zlecenie Brooklyńskiego Muzeum Sztuki, jednej z najbardziej prestiżowych galerii w kraju. Trudno im będzie sprowadzić inne równie znaczące kolekcje po takim incydencie.

- Pieprz ich - poradził Ray. - Tak jak oni ciebie. Spojrzała na niego, zaskoczona jego ostrymi słowami, ale gdy zobaczyła go w proggu, zrozumiała, że to nie bezmyślna złość. Chodziło mu o nią.

Odwróciła się. Dlaczego jest taki piękny? Taki dostępny? Tak bardzo jej?

Wstała, nagle zmęczona rozpaczą i żalem,

- Masz rację. - Otworzyli szafę, ciekawa, czy na zebraniu zarządu wystąpi w tym, w czym spała. - Pieprzą mnie.

Jeśli już ktoś ma się wściekać z powodu wystawy, niech to nie będzie Ray Pearce.

Chip odłożył słuchawkę po rozmowie z Gillian i zapatrzył się w dal. Oddychał z trudem.

Posępnie myślał o kolejnym telefonie, który musiał wykonać. Ten także ciążył mu kamieniem na sercu. Ale przywykł już do tego ciężaru.

Odszukał w kieszeni zwitek papieru z numerem telefonu. Tym razem nie wiedział, czy postępuje właściwie. Ale wiedział, że nie będzie łatwo. Ani Genevrze, ani Gillian.

Nadal niezdecydowany, wstał i poszedł do żony. Choć nie wybierała się na posiedzenie zarządu,

była ubrana. Elegancka jak zawsze.

- Niepotrzebnie wstałaś - mruknął.

- Pomyślałam, że zjemy razem śniadanie. -

Wiedział jednak, że nie chodzi jej o grzanki i kawę.

Chciała go podtrzymać na duchu, upewnić się, że dotrzyma słowa.

Przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy miała jeszcze trochę ciała. Była miękka, kształtna, kobieca. Ale tragedia i rozpacz zniszczyły ją, złamały i teraz była z żelaza.

- Charles, gapisz się na mnie.

- Tak? - Powinien odwrócić wzrok, ale nie zrobił tego. Nie mógł. Opuszkami palców po raz kolejny musnął świstek w kieszeni.

Choć milczał, wiedziała. Jej oczy błysnęły stałą.

- Nie - powiedziała.

Pociągnął ją na łóżko, przysiadł razem nią na skraju, otoczył ją ramieniem.

- Musimy komuś powiedzieć.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć.

- Może to on.

- Nie.

- Gennie, trzy zabójstwa. Trzy kobiety nie żyją.

- Jest słaby i zły, ale nigdy...

- Tego nie wiemy. Nie mamy pewności.

Znieruchomiała w jego ramionach. Była sztywna, nieugięta.

- Nigdy ci tego nie wybaczę, Charles. Nigdy.

Wierzył jej.

## Rozdział 40

Nadzwyczajne posiedzenie rady nadzorczej Centrum Sztuk Plastycznych Graya zaczęło się punktualnie o dziewiątej - godzinę wcześniej niż zazwyczaj. Chip Gray odetchnął głęboko. Całym sobą chłonał energię sali. Zazwyczaj miejsca dokoła długiego stołu konferencyjnego świeciły pustkami, bo członkowie zarządu przedkładali inne zobowiązania nad udział w posiedzeniach, ale dzisiaj stawili się wszyscy. Ba, niektórzy nawet stali, bo zabrakło krzeseł, mimo że wstawiono kilka składanych. Oprócz członków zarządu na posiedzeniu nie zabrakło także pracowników muzeum. Will Davenport, dyrektor, stał obok głównej kurator wystawy, Stephanie Bower. Jeszcze wczoraj jasnowłosa, dzisiaj zjawiła się jako brunetka.

- Lepiej dmuchać na zimne - mruknęła, gdy Will zażartował z tej nagłej zmiany koloru włosów. Chip rozejrzał się po sali. Patrzył na pozostałe kobiety. Nie było wśród nich ani jednej blondynki. Już nie. Ta myśl przepełniła go strachem, który dodatkowo potęgowało napięcie w ciasnej sali. Nie dość, że musi zrobić niewyobrażalne, to jeszcze na oczach tylu świadków.

Nie zarabia się jednak milionów, jeśli nie potrafi się przekazywać złych wieści. Postukał sędziowskim młotkiem, by zwrócić na siebie uwagę.

- Dziękuję wszystkim za przybycie.

Wśród zebranych byli ludzie różnego pokroju: tacy jak on, którzy mieli dość pieniędzy, by realizować marzenia, oraz lokalni społecznicy i nauczyciele, którzy mieli wizję i pasję. Obie grupy łączyło przywiązanie do muzeum oraz troska o edukację

kulturalną mieszkańców Nashville.

- Otrzymałem telefon od burmistrza Petrie.

Wobec... - Zawahał się. Słowo "morderstwo" nie przeszło mu przez gardło. - Wobec tragedii, które miały miejsce w naszym mieście i ich związku z naszą wystawą prosił, byśmy ją zamknęli i usunęli z muzeum dzieła Gillian Gray.

Sala eksplodowała hałasem. Chip znowu sięgnął po młotek.

- Panie i panowie, bardzo proszę!

- Jesteśmy prywatną organizacją! - zawołał ktoś z sali. - Ratusz nie ma tu nic do gadania!

- To tylko prośba - zauważył Chip. Uderzał młotkiem raz po raz, aż ponownie zapanował spokój. - Możemy ją spełnić lub nie - ciągnął. - Burmistrz prosi tylko, byśmy wzięli pod uwagę bezpieczeństwo mieszkańców i poważnie rozważyli taką możliwość.

Odezwała się nauczycielka z Domu Sztuki:

- Pytanie tylko, czy zamknięcie wystawy wpłynie jakoś na dochodzenie? Czy powstrzyma mordercę?

- Kiedy nikt nie odpowiedział, dodała: - A może szalenciec pragnie sławy i rozgłosu, i zamykając wystawę, damy mu dokładnie to, o co zabiega?

Przez salę przebiegł pomruki poparcia.

- Nie bylibyśmy pierwsi - zauważył Will Davenport.

- Inne muzea też odwoływały wystawy.

- Po pierwsze - włączyła się Stephanie Bower - inne muzea, które odwoływały wystawy, istniały o wiele dłużej niż my, miały renomę i tradycję. Jeśli teraz się wycofamy, BMS już nigdy niczego nam nie wypożyczy.

- Konflikt z Brooklyńskim Muzeum Sztuki to nasze najmniejsze zmartwienie - zauważył jeden ze starszych członków rady, bankier.

- Nie na dłuższą metę - odparła Stephanie. - Nie

możemy zapominać, kim jesteśmy. - Rozglądała się po sali, patrząc ludziom w oczy. - Nasza kolekcja jest bardzo skromna. Nie wystarczy, byśmy byli samowystarczalni finansowo, dlatego jesteśmy zdani na inne placówki. A jak na nas patrzają?

- Jak na wieśniaków! - zawołał ktoś.

- Buraków!

- Filistynów! Bower pokiwała głową.

- Jeśli ulegniemy presji, żadne muzeum nie będzie chciało z nami współpracować.

Po tych słowach zapadła cisza. Obecni walczyli wiele lat, by muzeum w ogóle powstało, a teraz zanosilo się na to, że ich starania pójdą na marne.

- Ależ tu chodzi o coś innego - zauważył Chip ze zdziwieniem. - O ludzkie życie.

- Nacisk to nacisk - zaważył pewien rzeźbiarz. - Jeśli raz ulegniemy, nie wiadomo, czego im się zachce następnym razem.

- To jest muzeum - tłumaczyła Stephanie. -

Miejsce, w którym się obcuje ze sztuką, nierzadko eksperymentuje. To nie nasza wina, że szaleniec wypacza nasze idee. Powstrzymanie go to obowiązek policji, a nie nasz.

Na sali wybuchły brawa przeplatane gniewnymi okrzykami. Ludzie patrzyli na siebie wrogo. Chip raz po raz walił młotkiem w stół. Już otwierał usta, by formalnie postawić wniosek o zamknięcie wystawy i zakończyć cały bałagan, gdy powstało przy drzwiach zamieszanie.

Nieoczekiwanie w progu stanęła Gillian.

Hałasy ucichły jak ucięte brzytwą. Wszystkie oczy wpatrywały się w nowo przybyłą. Nikła w cieniu Raya, który stał za jej plecami, ubrany w elegancki ciemny garnitur.

- Mogę zabrać głos? - zapytała Gillian chłodno,

uprzejmie.

Chip starał się zachować kamienną twarz. Uważał, że jego obowiązkiem jest poinformować ją o zebraniu. Jakkolwiek by było, to jego wnuczka. Liczył jednak, że będzie miała dość rozsądku, by trzymać się z daleka. Powinien się domyślić, że będzie inaczej. Nic nie cieszy jej bardziej niż publiczna awantura.

- Nie uważam, żeby...

- Ona ma prawo przemówić! - zauważył rzeźbiarz. Bankier łypnął na niego groźnie.

Salę wypełniły pomruki aprobaty i sprzeciwu.

Chip zacisnął usta. I bez tego trudno było mówić o jednomyślności w zarządzie. Ostatnie, czego im trzeba, to dramatycznej mowy Gillian, walczącej o wystawę. Choć miał na to wielką ochotę, nie mógł odmówić jej prawa głosu. Nie na zebraniu zarządu.

- Oczywiście - powiedział z nieskrywaną niechęcią. Gillian odetchnęła głęboko i zmierzyła wzrokiem zebranych, nie wyłączając dziadka. Ma jaja, to trzeba jej przyznać. Jaja i stalowe spojrzenie babki.

- Zanim państwo zdecydują- zaczęła - chciałam poinformować, że wycofuję z wystawy moje prace. Wszyscy wstrzymali oddech. Po chwili w sali zawrzało jak w ulu. Chip był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć. Gillian podniosła rękę.

- Rozmawiałam już z... - usiłowała przekrzyczeć tumult. Chip oprzytomniał i złapał za młotek.

- Panie i panowie!

- Rozmawiałam już z zarządem BMS - powiedziała, gdy zapanowała cisza. - Przedstawiłam im zaistniałą sytuację. Zgodzili się, by spakować zdjęcia i wysłać je do Chicago, gdzie nasza wystawa ma być prezentowana w następnej kolejności. Na mój koszt.

Znowu rozległy się szepty, tym razem pełne aprobaty i ulgi. Gillian rozejrzała się po zebranych. Na końcu odnalazła wzrok Chipa. Wyraz jej twarzy złagodniał i nagle wyglądała jak Holland, jego piękna utracona córeczka. Poczuli łzy pod powiekami i odwrócił się gwałtownie. Odchrząknął. Czy to widziała? Nie był pewien. Dała mu jednak dość czasu, by wziął się w garść, ponownie zwracając się do zebranych:

- I jeszcze jedno: ponieważ wielu z państwa weźmie udział w aukcji dobroczynnej na rzecz szpitala, pragnę poinformować, że wycofuję z niej moją fotografię. A w sobotni wieczór zostanę w domu. - Uśmiechnęła się lekko. - To by było tyle. - Ukłoniła się i zniknęła za drzwiami.

Gillian zamknęła za sobą drzwi, oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Dygotała na całym ciele. Musi chwilę odpocząć.

Poczowała czyjaś dłoń na ramieniu. Uniosła powieki. Ray stał tuż obok. Głaskał jej policzek. Delikatnie unióś jej podbródek, by spojrzeć mu w oczy.

- Na pewno tego chcesz?

Chciała zagubić się w jego dotyku, rozkoszować pocieszeniem, które tak ochoczo dawał. Odwróciła głowę, żeby przerwać czar.

- Przestań.

Przez chwilę stał jak idiota z rękaw powietrza. Miał już dosyć tego, że ciągle go odpycha. Chciała odejść, ale ją przytrzymał, pchnął na ścianę i odciął drogę ucieczki, opierając ręce po bokach.

- Dlaczego? Bo jesteś taka twarda?

- Bo jesteś inny niż reszta facetów.

Pachniała mydłem. Pot i seks znikły, starannie zmyte jak wczorajsze łzy. Przeszył go żal, ale zbyt go wzruszeniem ramion, raczej zły niż smutny.

- Uważasz, że nie umiem sobie odpuścić?



- Chcę powiedzieć, że umiesz kochać, Ray. A odpuszczam ja. Zawsze ja. Patrzył na jej dumny podbródek i przepastne oczy. Denerwowało go, że zakochuje się w kobiecie, która go potrzebuje, ale nie chce. Której nie umie uszczęśliwić. Wycofał się. Szybko. Uniósł ręce. Oderwała się od ściany.
- Tym sposobem muzeum uniknie odpowiedzialności - dodała. Odprowadzał ją wzrokiem, podziwiając wyprostowane plecy i dumny krok.
- Zawsze jesteś taka szlachetna? Spojrzała na niego przez ramię i uśmiechnęła się smutno.
- Staram się, Ray. Staram.

## Rozdział 41

Jimmy Burke wpatrywał się w tablicę sytuacyjną na posterunku. Pomieszczenie śmierdziało stęchłymi tostami, sosem do pieczeni i smażoną okrą- śniadaniem kolegi, który dawno poszedł do domu. A może to była kolacja? Wszyscy brali nadgodziny i grafik diabli wzięli. Choć rzucili do akcji wszystkich ludzi, nie mieli na razie efektów. Nie przerwali serii zbrodni ani nie odkryli związku między nimi.

Chwilowo siedział sam. Wpatrywał się w zdjęcia z miejsc zbrodni, przyklejone do tablicy, w strzałki, pytania, teorie, dane. Wpatrywał się w nie od

dobrej pół godziny, ale nadal nic mu nie przychodziło do głowy.

Pierwsza była rozwódką, druga singlem, a trzecia mężatką, choć męża nie było w mieście w czasie zabójstwa. Wiek? Od szesnastu do pięćdziesięciu lat. Zaatakowano je w domu, w pracy i na ulicy. Mapa sugerowała, że zabójca kieruje się do centrum miasta, ale do zbrodni dochodziło w różnych dzielnicach i nie sposób było przewidzieć, czy zmierza do muzeum Graya. Żadna z ofiar nie znała Gillian Gray. Nie łączyło ich nic poza kolorem włosów. \_\_

Przerażone mieszkanki Nashville nosiły chusty i peruki, zostawały w domu. Nikt nie umiał przewidzieć, kiedy i gdzie dojdzie do następnego ataku.

Od czasu śmierci Margaret Pulley regularnie sprawdzali wiadomości na ttronie Gillian. Tylko trzy mogły mieć związek z zabójstwami. Każda pojawiała się tuż po zbrodni i każdą wysłano z komputera ofiary. Ktoś je wydrukował, powiększył i powiesił na tablicy.

„Ja to robię.

Zrób to ze mną.

Oszuści cierpią i umierają”.

Kto je wysyłał? Asystentka Gillian była chyba czysta, choć nie odbierała telefonów ani w atelier, ani w swoim mieszkaniu na Manhattanie. Po Kennym Poście nadal nie było śladu, co stawiało go w kręgu podejrzanych. Nie mógł jednak zapomnieć o nierozwiązanym morderstwie z 1986 roku, o Holland Gray.

Jimmy wyciągnął z archiwum stare akta i dokładnie je przejrzał. Rozmawiał z Harleyem Samuelsem, pokazał akta innym. I nic. Żadnych nowych tropów, tylko nieprzyjemne wrażenie, że

morderca matki poluje teraz na córkę. Dlaczego czekał tak długo? Przeważała teoria, że siedział w więzieniu i dopiero niedawno go wypuścili. Tymczasem nie znaleźli jednak więźnia, którego czas aresztowania i zwolnienia odpowiadałyby datom poszczególnych morderstw. W wiadomościach pokazano zaimprovizowaną konferencję prasową Gillian Gray sprzed trzech dni. Jimmy'ego zastanawiało, jak, do cholery, Ray do tego dopuścił. Z drugiej strony wiedział, jak to jest z Rayem i kobietami. Był miękki. W każdym razie zło się stało i teraz wszyscy wiedzieli, gdzie szukać panny Gray. Carleco się wycofało, twierdząc, że nie może zapewnić klientce bezpieczeństwa, skoro ta z nimi nie współpracuje. Jimmy myślał, że Gray wyjedzie. Ale nie. Ciekawe, co na to stary Ray. Choć Jimmy nie przyznałby tego, nawet gdyby przypiekali mu jaja żywym ogniem, brakowało mu inteligencji byłego szwagra.

Sam w kółko wracał do punktu wyjścia. Skoro ofiary to kopie Gillian Gray, a świr poluje na oryginał, to może po prostu trzeba mu go dać? Gillian ze skupieniem wpatrywała się w zdjęcie, które zrobiła nad jeziorem, za domkiem Harleya. Była w piwnicy domu dziadków, gdzie przed laty urządziła sobie małe atelier. Z belek pod sufitem nadal zwisały jej wczesne prace, zdjęcia, które zrobiła jako siedemnastolatka. Były tam wielkie czarno-białe fotografie jej dłoni, z podrapaną linią życia i plamami od czerwonego barwnika oraz zbliżenia blizn na ramionach. Eksperymenty ze światłem, kolorem, kliszą i cieniem. Od dawna tu nie schodziła, ale teraz wróciła, uzbrojona w nikona i przenośny skaner. Aparat powiesiła na haku na jednym ze słupów, pod ręką,

na wypadek gdyby nagle zapragnęła coś pstryknąć. Skaner ustawiła na stercie drewnianych polan. Pochyliła się nad wielkim stołem kreślarskim, wpatrując się w jezioro na fotografii. Zastanawiała się, co powiedziałby Harley, gdyby chciała zrobić kolejną martwą naturę u niego. Kiedy tworzyła swoje dzieła, praca przypominała to, co dzieje się na planie filmowym. W grę wchodziła rozbudowana, skomplikowana scenografia oraz liczna ekipa - oświetleniowcy, scenografowie, kostiumolodzy, stolarze, rekwizytorzy, garderobiani i ich asystenci. Małe zdjęcia przeradzały się w monumentalne obrazy, szerokie i wysokie na kilka metrów.

Uśmiechnęła się. Harleyowi nie spodoba się takie zamieszanie.

Nie doszła w ogóle do fazy planowania. Nie dotrze do niej, póki sobie nie uświadomi, co jest nie tak ze zdjęciem jeziora. Odłożyła zdjęcie na bok i sięgnęła po szkic - kalkę powiększenia. Dzięki niej mogła bawić się kompozycją, przestawiać poszczególne elementy, dodawać i usuwać rekwizyty. Mocne ciemne linie tworzyły zarys jeziora drzew i pomostu. Zarys ciała, podobny do obrysunku z miejsca zbrodni, wyznaczał miejsce ofiary. Wyobraziała ją sobie na brzegu, ze stopami w wodzie. Leży na plecach, z piaskiem i żwirem na mokrych policzkach, z niebem odbijającym się w otwartych, niewiążących oczach. Coś jej jednak nie pasowało. Może gdyby bardziej wykręciła zwłoki? Kilka ruchów ołówka i ciało przybrało nową pozycję. Cofnęła się, patrząc krytycznie na szkic. Dziwne uczucie nie ustępowało. Znowu sięgnęła po ołówek. Wycieniowała zwłoki i linię brzegową. Jej dłoń poruszała się machinalnie i nagle, nie

wiadomo kiedy, naszkicowała postać.  
Gapiła się na nią. Na swoich zdjęciach jest zawsze  
jedyną osobą. Poprawiła postać. Mężczyzna.  
Mężczyzna? Serce biło jej coraz mocniej.  
Nerwowo szukała zdjęć, które pstryknęła tamtego  
dnia aparatem cyfrowym. Znalazła je i  
powiększyła, aż postać stała się wyraźniejsza.  
Drżącymi palcami naniosła ją na szkic. Na brzegu,  
nad zwłokami. Czujny, zawsze czujny.

Ray.

Chciała, żeby był na tym zdjęciu.

Zaszokowało ją to i w pierwszej chwili zerwała się  
na nogi, jakby chciała uciec. Rzuciła zdjęcie na  
ziemię, wpatrzona w szkic. A potem, powoli,  
starannie, dodała Raya.

Nie widziała go od dwóch dni, od zebrania zarządu.

Carleco miało jej dość. Ray chyba też, a  
przynajmniej tak to wyglądało. Trudno mu się  
dziwić. Właściwie wyrzuciła go za drzwi. Delikatnie  
przesunęła fotografię, sprawdzając efekt. Zrobiła  
ją pierwszego dnia na łące. Miał na sobie ciemny  
garnitur, wydawał się skupiony i trochę  
zdenerwowany, ale starał się tego nie okazywać.  
Uśmiechnął się. Cały Ray.

Poczuła dotkliwe ukłucie bólu.

Dzięki Bogu rozdzwoniła się jej komórka.

Zadowolona, że odrywa ją od rozmyślań, odebrała  
telefon.

- Panno Gray? Tu detektyw Burke. Ma pani chwilę?

Mam propozycję, która chyba się pani spodoba.

Nie wyobrażała sobie, by przysadzisty policjant był  
w stanie zaproponować jej coś, co ją zainteresuje,  
ale lepsza rozmowa z nim niż rozpacz za innym.

Burke się streszczał. Wystarczyło kilka sekund, by  
zrozumiała, czego od niej chce. Zacisnęła dłoń na  
słuchawce. Przeszedł ją dreszcz.

- Zrobię to. - Przerwała mu w pół słowa. - Tak.

## Rozdział 42

Rav zaparzył w kuchni kawę i nalał sobie kubek. Przeszedł do pokoju szumnie określanego mianem jadalni, choć w rzeczywistości stał tu tylko mały stolik i kilka krzeseł. Nie wysuwając krzesła, przełożył nogę nad oparciem i tak usiadł. Na stole czekała gazeta, nadal wciśnięta w niebieską folię. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, świadom, że oto zbliża się punkt kulminacyjny piątego dnia jego nieoczekiwanych wakacji. Ani Landowe, ani Coleman nie wydali go przed Carlsonem, a ponieważ po koszmarnej konferencji prasowej firma i tak umyła ręce od Gillian, szef nie protestował, gdy Ray poprosił o kilka dni wolnego. Ray nie powiedział mu tego, ale myślał, że wykorzysta ten czas na oszacowanie, ile zajmie mu spakowanie dobytku, i zaplanowanie wyjazdu z Nashville.

Tyle że minęły już cztery dni, a jego przygotowania ograniczyły się do jednego smętnego spaceru po domu. Czasem przejeżdżał pod rezydencją Grayów, by sprawdzić, czy jest tam wóz patrolowy, który wymusił na Jimmym, gdy Carlson wycofał się ze sprawy. Czuł się jak Hamlet. Być albo nie być? Sikasz czy zwalniasz kibel? Czas na decyzję.

Przypominały mu się niezliczone powiedzonka i

ludowe mądrości, a i tak nie mógł nic zdecydować. Wziął gazetę, odwinął ją z niebieskiego opakowania i zaczął czytać.

Artykuły na górze pierwszej strony dotyczyły bezowocnego dochodzenia w sprawie Fotografą Śmierci, jak ochrzciła go prasa, oraz proponowanej podwyżki nakładów na oświatę. Jego uwagę przykuł jednak inny nagłówek na marginesie: „Gray pojawi się na gali”.

Przeczytał artykuł zdumiony i zaniepokojony. Przecież Gillian wycofała się z udziału w aukcji. A teraz nagle zmieniła zdanie?

Co ona wyprawia, do cholery?

Odłożył gazetę, wstał i poszedł do kuchni po komórkę. Wystukał numer Gillian, ale zaraz się rozłączył. Nie. To już nie jego sprawa. Wsunął telefon do kieszeni.

Wrócił do stołu i otworzył gazetę na wiadomościach sportowych. W oczy rzucił mu się artykuł o problemach finansowych miejscowej drużyny hokejowej i jej niepewnej przyszłości. Usiłował się skoncentrować na pierwszym akapicie, ale słowa tańczyły mu przed oczami.

Wpatrzony w przestrzeń, wyobraził sobie, jak Gillian wchodzi do hotelu. Z dziadkami? A może sama, narażona na atak? Cholerny świat.

Wyjął telefon z kieszeni i wystukał inny numer. Recepcjonistka nie skończyła jeszcze standardowego powitania, a już kazał się łączyć z Carlsonem.

- Organizujesz ochronę aukcji? - zapytał, zanim Carlson zdążył się przedstawić.

- Ray?

- Tak.

- Wydawało mi się, że jesteś na urlopie.

- No, tak.

- Więc te sprawy nie powinny cię obchodzić.
- Organizujesz to?
- Nie. A dlaczego pytasz?
- A kto?
- O ile mi wiadomo, nikt Będzie tylko ochrona hotelowa.
- Chyba żartujesz.
- Nie, Ray, nie żartuję. O co ci chodzi?
- I pozwolisz, żeby weszła tam bez ochrony?
- Przepraszam, o kim mowa?
- O Gillian Gray. Chwila ciszy.
- O ile mi wiadomo, panna Gray wycofała się z udziału w aukcji.
- Ale zmieniła zdanie. Spójrz na pierwszą stronę „Przeglądu Tennessee”. - Carlson zawsze miał w gabinecie bieżącą prasę. Ray czekał, aż przeczyta artykuł.
- Hm. I co?
- Co zamierzasz z tym zrobić?
- Nic. - Carlson był przerażająco beztroski. - Obaj wiemy, że Gil-lian Gray nie chce, żeby ktoś ją chronił i celowo nam to uniemożliwia. To chodząca bomba zegarowa. Nie chcę, żeby moja firma była w pobliżu, gdy eksploduje. Zresztą, o ile mnie pamięć nie myli, mówiłeś, że jest upierdliwa i cieszysz się, że masz ją z głowy. Naprawdę tak powiedział? Zastanowił się.
- Dobra - rzucił Ray. - Dzięki. - Rozłączył się. Naprawdę się cieszy, że ma ją z głowy. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem artykuł. Nie dość, że podano, w którym hotelu odbędzie się impreza, to wymieniono jeszcze nazwę sali bankietowej. Morderca będzie ją miał jak na tacy. Tym razem zmusił się, by poczekać, aż usłyszy w słuchawce głos Giliian.
- Odbiło ci, do cholery?



- Och, Ray. Też się cieszę, że cię słyszę.
  - Widziałaś artykuł?
  - Ten, który podsunęła im policja?
  - Co?
  - Policja. Zaplanowali to razem z redakcją.
  - Policja cię w to wplątała?
  - Nie musieli mnie długo namawiać.
  - Posłuchaj, równie dobrze mogłabyś sobie przyczepić na plecach tarczę strzelniczą.
  - Właśnie o to chodzi, Ray. To dobry pomysł, nawet jeśli wpadł na niego twój kumpel Burke.
  - Jezu Chryste!
  - Ray, nie zaczynaj...
- Ale on już się rozłączył. Dzwonił do Burke'a.
- Co ty, do cholery, wyprawiasz?
  - Piję kawę. Masz z tym jakiś problem?
  - On ją zabije.
  - Aaa, czytałeś artykuł.
  - Żebyś wiedział, że czytałem.
  - Spokojnie, bracie. Będzie miała podsłuch. Nic jej nie grozi.
  - Nic jej nie grozi? Idzie tam sama.
  - Damy jej wsparcie.
  - Akurat. Znalezliście już Posta?
  - Nie, ale...
  - Macie związek z morderstwem matki?
  - Szukamy, ale...
  - Czyli nie masz nic, Burke. Nic. Zero. Mordercą może być każdy. Zanim tam dotrzecie, Gillian wyląduje z workiem foliowym na głowie i dobrze o tym wiesz. A Benton James dostanie jutro nową fotkę.

W innym pokoju, nad inną kawą, Maddie Crane pochylała się nad tym samym artykułem. Targały nią sprzeczne uczucia - szok i chęć skupienia. W

gazecie podano czas i miejsce. Wszystko jak na dłoni.

Z łazienki dobiegał szum prysznic. Maddie spojrzała na zamknięte drzwi i pomyślała o człowieku, który jest w środku. I o tym, co się stanie, gdy ktoś się dowie.

To bardzo w stylu Gillian, podać czas i miejsce swojego wystąpienia na pierwszej stronie gazety. Ciekawe, czy zrobiła to celowo, czy wyręczył ją jakiś nadgorliwy dziennikarz? Na każdym kanale pokazywano

nocną konferencję prasową, więc Maddie także ją widziała. To Gillian na pewno tak zaplanowała. Odstawiła filiżankę, pogrążona w zadumie. Musi to przemyśleć, ale szum wody nie pozwalał się skupić. Przypomniała sobie poprzednią noc - co robiła i z kim. Zrobiło jej się gorąco.

Skupiła się na gazecie, leżącej przed nią jak tykająca bomba zegarowa. Gillian stworzyła im idealną okazję. A co na to Maddie?

Matthew Dobie w zamyśleniu muskał palcami artykuł w porannej gazecie, gdy jego uwagę przykuł blondyn pakujący literaturę.

Młodzieniec chyba wyczuł zainteresowanie swojego idola, bo wyprostował się i poruszył niespokojnie, uroczco speszony.

- Wszystko w porządku, proszę pana?

Dobie lubił myśleć, że nie ma faworytów, ale ten chłopak miał w sobie coś wyjątkowego. Może chodziło o to, jak napinały się mięśnie jego ramion, gdy pochylał się nad kartonem. Albo o silny zarys jego szczęki, gdy się koncentrował. A może o dołeczek w podbródku? Bez względu na powód, Dobie był pod jego urokiem i ciągle wyznaczał mu nowe zadania. Zadania, dzięki

którym miał go blisko siebie. Tak jak teraz, gdy młodzieniec pakował przenośny sztab.

- Tak, tak. - Niedbale machnął ręką. - Pakuj dalej.  
- Dobrze, proszę pana.

Młodzieniec pochylił się nad pudłem. Dobie z trudem oderwał od niego wzrok. Fakt, że Gillian Gray wycofała swoje prace z wystawy, traktował jako osobiste zwycięstwo i choć rozgłaszał je wszem wobec, zostało jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Być może przez pewien czas Gray będzie miała problemy z wystawieniem swoich prac w uznanych muzeach, ale to nie znaczy, że przestanie je tworzyć. A jeśli wierzyć artykułowi, chce je nadal pokazywać publicznie.

Znowu powędrował wzrokiem do młodzieńca. Uległ pokusie, by go dotknąć. Wstał, wyszedł zza biurka i położył dłoń na silnych ramionach.

- Jak ci na imię, synu?

Jasnowłosy olbrzym odwrócił się szybko.

- David, proszę pana. - Zarumienił się. Dobie stłumił uśmiech.

- Odpocznij, Davidzie. Usiądź. - Przysunął krzesło do biurka i wrócił na swoje miejsce. - Widziałeś to?  
- Pokazał mu artykuł. Patrzył, jak potężny kark purpurowieje.

- Tak. Nie do wiary! - Młodzieniec podniósł wzrok, wyraźnie oburzony. - Musimy coś zrobić.

Dobie rozkoszował się emocjami grającymi w jego oczach i umiejętnie je podgrzewał.

- Tak uważasz?

- Tak, proszę pana. Zdecydowanie.

Tym razem Dobie się uśmiechnął. Powoli, z zadowoleniem. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął silnych palców Davida.

- Wiesz, jestem tego samego zdania - mruknął.

## Rozdział 43

Tego wieczoru Gillian zjawiała się w hotelu w centrum miasta przy akompaniamencie ogłuszających wrzasków. Hotelowe światła rozświetlały mrok, ale spokój nocy zakłócały krzyki i skandowanie demonstrantów. Stojący w oddali, za policyjnymi barierkami, pożerali ją wzrokiem pełnym nienawiści. Ich usta wykrzywiały się złowrogo.

- Morderczyni!

- Bóg cię nienawidzi!

Jej serce biło w rytm skandowanego hasła:

- Przy-zwo-i-tość!

Rytmiczne pokrzykiwanie przypominało marszowy krok armii. Ktoś wychylił się przez barierkę i pogroził jej pięścią. Jeden z policjantów kazał mu się cofnąć. Inny funkcjonariusz złapał ją za ramię i pchnął do wejścia.

- Czemu nie podjechała pani od tyłu? - zapytał, przekrzykując tłum.

Było zbyt ciemno i głośno, by mu tłumaczyć, że nigdy nie zakrada się tylnym wejściem.

Podziękowała mu i weszła do środka. Zatrzymała się w holu, by uspokoić rozszalałe serce.

Czuła na sobie wzrok pracowników hotelu i gości, ale dumnie wyprostowała plecy i poszła do sali bankietowej.

Dziadkowie czekali przed drzwiami. Podobnie jak

większość kobiet w jej wieku, Genevra wybrała na ten wieczór długą suknię żakiet wyszywany cekinami. Chip był we fraku. Gillian znowu wystąpiła w lawendzie - w seksownej aksamitnej sukni z głębokim dekoltem, która podkreślała jej talię i zakrywała ramiona.

- Wyglądasz, jakbyś się ubrała w sklepie ze starzyzną - oznajmiła Genevra.

- Możliwe, ale fiolet podkreśla kolor moich oczu - odparła.

Nie mówiła im o wypadzie na posterunek ani o tym, co ustaliła z Burkiem. Po pierwsze, od razu chcieliby wybić jej to z głowy, a po drugie, nie chciała ich mieć na karku. Oboje byli zdumieni jej nagłą zmianą decyzji.

- Nadal uważam, że to zły pomysł - mruknął Chip.

- Okropny - uściśliła Genevra. Wyprostowała się i uniosła głowę. - A niby dlaczego Gillian chce to zrobić?

- Ale nie zmienisz zdania co do muzeum? - upewnił się dziadek.

- Nie, to już załatwione - zapewniła Gillian i chcąc dodać sobie odwagi, wygładziła suknię. Poczuła pod nią zarys nadajnika, przyklejonego do skóry. Genevra odetchnęła głęboko.

Skoro masz wejść, zróbmy to od razu. - Była jak generał na polu walki.

W sali bankietowej aż roiło się od najjaśniejszych gwiazd Nashville. Wspólnicy machali do Chipa, gdy szedł z wnuczką i żoną do stolika. Znajome Genevry chwaliły jej żakiet. W rogu sali grał zespół. Gillian rozglądała się po zebranych. Mało prawdopodobne, by wśród śmietanki towarzyskiej miasta krył się morderca. Największym grzechem w tej grupie jest obżarstwo.

Nadal wyczuwała gwałtowny gniew tłumu na zewnątrz. Czy Ruth znowu wślizgnęła się do ośrodka, przebrana za kelnerkę? A może Matthew Dobie posłał kogoś innego? Czy ten ktoś posunie się dalej niż do kawału ze sztuczną krwią? Przebiegła wzrokiem po sali. Kelnerzy. Kucharze. Pracownicy hotelu. Możliwości było mnóstwo. Zamknęła oczy, wsłuchując się w dźwięk bębna, który dudnił w rytmie jej serca. Odetchnęła głęboko, by opanować zdenerwowanie. Skoncentrowała się. Nieważne, czy to tłum, Dobie, czy potwór. Jest gotowa. Podobnie jak policja z Nashville. Byli tu, choć nie wiedziała dokładnie, gdzie. Burke jej to obiecał i wierzyła mu. Nie żeby ratunek był wysoko na liście jej priorytetów. Wiedziała, na\_ co się pisze. Wiedziała to, odkąd miała siedem lat. To tylko kwestia czasu, odpowiedniego układu gwiazd. Wchodząc do hotelu, nie spojrzała niebo, ale w mieście kiepsko widać gwiazdy. Zadrżała, gdy zespół skończył grać, a ona i dziadkowie doszli do stolika. Genevra była organizatorką imprezy, a Chip hojnym darczyńcą, więc mieli miejsca pośrodku sali. A może to zasługa policji? Do mikrofonu podeszła kobieta z jasnozielonym boa z piór na szyi.

- Aukcja się ożywia, więc proszę nie leniuchować. W ciągu ostatnich dziesięciu minut padły dwie nowe oferty za płótno Czerwona para. Wszystkie zyski trafią do...
- Mojego salonu - rzucił ktoś z sali i wszyscy się roześmiali. Gillian czuła się tu obco, samozadowolenie tych ludzi wydawało jej się złowróżbne. Dokoła niej uśmiechnięte twarze

falowały i rozmazywały się jak w gabinecie luster. Głupcy. Nie wiedzą, że tragedia także się śmieje? Ale nie z nimi. Zespół znowu zaczął grać.

- Przejdę się - powiedziała Gillian, tyleż do dziadków, co do niewidocznych obserwatorów.

- Byłoby lepiej, gdybyś tu została - odparła Genevra.

- Wolisz, żebym się nie pokazywała?

- Babka chciała powiedzieć...

- Wiem, co chciała powiedzieć - oparła miękko Gillian i z nietypową dla siebie czułością dotknęła ramienia babki. - Nic nie przeszkobię, obiecuję. Żadnych scen i awantur.

- Genevro, skarbie, ślicznie wyglądasz. - Do stolika podeszła pulchna kobieta w obcisłej bluzce. Chcąc uniknąć dalszych protestów, Gillian wymknęła się chyłkiem.

Nie może tak po prostu siedzieć. Zresztą i tak wszyscy jej wypatruje. Dziwnie się czuła, nie wiedząc, kim są. Nigdy nie przypuszczała, że zatęskni za ludźmi z Carleco, ale ich przynajmniej rozpoznawała.

Stała z boku sali. Podświetlone obrazy i rzeźby stały wzdłuż ścian, otaczając środek sali migotliwą aureolą. Podobno komitet ściągnął kogoś z muzeum do pomocy. Zazwyczaj na podobnych imprezach ustawiano dzieła byle jak, jednak tutaj ktoś zadał sobie nie lada trud.

Jej zdjęcie było odpowiednio oświetlone i wyeksponowane wśród innych prac. Przyjrzała się mu. Zrobiła tę fotografię wiele lat temu. Zawsze podobała się Genevrze. Przedstawiała skraj posiadłości w świetle zachodzącego letniego słońca. Drzewa i krzewy skąpane w bajkowej poświacie. Nie było w niej nic, poza urodą, żadnej treści, co w oczach Gillian sprowadzało ją do

ćwiczenia technicznego, ale Genevra zawsze właśnie to zdjęcie stawiała jej za wzór.

- Dlaczego nie robisz więcej takich fotografii? - pytała z wyrzutem.

Kiedy nalegała, by Gillian przekazała na aukcję jakąś swoją pracę, Gillian wygrzebała je z najdalszych zakamarków atelier.

Szefowa aukcji była zadowolona, gdy Gillian wycofała zdjęcie, i niechętnie przyjęła je z powrotem. Najwyraźniej szalę przeważała pozycja Genevry lub dolary Chipa, bo uległa im, zanim zagrozili wezwaniem policji.

Gillian zajrzała do księgi licytacji. Każdemu dziełu przypisano cenę wywoławczą oraz z góry ustaloną stawkę podbicia. Pozostawiono miejsce, gdzie chętni do zakupu danego dzieła kolejno wpisywali proponowaną przez siebie kwotę, automatycznie pokonując poprzedników.

Cena wywoławcza dzieła prezentowanego obok jej fotografii wynosiła pięć tysięcy dolarów, a stawka podbicia - pięćset. Jej zdjęcie wyceniono na piętnaście tysięcy. Kolejny próg był o pięć tysięcy dolarów wyższy. Nie ma to jak odrobina niesławny, by podbić stawkę. Wpisało się już czworo chętnych. O gustach się nie dyskutuje. Przynajmniej szpital zarobi trochę gotówki.

Ktoś ją trącił i gwałtownie podniosła głowę, przerażona. Jakaś kobieta oglądała jej zdjęcie. Boże, musi przestać tak reagować.

- Przepraszam - mruknęła kobieta i zaraz się zarumieniła. - Gillian Gray, tak?

Gillian zawsze się dziwiła, gdy ludzie ją rozpoznawali, choć nie powinno jej to zaskakiwać. Kobieta była od niej o kilka lat starsza. Włosy, rozjaśnione w drogim salonie fryzjerskim, lśniły pod opaską z czarnego aksamitu. Miała na sobie



suknię koktajlową, do której włożyła sznur pereł i cienki złoty zegarek. Absolwentka prywatnej szkoły, królowa balu maturalnego.

Gillian uśmiechnęła się sztywno.

- Tak jest.

- A to pani...

- Tak.

Kobieta wodziła wzrokiem od niej do fotografii i z powrotem. Widać było, że nie wie, co powiedzieć.

Gillian postanowiła jej pomóc.

- Nie tego się pani spodziewała?

- Jest bardzo...

- Nudne?

Kobieta roześmiała się, skrępowana.

- Ładne - dokończyła i odeszła.

Gillian wypuściła głośno powietrze. „Nudne” w zupełności by jej wystarczyło. Przynajmniej byłaby to szczerza opinia.

Rozejrzała się po sali. Nikt nie wyglądał groźnie, więc skąd pot na jej karku? Skąd nerwy?

- Gillian.

Kolejny atak paniki. Tym razem szybko się opanowała. Odwróciła się i zobaczyła babkę.

- Widziałam, jak rozmawiałaś z Bailey Fawcett. Nie powiedziałaś chyba nic...

- Świńskiego?

- Prowokującego. - Babka zmarszczyła brwi. - Jest w zarządzie Małej Ligi. Kiedy w zimie byłam chora, przyniosła nam zapiekankę.

- Własnej roboty?

- Skąd, na Boga, mam to wiedzieć.

Gillian westchnęła. Nie wiedziała, że babka była chora. Nie sądziła, że Genevra w ogóle może zachorować. Że jest na tyle ludzka. Wizja babki osłabionej, w łóżku, skazanej na cudze zapiekanki, zatrzęsała jej światem w posadach.

- Nie wiedziałam, że byłaś chora - powiedziała znacznie ciszej, niżby chciała.

Genevra zbyła jej troskę machnięciem ręki.

- Nic takiego, zwykle... przeziębienie. Gillian zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem.

- Przeziębienie to za mało, by przynieść zapiekankę - powiedziała. - Nawet kupioną. Albo zrobioną przez kucharza.

- Niech ci będzie. Jak zawsze. - Genevra odeszła, zaciskając usta w wąską linię. A Gillian odprowadziła ją wzrokiem. Patrzyła na jej proste plecy i sztywne ramiona. Po raz pierwszy w życiu wyobraziła sobie świat bez niej. Czuła, jakby runął mur. Silny, nieustępliwy mur, który odgradzał ją od nieprzyjaznego świata.

Pobiegła za nią.

- Babciu?

- Tak? - Pytanie zabrzmiało jak reprimenda.

Genevra rozejrzała się ukradkiem, by sprawdzić, czy nikt nie widział, jak jej wnuczka okazuje rażący brak powagi i opanowania.

Teraz, gdy już stanęła, Gillian nagle zapomniała, po co ją zatrzymywała.

- Ale już jesteś zdrowa? - zapytała głupio.

Genevra zmrużyła oczy. Jej spojrzenie złagodniało, by po chwili znowu zasnuć się lodem.

- To było zapalenie płuc - powiedziała rzeczowo. - I tak, teraz jestem zdrowa.

Gillian przełknęła ślinę.

- Cieszę się.

- Dziękuję. - Babka skinęła władczo głową. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, po czym starsza pani odeszła.

Jakie to dziwne uczucie, zrozumieć, że ci na kimś zależy w dniu, gdy być może widzisz go po raz ostatni.

Obserwował salę bankietową przez wielkie okna po drugiej stronie ulicy. Tu, wysoko, gdzie teraz był, nocne powietrze było ciemne i chłodne, ale za oknami hotelu wydawało się jasne i ciepłe.

Wiedział, że ona tam jest. Wszyscy wiedzieli. Jak on, czytali gazety. Uważał, że jest bardzo odważna, że w ogóle pokazuje się publicznie, a co dopiero na takiej imprezie. Wyobrażał ją sobie teraz malutką, pokorną. Upokorzoną. Wrogowie pysznili się zwycięstwem. Nienawidzili jej. Wszyscy jej nienawidzili, tylko nie on.

Jak mógłby? Chciał być nią. Machać do kamery. Kiwać głową dziennikarzom. Oglądać się w telewizji.

I tak będzie. Już był na ustach całego miasta. Wszyscy mówili o jego fotografiach. To dopiero jest siła. Moc.

Wkrótce uwolni ją od hańby. Uwieczni jak inne. Uśmiechnął się na myśl o tym, co jej zrobi.

Rozbolały go oczy, tak bardzo jej wypatrywał. Przyjęcie w hotelu było jak włączony telewizor, rzeczywiste, a jednocześnie i nierealne. Tak bardzo pragnął poczuć pod palcami jej skórę. Miękką.

Błądą. Przeszył go dreszcz.

Wkrótce będzie ją miał.

Poczuje ją.

Zaschło mu w ustach Nie był w stanie opanować pożądania. Dotykał się przez spodnie, jednocześnie patrząc na ludzi w eleganckich ubraniach.

Patrzył, zawsze patrzył. Lubił to.

Myślał o nich. O tych wszystkich bezużytecznych bogaczach, którym się wydaje, że rządzą światem. Ale panuje on. Bo to on działa. On jest panem życia i śmierci.

Nabrzmiał. Polizał dłoń, wsunął ją w spodnie i zacisnął.

Poczekaj, aż przestanie wierzgać. Walczyć.

Wszystkie najpierw walczą, dopóki nie przekonają się, jaką ulgę przynosi poddanie. Dopóki nie zrozumieją, że kiedy mu ulegną, jest o wiele łatwiej.

Kiedy przestanie, ułoży ją. Wykadruje.

Jego dłoń ruszała się coraz szybciej. Oddychał szybko, podniecony swoją wizją.

Stanie nad nią i będzie naciskał spust. Raz za razem.

A potem, kiedy nie będzie mógł się już powstrzymać, kiedy będzie mu bardzo dobrze, spuści się na nią. Na jej miękką, bladą skórę.

Zacisnął zęby. Pieprzyć ją, powiedział w myślach.

Pieprzyć ją.

I ze stęknieniem doszedł we własnej dłoni.

## Rozdział 44

Ukryty w cieniu sali bankietowej, Ray obserwował, jak Gillian krąży wśród tłumu gości.

Nie wiedział, dlaczego uprzedził Burkę'a, że tu będzie - może przez wzgląd na dawne czasy. A może kierowała nim zwykła zawodowa uprzejmość? Tak czy inaczej, były partner zaprotestował, wysuwając łatwe do przewidzenia argumenty - już tu nie pracujesz, jesteś cywilem, będziesz nam zawadzał. Właśnie wtedy Ray

wyciągnął asa z rękawa.

- Słuchaj, jeśli chodzi o opiekę nad waszym ojcem, nigdy niczego nie chciałem, ani od ciebie, ani od Nancy. Kiedy zjawia się u mnie w środku nocy, rzucam wszystko i zajmuję się nim. Jesteś mi coś winien, Jimmy, i teraz możesz spłacić ten dług. Będę tam, czy to ci się podoba, czy nie. Dobrze wiesz, że nie będę wam przeszkadzał. A dodatkowo para oczu zawsze się przyda.

Tak więc włożył zapasowy garnitur i pojechał do hotelu. Zaparkował trzy przecznice dalej w wąskiej luce między żółtym volkswagenem a furgonetką firmy myjącej okna.

Zjawił się godzinę przed rozpoczęciem imprezy - trzydzieści minut przed ludźmi Burke'a. Byłoby mu na rękę, gdyby impreza odbywała się w tym samym hotelu, w którym kilka dni temu zatrzymali się z Gillian, ale tak nie było. Przystudiował więc plany hotelu, które znalazł w archiwum Carleco i wykorzystał nadmiar czasu, by zapoznać się z budynkiem. Wyznaczył cztery różne trasy ucieczki i znalazł kącik, z którego widział większość sali, sam pozostając w ukryciu. Szybko wypatrzył ludzi Burke'a - dwóch mężczyzn i kobietę. Faceci mieli na sobie wypożyczone smokingi, a kobieta długą niebieską suknię z bufkami. Cała trójka wyglądała, jakby wystroiła się na wyprzedazy.

W pewnej chwili wymienili spojrzenia, dając sobie w ten sposób do zrozumienia, że o sobie wiedzą.

W rzeczywistości interesowały ich przeciwne strony medalu. Oni mieli złapać mordercę. Jeśli Gillian coś się stanie - trudno. Jego zadaniem było ją chronić. Jeśli uda się przy tym zatrzymać mordercę, będzie to dodatkowy bonus.

Kiedy Gillian weszła do sali, emanowała charakterystycznym dla siebie niewymuszonym

erotyzmem i wbrew temu, co sobie obiecywał, serce zabiło mu mocniej. Widział ją po raz pierwszy od tygodnia.

Wyglądała dobrze. Ba, wyglądała pięknie. Upięła włosy jak tamtej nocy w muzeum. Jasne i splątane, wyglądały, jakby dopiero co wstała z łóżka po nocy dzikiego seksu. Jak wtedy, po dzikim seksie z nim. Jej oczy błyszczały, policzki były zarumienione.

Najwyraźniej za nim nie tęskniła.

Zaklął pod nosem. Chciał oderwać od niej wzrok, ale nie mógł. Nie, jeśli ma dopilnować, by przeżyła tę noc. Choć pękało mu serce, nie spuszczał z niej oczu.

Przez cały wieczór trwał na posterunku, patrząc, jak mężczyźni sączą szkocką, a kobiety białe wino. Kiedy zobaczył, że Gillian podchodzi do wystawy, przemknął pod ścianą, by mieć lepszy widok.

Widział, jak wpadła na nią blondynka, był świadkiem wymiany zdań z Genevrą. Gdy zespół przestał grać i wszyscy usiedli, wrócił na swoje miejsce. Czujnie obserwował kelnerów. Sałatki. Przystawki. Deser. Artysta country, o którym w życiu nie słyszał, podobno wschodząca gwiazda, produkował się na scenie przez pół godziny, a w przerwach między piosenkami zachęcał, by licytować, licytować i jeszcze raz licytować.

Kiedy wieczór dobiegał końca, pot spływał mu po plecach, ale nikt nie zaatakował Gillian. Kiedy prowadząca galę wyszła na scenę, by ogłosić ostateczne wyniki aukcji, pomyślał, że chyba tym razem obejdzie się bez incydentów. Kobieta miała na szyi dziwaczny kołnierz z błyszczących piór i zaintrygowało go, jak bogaci mogą w takim stroju wychodzić z domu. Prowadząca ze specjalnym naciskiem przedstawiła Gillian, która wstała, nagle

oświetlona reflektorem punktowym.  
Ray jęknął. Teraz każdy ma ją jak na dłoni. Nagle zobaczył ruch w tłumie. Skoncentrował się, mrugnął. Umysł podpowiadał mu, że to niemożliwe, ale oczy nie kłamały.  
Maddie. Maddie Crane. Z rozwianymi czarnymi włosami.

- Kenny! Zaczekaj! Kenny!

Głowy się odwracały, po sali rozeszły się szepty. Dama w piórach umilkła i Ray zobaczył wreszcie, kogo goni Maddie. Kilka metrów przed nią, z szopą długich, ciemnych, potarganych włosów i szaleństwem w oczach, gnał Kenny Post.

Gillian się cofnęła. Kenny podniósł rękę. Czy ma w niej broń?

## Rozdział 45

Ray rzucił się w stronę stolika Grayów. Szarpnął Gillian, brutalnie odpychając ją na bok, a potem pociągnął ze sobą, byle dalej. Kątem oka widział, jak ludzie Burke'a otaczają Kenny'ego. Kobieta w niebieskiej sukience powaliła Posta na ziemię.

- Mamy go! Mamy go!

Kolejne krzyki wśród tłumu gości. Ktoś wrzeszczał, ktoś inny (czyżby Maddie?) wołał: „Nie róbcie mu krzywdy!” Ale to wszystko dobiegało do Raya jak z oddali. Wyciągnął Gillian na zewnątrz bocznymi drzwiami i krótkim korytarzem poprowadził do kuchni, pełnej hałasu i gwaru. Kucharz w białej

czapie skarcił ich za „kręcenie się, gdzie nie trzeba”. Tylnymi drzwiami wymknęli się na dwór.

- Moment! - Gillian usiłowała się wyrwać.

Przycisnął ją do ściany, zasłonił sobą, rozejrzał się dokoła. Pusto. Spokojnie, bezpiecznie.

Puścił ją. Drżały mu ręce. Uspokoił się, ćwicząc oddech. I patrząc na nią. Żywą. Bezpieczną.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała, zdumiona i zdenerwowana.

- Zabieram cię stąd. Wszystko w porządku?

- Nie, to znaczy... Co się stało? Tam w środku? -

Pokręciła głową i zmierzyła go wzrokiem. - Skąd się tam wzięłeś? I Kenny! To był Kenny. I czy mi się zdawało, czy widziałam Maddie?

- Nic ci nie jest?

Odetchnęła głęboko. Skinęła głową. Ulżyło mu.

Zanim zdążył odpowiedzieć na jej pytania, rozdzwoniła się jego komórka. Burke chciał wiedzieć, gdzie są i czy z Gillian wszystko w porządku.

- W zaułku na północny wschód od hotelu. Nic jej nie jest. - W tle usłyszał kobiecy głos. - Dajcie mi z nią porozmawiać! Proszę!

Maddie. Nagle ucichła.

- Co tam się dzieje? - dopytywała Gillian, ale ją zignorował.

- Właśnie zabierają Posta i Crane - mówił Jimmy. - Wracaj z Gray. Zdejmiemy jej podsłuch i spiszemy zeznanie.

Ale Gillian już zdierała z siebie kable. Taśma nie ustępowała, więc klęła, mocując się z nią.

- Muszę kończyć - mruknął Ray i rozłączył się. -

Poczekaj - powiedział do niej. - Poczekaj!

- Chcę się tego pozbyć!

- Dobrze, Jezu. Moment! - Odwrócił ją, rozpiął jej sukienkę i zdarł sprzęt. Nadal drżały mu ręce. Gdy



odwracał ją z powrotem, niechcący dotknął jej piersi. Spojrzeli sobie w oczy.

Zwilżyła usta i ogarnął go płomień. Zanim się obejrzał, całowali się gwałtownie, namiętnie. Ich pocałunek zdawał się wstrząsać nocą. Z pewnością wstrząsnął nim.

A potem złagodniał, zmiękł i się skończył. Gillian opuściła wzrok. Brakowało jej tchu, dyszała ciężko, ale nie patrzyła na niego.

Wbiła wzrok w ciemność.

No, jasne.

Stanął za nią i szybkim ruchem zapiął jej sukienkę. Nagle odskoczyła.

- Dziadkowie pewnie odchodzą od zmysłów. I muszę się zobaczyć z Maddie.

Odciągnął ją.

- Co ty pleciesz? Nie możesz tam iść. Burke już poinformował starszych państwa, że nic ci nie jest. A Maddie i tak tam nie ma.

- Jak to? A gdzie jest?

- W areszcie. Podobnie jak Post.

Gillian ukryła twarz w dłoniach, jakby niczego już nie rozumiała.

- Boże, to szaleństwo. Nie wierzę, żeby ona...

- Ale to prawda. Widziała ją cała sala ludzi.

Wyrwała mu się.

- Co niby widzieli? Ja tylko widziałam, jak biegnie za tym draniem Kennym. O ile mi wiadomo, to nie jest przestępstwo.

- A skąd się tam wzięła? Skoro jest niewinna, dlaczego nie jest w Nowym Jorku, gdzie jej miejsce?

- Nie wiem - przyznała niechętnie Gillian.

- A skoro jest taką wspaniałą przyjaciółką, czemu nie dała ci znać, że jest w mieście?

- Nie wiem! Ale wiem jedno! Chcę to wszystko

usłyszeć od niej.

- Okłamię cię.

- Ona nie kłamie! Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Na pewno.

- I uwierzysz we wszystko, co ci powie? Przyjmiesz wszystko? Tak? A może chodzi o to samo, co z Ruth w muzeum? Konfrontację dla samej konfrontacji?

- To nie ona. I nie on.

- Co?

- To nie oni. Morderca... To nie Kenny. Ani Maddie. Patrzył na nią i nagle zrozumiał.

- Dlaczego? Bo ty tego nie chcesz? Bo wtedy musiałabyś porzucić walkę?

Spojrzała na niego przeciągle, po czym odwróciła się i odeszła. Dognił ją w dwóch susach i zwrócił przodem do siebie, tak że stanęli oko w oko.

- O to chodzi, prawda? Nieważne, że złapaliśmy ich na gorącym uczynku. Nie uwierzysz, dopóki nie okaże się, że to twój... jak go nazwała Maddie? Twój upiór spod łóżka.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Chyba jednak wiesz.

- Puść mnie.

- Dobrze wiesz, o czym mówię.

- Puść mnie.

Usłuchał i nagle zatoczyła się do tyłu. Zaraz się wyprostowała. Spio-runowała go wzrokiem.

- Chcę rozmawiać z Maddie.

- Dobrze - rzucił ostro. - Burke i tak chce, żebyś przyjechała na posterunek.

- Ale najpierw pomówię z dziadkami.

Właśnie ta nieprzewidywalność kazała Carlsonowi się wycofać. A Rayowi wrócić.

I tak, wbrew sobie, wbrew pierwszemu

przykazaniu ochrony, które głosi, że przede

wszystkim należy zabrać podopiecznego w bezpieczne miejsce, wrócił z nią do sali bankietowej.

Genevra siedziała na krześle w głębi pomieszczenia, dogładana przez Chipa i innego mężczyznę we fraku, jak się okazało, lekarza, gościa aukcji. Usiłowali ją namówić, by zażyła łagodny środek uspokajający. Ray i Gillian podeszli bliżej.

- Odprężysz się - zapewniał Chip. Genevra odtrąciła jego dłoń.

- Jestem odprężona, dziękuję bardzo. - Nagle zobaczyła Gillian. Odkąd ją poznał, Ray nie widział na twarzy starszej pani łagodnych uczuć. Teraz, na widok wnuczki, krzyknęła cicho, wstała na drżących nogach i mocno ją objęła.

Zadziwiająca, ale Gillian odwzajemniła uścisk.

- Nic mi nie jest. - Poglaskała babkę po plecach. - Wszystko w porządku.

Ray i Chip wymienili zdumione spojrzenia. Rzecz jasna czułość nie trwała długo, nie w przypadku tych dwóch kobiet.

- To oczywiste. - Genevra wypuściła Gillian z objęć i cofnęła się o krok. Strzepnęła z jej sukni pyłek. - Choć wyglądasz okropnie. Gillian się uśmiechnęła.

- Dla jednych okropnie, dla innych seksownie - Spojrzała na Raya lodowato.

Przypomniał sobie pocałunek w zaułku i poczerwieniał. Genevra zastygła w bezruchu, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Posłała mężowi oskarżycielskie spojrzenie i zwróciła się do Raya:

- A pan co tu robi? Wydawało mi się, że pańska firma się wycofała.

- Nie może o mnie zapomnieć - wyjaśniła Gillian. - To przez tę sukienkę.

Genevra spojrzała na męża.

- To był twój pomysł?

Raya zaintrygowana zawoalowana wrogość w jej pytaniu, ale i tak szybko odpowiedział:

- Nie. Mój. Uznałem, że Gillian przyda się dodatkowa ochrona.

- I miał rację - mruknął Chip do żony. Genevra go zignorowała.

- Cóż. - W jej ustach to słowo zabrzmiało jak nagana. - Myślę, że od tej chwili sami damy sobie radę. - Wzięła Gillian pod rękę.

- Muszę jechać na posterunek - powiedziała wnuczka.

- To może poczekać do jutra.

- Chcę się zobaczyć z Maddie - dodała cicho. Genevra umilkła. Zmarszczyła brwi. W końcu zdecydowała:

- Zawieziemy cię.

Gillian spojrzała na nią czule.

- Nie pozwolę wam na to. Choć mnie wkurza - dźgnęła Raya w bok - ma samochód i zna posterunek. Nic mi nie będzie.

Genevra łypnęła na niego wrogo. Nie rozumiał, czym tak bardzo ją rozjuszył. Może wyczuwała, że szaleje za jej wnuczką?

- Odwiozę ją całą i zdrową - obiecał.

- Tak - syknęła Genevra. - Zapewne. - Westchnęła i spojrzała na męża. - Jestem zmęczona. Zabierz mnie do domu.

## Rozdział 46

Gillian przysiadła na skraju krzesła naprzeciwko biurka Burke'a. Oddychała szybko, choć starała się to opanować. Oddała już zestaw podsłuchowy, złożyła zeznanie i je podpisała. Ale nadal nie widziała się z Maddie.

Ray obiecał, że porozmawia o tym z Burkiem, ale niczego nie gwarantuje. Nie ma go od dwudziestu minut. To dobrze czy źle?

Miał rację, tam w zaułku. Nie chciała, żeby to był Kenny lub Mad-die. To musi być potwór. Zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. Musi.

Ray wrócił. Posępny, zaciskał usta w wąską kreskę. A więc Burke nie chciał ustąpić.

- W porządku - powiedział. - Załatwione.

Zamrugnęła szybko. Sądząc po jego minie, spodziewała się innej wiadomości.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się z ulgą. - Dzięki. -

Zerwała się z miejsca i cmoknęła go w policzek.

Natychmiast poczuła, że się rumieni. Jezu!

Dlaczego nie może się trzymać od niego z daleka?

Szybko ze-

brała swoje rzeczy. Torebka, Płaszcz. Logika. Tuląc torebkę jak zbroję, zapytała z całą godnością, jaka jej pozostała:

- Gdzie ona jest?

- Jest jeden haczyk. Przyglądała mu się podejrzliwie.

- Czyli?

- Musisz się zgodzić, by spotkanie było obserwowane.

- Obserwowane? Po co?

- Na wypadek, gdyby powiedziała ci coś, co zataiła przed policją. Coś, co zaprzeczy jej zeznaniom, co ją obciąży.

Obciąży. To słowo sprawiło, że Gillian spochmurniała.

- Nie wsadzą jej do więzienia, prawda?

- Jeszcze nie.

- A Kenny'ego?

- Jest tu, w celi.

W oczach Raya było coś, czego jej nie mówił.

- Wiesz, co powiedziała, tak? Dlatego tyle to trwało.

- Pozwolili mi słuchać - przyznał.

Szukała w jego twarzy jakichś wskazówek.

- I?

Pokręcił głową.

- Jedno wiem na pewno, lepiej, jeśli sama się wszystkiego dowiesz.

Zawahała się.

- Masz wybór - dodał.

Nieprawda. Musi usłyszeć całą historię z ust Maddie, inaczej nigdy w nią nie uwierzy.

- Dobrze. - Jakby tego nie wiedział. - Ale chcę być z nią sama. Jeśli Burke chce nas podsłuchiwać, niech założy słuchawki.

Ray zaprowadził Gillian do pokoju przesłuchań.

Pod drzwiami czekał Burke i dwaj inni detektywi.

Przez lustro weneckie zobaczyła Maddie, skuloną na krześle. Ciemne włosy zasłaniały twarz, ale nie na tyle, by nie dostrzegła jej zmęczenia.

Wyczerpania.

Pomodliła się w myślach. Boże, spraw żeby to nie była ona. Nie Maddie.

- Na pewno chce pani to zrobić? - zapytał Burke.

- Tak.

Wzruszył ramionami i otworzył drzwi. Stała w progu z policjantami za plecami. Minęło kilka sekund, zanim Maddie podniosła głowę i ją zobaczyła. Zerwała się na równe nogi.

- O Boże! - Z krzykiem podbiegła do drzwi i Gillian po raz drugi tego wieczora znalazła się w czyichś bezpiecznych objęciach. - Dziękuję - szlochała Maddie. - Dziękuję, że przyszedłeś.

Policjanci wyraźnie się spięli.

- Proszę usiąść, panno Crane - warknął Burke.

Pozostali zaczęli odciągać ją siłą.

- Nic się nie stało - zapewniła Gillian.

- Przepraszam! - szlochała Maddie, gdy odrywały ją od przyjaciółki silne ramiona. - Bardzo cię przepraszam!

- Zostawcie ją!

- Chwileczkę - jęknęła Maddie. - Ja tylko...

- Proszę usiąść, panno Crane - powiedział Burke stanowczo. - Siadać! - krzyknął, gdy i to nie poskutkowało.

Maddie patrzyła to na policjantów, to na Gillian.

Odsunęła się i pokornie wróciła na miejsce.

Pokonana, złamana. Gillian nigdy nie przypuszczała, że ktoś może złamać Maddie.

- Dość tego - zwróciła się do Burke'a i jego ludzi. - Miałam zostać z nią sama.

Burke nie chciał wyjść. Gillian spojrzała błagalnie na Raya. Ray zacisnął zęby. Wbrew sobie, położył rękę na ramieniu Burke'a.

- Jimmy, zgodziłeś się.

- Powinienem iść do psychiatry - burknął tamten, ale wyszedł. Gdy drzwi się zamknęły, Gillian usiadła naprzeciwko Maddie. Pochyliła się nad stołem i zamknęła jej dłonie w swoich.

Maddie podniosła głowę.

- Co się stało? - zapytała Gillian. - Kiedy wróciłaś? I co tu robi Kenny?

- O Boże - zaczęła Maddie drżącym głosem.

Czknęła. - Wszystko spieprzyłam.

- Opowiedz mi o wszystkim. Wiesz, że możesz mi

powiedzieć.

- Będiesz na mnie wściekła.

- Lepiej ja niż oni. - Wskazała głową zamknięte drzwi. Maddie pociągnęła nosem.

- Pamiętasz, jak wyrzuciłaś Kenny'ego?

Miał atak fochów w atelier i rozwalił bardzo drogie reflektory.

- Wtedy zaczął ci wysyłać liściki.

- Liściki? Jak ten, który widziałyśmy? Skinięcie głowy.

- Podejrzewałam, że to on, więc do niego poszłam

- ciągnęła Maddie.

- Sama? Oszalałaś? Przyjaciółka roześmiała się smutno.

- Chyba tak. Rzecz w tym, że zrobiło mi się go żal.

Był taki zagubiony. Więc poszłam drugi raz. Żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. I trzeci

- mówiła coraz ciszej. - A potem... - Rozpląkała

się. - Ja. My... ja go kocham, Gillian. - Zaniosiła się płaczem.

Gillian była w szoku. Maddie i Kenny? Czy cały świat zwariował?

- Dobrze, już dobrze. - Gładziła Maddie po ramieniu. - Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Myślałam, że będziesz zła. Sama byłam na siebie wściekła. To było... - nabrała tchu. - To było jak

zdrada. Jakbym wzięła jego stronę. - Energicznie pokręciła głową. - Ale to nie tak, przysięgam. To

nie

tak. - Odwróciła wzrok, zawstydzona. - Nie

chciałam, żeby między nami do czegoś doszło,

chciałam tylko, żeby dał ci spokój. Ale bawił mnie.

I gotował dla mnie.

- Kenny? Gotował? Jezu, a mnie nie chciał nawet

zaparzyć herbaty. - Patrzyła na biedną, załamana

Maddie. Pomyślała o Rayu. Czy tak działa miłość?



Wzdrygnęła się. Skupiła.

- Więc złapałaś się na jego urok. Co z tego? Ja też. Maddie pokręciła głową.

- Tak naprawdę to porządny człowiek. I zdolny, naprawdę zdolny.

- Stara śpiewka, Maddie. Narkotyki. Alkohol. Tacy faceci to kłopoty.

Maddie znowu pociągnęła nosem.

- Wiem. I dlatego mu powiedziałam... - Stłumiła szloch. - Powiedziałam, że z nim nie będę, dopóki nie zgłosi się na leczenie.

- Och, Maddie. Kiedy przestaniesz myśleć o innych, a zaczniesz myśleć o sobie?

- Właśnie to robię, Gillian. Naprawdę. Kenny też.

- Kenny'ego nigdy w życiu nie interesował nikt inny poza jego własną osobą.

- Nie rozumiesz. - Maddie miała szeroko otwarte oczy. Naprawdę wierzyła w to, co mówi. - On się zmienił. I poszedł na odwyk.

Gillian nie była pewna, czy dobrze ją usłyszała.

- To właśnie tam był - ciągnęła Maddie.

- Odwyk? - Gillian nie zdołała ukryć zdumienia.

- Kazał mi obiecać, że nikomu nie powiem. Nie chciał, żeby ktoś się dowiedział. Wstydził się. Ale widzisz, Gillian, to dowód, że nie on to wszystko zrobił. Aż do wczoraj był w lecznicy Canyon Rock pod Los Angeles.

- Więc czemu nadal trzymają go w areszcie?

- Nie wiem - jęknęła Maddie. - Nie wierzą mu. - Rozpaczliwym gestem złapała Gillian za rękę. - To wszystko to jedno wielkie nieporozumienie.

Błagam cię, pomóż mu. Ciebie posłuchają.

Obawiając się, że jeśli Maddie zaraz jej nie puści, do pokoju wpadną policjanci, Gillian cofnęła rękę.

- A ty? Miałaś być w Nowym Jorku. Kiedy wróciłaś? I dlaczego?

- W ogóle nie wyjechałam. - Znowu się rozplakała.

- Kiedy zaczęły się morderstwa i Ray mnie podejrzewał, spanikowałam. Bałam się, że Kenny za tym stoi. Widzisz, ja też mu nie ufałam. Myślałam, że... może to on. Dzwoniłam, upewniłam się, że nie wyjeżdżał z ośrodka, ale wolałam tu zostać i czuwać. Ale się myliłam. I to bardzo.

- Więc skąd się tu wziął?

- Ma przepustkę na weekend. To nagroda za postępy w leczeniu. Zaskoczył mnie. Ale przysięgam, to nie miało nic wspólnego z tobą.

- Skąd wziął się w hotelu?

- Bo jest idiotą. Wiesz, jaki jest.

- Nie przypominaj mi.

- Terapeuta kazał mu przeprosić wszystkich, których skrzywdził. Zobaczył artykuł i domyślił się, że tam będziesz. Chciał tylko... - Znowu się rozszlochała. - Z tobą porozmawiać. Przeprosić. Gillian westchnęła.

- Już dobrze. Uspokój się. Coś wymyślimy. Maddie podniosła na nią pełen nadziei wzrok. - Wierzysz mi?

- Oczywiście, że tak, idiotko. Ta historia jest za słodka, żebyś ją wymyśliła.

Maddie uśmiechnęła się przez łzy.

- Wynagrodzę ci to, Gillian, przysięgam. Rozwalę Kenny'emu głowę. Co tylko chcesz.

Ale Maddie oddała Gillian potwora. To wystarczyło.

## Rozdział 47

Dwa dni później Gillian wstała wczesnym rankiem, pożyczyła jeden z samochodów dziadków i pojechała do muzeum. Ponieważ jej prace stanowiły tylko część wystawy, chciała dopilnować, by właściwie je zapakowano. Chociaż wysyłka eksponatów do Chicago była jej pomysłem i to ona za nią płaciła, nie musiała przy tym być.

Dziadkowie nalegali, by została w domu, jednak Gillian uważała, że obecność przy pakowaniu dobrze jej zrobi. To jej ostatnie zadanie w muzeum. Ostatnie ogniwo łączące ją z miastem, ostatni powód, by tam być.

Maddie i Kenny już wyjechali. Policja trzymała ich do poprzedniego dnia, dopóki nie potwierdziła ze szczegółami ich wersji wydarzeń.

Gillian nie wątpiła w ani jedno słowo. Nadal nie było wiadomo, kim jest prześladowca, ale nie był to Kenny Post ani Maddie Crane.

Zanim wyjechali, przyszli się pożegnać. Maddie jechała z Kennym, żeby dopilnować, iż wróci na odwyk. Potem zamierzała wrócić do Nowego Jorku i zająć się sprawami Gillian, które rzuciła, jadąc do Nashville.

Gillian była w atelier w piwnicy domu dziadków, gdy usłyszała na schodach ich kroki.

Kenny, blady i speszony, od razu ją przeprosił.

- Słuchaj, bardzo mi przykro. Naprawdę, byłem dupkiem i, no cholera, wiesz. - Poruszył niespokojnie długimi nogami w podartych dżinsach. - Zapłacę za te reflektory i w ogóle.

Podawała mu rękę. Pod palcami poczuła odciski od gitary.

- Tylko nie złam Maddie serca, jasne? Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Jasne.  
- Bo jeśli ją skrzywdzisz, wyrwę ci język.  
- O kurczę! - Roześmiał się niespokojnie. - Nie ma sprawy.  
- I obetnę ją.  
- Wolałabym, żeby je zachował - wtrąciła się Maddie.  
- Ja też. - Przyciągnął ją do siebie.  
- No dobra. Po prostu bądź grzeczny. Skinął głową i podniósł dwa palce.  
- Słowo harcerza.  
Gillian i Maddie parsknęły śmiechem. Obruszył się.  
- Hej, naprawdę byłem harcerzem.  
- Wydawało mi się, że częścią terapii jest prawdomówność - zauważyła Gillian.  
- No dobra... zuchem. Do harcerzy nie dotrwałem. Maddie objęła go w pasie.  
- Teraz ci się uda, kochanie. Zobaczysz.  
Spojrzeli na siebie z uczuciem i powietrze stało się tak gorące, że uniosłoby balon. Gillian poczuła ukłucie zazdrości, ale natychmiast się opanowała. Nie widziała Raya od imprezy dobroczynnej.  
- Niedobrze mi się robi od tej słodyczy. Spadajcie stąd! Maddie uściskała ją mocno.  
- Jadę tylko na kilka dni, pomóc Kenny'emu zadomowić się w ośrodku. Pod koniec tygodnia będę z powrotem w Nowym Jorku. - Dźgnęła Gillian palcem. - Mam nadzieję, że ty też.  
- Dobrze, mamusiu.  
- I nie pakuj się w kłopoty - dodała z powagą. Obie wiedziały, że to niepodobne do Gillian, ale i tak się uściskały.  
- Zadzwoń, jak dotrzesz do atelier. Maddie skinęła głową i odeszli.  
Wjeżdżając na parking przed muzeum, Gillian zastanawiała się, co zrobić. Ile czasu jeszcze tu

zostanie? Kiedyś nie mogła się doczekać powrotu do Nowego Jorku, ale teraz... Wiedziała, że potwór czai się w pobliżu. I czeka. Ciągle czeka. Jeśli teraz wyjedzie, będzie to równoznaczne z kapitulacją. Pozwoli mu wygrać. Znowu.

A jeśli zostanie, a jego i tak nie złapią? Całe życie igrała z tą myślą. Czy jeśli zostanie, nie poświęci się na darmo? A może potwór pojedzie za nią do Nowego Jorku? A jeśli nie?

Muzeum było jeszcze zamknięte i na parkingu stało niewiele samochodów. W porannym świetle czarna plama asfaltu wyglądała dziwnie nienaturalnie. Gillian wyobraziła sobie poprzednich użytkowników parkingu. Zwiedzających, którzy teraz bali się wychodzić z domów. Demonstrantów, którzy nie przyszli. A może odeszli na dobre, skoro wreszcie się poddała? Przy bocznym wejściu stała furgonetka z otwartymi drzwiami. Przed nią żółte wiadro. Ciężarówki do przewozu jej prac jeszcze nie było.

Przewóz dzieł sztuki to skomplikowana sprawa. Muzea zatrudniają do tego wyspecjalizowane firmy. Fotografie są i tak mniej kłopotliwe niż rzeźby czy obrazy, ale prace Gillian ze względu na rozmiary należało oprawić w specjalnie zrobione drewniane ramy i zabezpieczyć deskami - przykręcanymi, nie przybijanymi gwoździami. Dwie skrzynie, w których jej zdjęcia przyjechały do Nashville, uległy zniszczeniu. Nowe skończono wczoraj.

Przed pakowaniem zdjęcia trzeba też odpowiednio zabezpieczyć. Niektóre materiały wydzielają szkodliwe gazy, inne zatrzymują wilgoć, wywołując pleśń. Woda, śnieg, uszkodzenia mechaniczne... Transport dzieł sztuki to ryzykowne zajęcie, wymagające dużej zręczności i do-

świadczenia. Także dlatego chciała przy tym być. Zaparkowała przy wejściu i skręciła do bocznych drzwi, jedynych otwartych o tej porze.

Teraz widziała litery na furgonetce. Zielony napis głosił: „Mycie okien Harpeth”. Chudy mężczyzna, niewiele od niej starszy, stał przy otwartych drzwiach i wycierał sprzęt do mycia okien.

Kombinezon ro-

boczy z wyszytą na piersi nazwą firmy zwisał na nim jak na wieszaku. Kiedy się do niej uśmiechnął, jego twarz upodobniła się do trupiej czaszki.

Widziała jego zęby - małe i szare, spiczaste.

Przeszył ją dreszcz. Minęła go, idąc do drzwi.

Odezwał się.

- Panienko Gillian?

Zaskoczyło ją, że jest tak blisko. Poczuła na uchu jego oddech.

- Tak?

Zakrył jej usta mokrą szmatą. Chciała krzyczeć, ale wdychała coś duszącego. Brakowało jej tchu.

W ostatnim przebłysku świadomości, gdy wiedziała już, że traci przytomność, w jej głowie pojawiła się jedna, ostatnia myśl.

Wreszcie.

## Rozdział 48

Ray zatrzymał się przy krawężniku i patrzył na znajomy mały domek. Był tu tysiące razy. Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia, finały

rozgrywek sportowych - spędzał tu wszystkie ważne święta. Ale to było dawno temu. Wyjął z samochodu torbę z ciastem cytrynowym. Podeszedł do drzwi kuchennych i zapukał. Kiedyś wchodził sam. Teraz czekał, aż sierżant doczłapie do drzwi i go wpuści. Jednak w progu powitał go nie Mackenzie Burke, tylko potężny mężczyzna o twarzy dziecka i szczerbatym uśmiechu.

- Czym mogę służyć?

Ray milczał przez chwilę, zaskoczony.

- Ja... przyszedłem do sierżanta. - Starał się zajrzeć olbrzymowi przez ramię.

- Do pana Maca? - Mężczyzna się uśmiechnął i otworzył szerzej drzwi. - Jest w domu. Hej, panie Mac! - zawołał, wpuszczając Raya do kuchni. - Panie Mac, ma pan gościa!

- A pan to... - zapytał Ray.

- Och, przepraszam. - Nieznajomy starannie zamknął drzwi. - Jestem Joseph. Córka pana Maca, Nancy, zatrudniła mnie, żebym doglądał staruszka. Żeby już się nie włóczył po ulicach.

Ray skinął głową, zadowolony, że Jimmy i Nancy wreszcie zajęli się tym problemem. Wolałby, żeby jedno z nich wzięło ojca do siebie, ale lepsze takie rozwiązanie niż żadne.

- Zobaczę, co porabia - zaproponował Joseph. Ray wręczył mu torbę z ciastem.

- Nie ma sprawy, znam ten dom. Znajdę go. A ty pokrój ciasto i zaparz kawę, okey?

Na dźwięk słowa „ciasto” Joseph się rozpromienił.

- Z przyjemnością.

Ray wszedł do salonu. Wszystkie drobiazgi Glorii stały na starych miejscach. Nancy zatrudniała też chyba kogoś do sprzątania. A może to zasługa Josepha? Tak czy inaczej w kieliszkach do jajek,

które zbierała Gloria, nie było kurzu, podobnie jak na pamiątkowych łyżeczkach z Waszyngtonu i Wielkiego Kanionu.

Otaczały go rodzinne zdjęcia, fragmenty minionego życia - Nancy i Jimmy jako dzieci, nastolatki, na rozdaniu świadectw...

Dostrzegł coś na półce za kanapą. Rozsunął figurki, a tam, w kącie, stało ślubne zdjęcie. Jego ślubne zdjęcie.

Uśmiechnął się. Gloria zawsze go lubiła. Po jego rozstaniu z Nancy była wściekła na córkę, a jemu współczuła. Oczywiście z czasem obie panie się pogodziły. Zauważył jednak, że w salonie nie ma fotografii z drugiego ślubu.

Ostatnio był tu po pogrzebie. Dom wyglądał inaczej, dziwnie, gdy małe pokoje wypełniali ludzie z papierowymi talerzykami i kubkami mrożonej herbaty. Powietrze przesycił zapach perfum, zagłuszając typową dla domu Burke'ów woń cebuli, prania i starych dywanów.

Teraz ten domowy zapach otaczał go znowu, budząc wspomnienia niedzielnych obiadów, meczów w telewizji. Ray widział duchy Jimmy'ego i Pam, jego byłej żony, oraz ich synka, Scotta, raczkującego przed telewizorem. I Nancy, siedzącą u jego boku, patrzącą, jak rozpakowuje prezenty urodzinowe.

Dlaczego tu przyszedł? Czego szukał w ruinach dawnego życia? Poprzedniego wieczoru dzwonił Carlson. Od dwóch dni media huczały tylko o tym, co się stało podczas gali. I o tym, co się nie stało.

- Skoro tak się palisz do pracy, mam coś dla ciebie. Rada nadzorcza Tenneco. - Wymienił jedną z największych firm produkcyjnych w okolicach Nashville z siedzibą w Lewisburgu, przypomniał sobie Ray. - Mają kłopot z pracownikami, pojawiły



się pogrózki.

Miał zacząć od jutra. O ile wcześniej nie wyjedzie z miasta. Nie zabrał się jeszcze do pakowania. Pudła nadal leżały złożone za fotelem.

Sierżant siedział w saloniku, oglądając poranne wiadomości bez dźwięku. Miał na sobie spodnie, podkoszulek bez rękawów i kapcie. Był czysty. Ogolony.

- Witaj, sierżancie. To ja, Ray.

Staruszek podniósł na niego pusty wzrok. Ray wstrzymał oddech. Nagle dostrzegł w oczach sierżanta błysk świadomości.

- A niech mnie. - Staruszek się rozpromienił i poklepał kanapę koło siebie. - Ray Pearce, jak rany. Siadaj, chłopie.

- Przyniosłem ciasto cytrynowe. Joseph je kroi. Były teść się skrzywił.

- Joseph. Cholerny strażnik - prychnął. - Nie daję mi nigdzie wyjść. Nie tak się traktuje policjanta.

- Hej, panie Mac, co to za marudzenie? - Joseph stanął w drzwiach z koszulą w dłoni. - Gdybyśmy wiedzieli, że będziemy mieli gości, ubralibyśmy się ładniej - powiedział do Raya. Pomógł staruszkowi włożyć koszulę, ale jej nie zapiął. - No dalej, niech pan spróbuje sam. Terapeuta mówi, że to dobre ćwiczenie. Inaczej się pan rozleniwi.

Ray patrzył, jak sierżant mocuje się z guzikami koszuli. Zwycięstwo.

- No, proszę. - Joseph puchł z dumy.

Sierżant łypnął na niego groźnie, ale młody człowiek wcale się nie przejął.

- Zaraz będzie kawa - oznajmił i wyszedł z salonu.

- Jak się masz? - Ray popatrzył na byłego teścia. - Nieźle się trzymasz jak na staruszka.

Sierżant popatrzył na niego pytająco.

- Znasz mojego Jimmy'ego? Ray się roześmiał.

- Pewnie. To ja, Ray. Pamiętasz? Starszy mężczyzna wydawał się zagubiony.

- Ray - powtórzył. Ale zrozumienie zniknęło z jego twarzy. Ray po raz kolejny stał się obcym. Przeszłość nie była nawet wspomnieniem. Wrócił Joseph z ciastem i kawą. Zjedli razem, ale przebłysk świadomości się nie powtórzył. Po dwudziestu minutach Ray wstał do wyjścia.

- Opiekuj się nim - poprosił Josepha. Ten machnął niedbale ręką.

- Proszę się nie martwić o naszego pana Maca. Nic mu nie będzie.

Ray skinął głową. Oby to była prawda. A nawet jeśli nie, to już nie jego problem.

Drzwi się zamknęły. Słyszał, jak zasuwa wjeżdża na miejsce, jakby zamykał się ostatni rozdział grubej powieści.

Wrócił do samochodu, przekręcił kluczyk w stacyjce, ale nie odjechał. Siedział w bezruchu, wsłuchany w warkot silnika. Był jak szum przeszłości, ciągły hałas w tle, którego nie sposób się pozbyć.

Powinien wziąć nowe zlecenie. Pojechać do biura, zapoznać się ze sprawą. Sprawdzić, gdzie dokładnie jest ta fabryka koło Lewisburga. Pojechać na miejsce, rozejrzeć się.

Ale nie chciał. Nikogo tam nie zna.

Tylko co dalej? Ma rzucić pracę? Wrócić do domu? Pakować się i jechać? Dokąd?

Pomyślał o sierżancie bez pamięci. Ciekawe, jakie to uczucie, uwolnić się od przeszłości? Od jej lepkich więzów?

Dlaczego tak trudno je zerwać? Dla teścia jest obcy. Dla Jimmy'ego i Nancy też. Nie ma powodu, by dłużej tu tkwić. Brakuje mu tylko bodźca do wyjazdu.

Patrzył na ulicę, na małe, schludne domki, zupełnie inne niż historie ukryte za ich drzwiami. Życiorysy może i małe, ale rzadko kiedy schludne. Tak jak jego.

Ale skoro szuka powodu, to prawie tak, jakby go miał, prawda?

Może. Nie wiadomo.

Uśmiechnął się pod nosem. Nie ma to jak niepewność, by zmusić faceta do działania.

Zacisnął dłonie na kierownicy, wrzucił wsteczny bieg i odjechał z piskiem opon.

Pieprzyć Lewisburg.

Jechał na zachód. Do Belle Meade.

## Rozdział 49

Gillian obudził ból. Mężczyzna pochylał się nad nią, przesuwając po jej ramieniu nożykiem do tapet. - Co do...

Rzuciła się na niego, ale nic to nie dało, bo skrępował jej ręce i nogi srebrną taśmą izolacyjną. Zaskoczyła go jednak. Ręka mu zadrżała i wąskie ostrze wycięło na skórze Gillian krwawy szlaczek. Syknęła z bólu. Mężczyzna spojrzał na nią i uśmiechnął się, odsłaniając krzywe szare zęby.

- Gillian - powiedział. - Tak się cieszę, że się ocknęłaś. Przyglądała mu się czujnie. Twarz potwora okazała się inna, niż sobie wyobrażała. Nie wielka, mroczna i zwierzęca, tylko chuda, blada. Pusta. I młoda. Jest zbyt młody, by mieć na sumieniu jej matkę. Zachichotał.

- Nie pamiętasz mnie - stwierdził.

Zaschło jej w ustach. Dziwne. Przez całe życie czekała na tę chwilę, a kiedy wreszcie nadeszła, było zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. To nie potwór z jej wizji. A ona nie jest silna, gotowa umrzeć razem nim. Jest słaba, skrępowana i przerażona do granic obłądu.

Oblizła usta.

- Znamy się?

Nie odpowiedział, wskazał czubkiem noża blizny na jej ramionach.

- Skąd je masz?

Dopiero teraz zauważyła, że ściągnął jej sweter. Leżała w samym staniku na cienkim brudnym kocu. Dzięki Bogu, nadal miała na sobie dżinsy. Znajdowali się w dziwnym, pustym pomieszczeniu. Niewiele widziała, ale dostrzegła plamy z oleju na zimnej betonowej podłodze i puste przegniłe półki. Stary warsztat? Fabryka? Nasłuchiwała odgłosów, które pomogłyby jej ustalić, gdzie się znajduje - ruchu ulicznego, klaksonów, huku pociągu. Słyszała jedynie ciężki oddech porywacza. I bicie własnego serca, huczące jej w uszach.

- Kto ci to zrobił? - Zapytał, muskając blizny czubkiem noża. Starła się nie poruszać.

- Ja sama.

Roześmiał się głośno, radośnie.

- Sama, samiotka? - Zachichotał. - A to ci dopiero. Powierciła się, szukając wygodniejszej pozycji, ale przywiązał ją

do czegoś. Ręce miała skrępowane za plecami.

Taśma wpijała się jej w ramiona i brzuch.

- Czy mógłbyś związać mi ręce z przodu? - sapnęła. Popatrzył na nią i się zamyślił.

- Wkrótce - odparł.

To słowo obiecywało o wiele więcej niż tylko

zmianę pozycji. Obiecywało wszystko. Wszystko, na co czekała. Czego się bała.

Zakręciło się jej w głowie. Nie wiedziała, czy to od resztek środka, którym ją oszołomił, czy ze strachu?

Wstał, wytarł nóż w spodnie i schował do pasa z narzędziami. Miał tam jeszcze gąbkę, szczotkę z przykręcaną rączką i pistolet.

Gillian dostała gęsiej skórki.

- Zimno mi.

Dotknął jej nabrzmiałego sutka.

- Widzę.

Czekał na jej reakcję. Stłumiła panikę.

- Kim jesteś?

Dotknął drugiej brodawki.

- Aubrey.

Zacisnęła skrępowane dłonie, zmuszając się, by zachować spokój.

- Aubrey, czy mógłbyś mi oddać sweter?

- Masz śliczne cycuszki, Gillian. - Patrzył na nie.

Przełknęła ślinę.

- Ale tak. Dobrze — powiedział nagle i zniknął jej z pola widzenia.

Liczyła, że ją rozwiąże. Musi przeciąć taśmę, żeby założyć jej sweter. Może wtedy uda jej się coś zrobić. Zaatakować. Walczyć. Szykowała się, zbierając resztki energii. Nabrała tchu.

Kiedy wrócił, nie przyniósł jednak swetra, tylko stary, sprany golf. Otulił ją nim jak kocem.

- Ja wybrałbym niebieski - powiedział.

- Niebieski? - Zęby szczękały jej z zimna i zawodu.

Zaczęła dygotać.

- Do zdjęcia. Wzięłaś brązowy, ale moim zdaniem niebieski byłby lepszy.

Zmusiła się, by zrozumieć, o co mu chodzi.

Brązowy sweter, brązowy sweter...

Krzyk utkwiał jej w gardle.

Na poręczy krzesła Kuchni na przedmieściu leżał brązowy sweter. Podobny miała jej matka. Był stary i ciężki. Brązowy. Nadal pamiętała, jak pachniał. Niedzielnymi naleśnikami, masłem i syropem klonowym.

Otworzyła szerzej oczy. Aubrey ją obserwował, czekał, aż coś powie.

- Nie było niebieskiego - powiedziała w końcu, choć słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Ale wzięłabyś niebieski, gdybyś go miała?

Skinęła głową. Wszystko, byle jej nie dotykał.

- Jasne.

Zmarszczył czoło.

- Nieprawda. Nie okłamuj mnie, Gillian. Wzruszyła ramionami, zmęczona tą gierką.

- To sztuka, Aubrey. Ja jestem artystką i to ja wybieram kolory.

- Ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie.

- Co „nie”? - Nagle strach wziął górę. Krzyknęła: - Kim jesteś? Skąd się znamy? I czego... - Nagle pokój zawirował. Co się z nią dzieje? Jest naćpana? Nie, kręci się. Rusza.

Kolejna myśl. Leży na palecie. A Aubrey ją obraca.

- Dzisiaj to ja jestem artystą - powiedział.

## Rozdział 50

W świetle poranka rezydencja Grayów wyglądała spokojnie i cicho.

Demonstranci się rozeszli, nie było też śladu po dziennikarzach. Ray podjechał do bramy, zadowolony, że wóz patrolowy ciągle tu jest. Policjanci pracowali na zmiany - tym razem za kierownicą siedział Carter Cośtam albo Cośtam Carter. Stary wyga z dwudziestoletnim stażem. Zobaczył Raya, opuścił okno i zawołał:

- Hej, Ray, uważaj. Jak będziesz tu co chwilę przyjeżdżał, wyłobisz koleiny w drodze.

Prędszej w życiu.

- Dzięki za radę - odkrzyknął.

- Nie ma za co. - Carter zasalutował żartobliwie.

Ray minął bramę i zaparkował na podjeździe.

Pokojówka zaprowadziła go do salonu. W oknach wychodzących na taras nadal wisiały jedwabne zasłony, napełniając pomieszczenie złocistym blaskiem, który stanowił przyjemny kontrast dla lodowatego spojrzenia Genevry Gray.

- Pan Pearce. - Zmarszczyła brwi. - Wydawało mi się, że już zamknięto sprawę incydentu na wernisażu.

- Owszem - przyznał. - Przyszedłem zobaczyć się z Gillian. Zesztywniała, naprężyła się jak zwierzę szykujące się do ataku.

- Nie rozumiem, po co.

- Domyślam się - odparł, widząc jej wrogość.

Patrzył jej w oczy bez zaczepności, ale dając jasno do zrozumienia, że nie wyjdzie, dopóki nie dostanie tego, po co przyszedł.

Kiedy wszedł, siedziała przy małym sekretarzyku w rogu pokoju i przeglądała oprawny w skórę terminarz. Teraz zajęła się tym ponownie, wyraźnie go lekceważąc.

- Nie ma jej tu.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł dalej.

- A gdzie jest?

Genevra podniosła głowę, zaskoczona, że Ray jeszcze nie wyszedł.

- Nie wiem.

Podszedł bliżej. Zastanawiał się, czym ją sprowokował, dlaczego pokazuje pazury. Kiedy przekroczył niewidzialną granicę? Gdy usiadł z nią przy jednym stole? Gdy zakochał się w jej wnuczce? A może zadawał zbyt wiele pytań? Który grzech okazał się śmiertelny?

- Myślę, że pani wie. - Uśmiechnął się lekko. - Nie wierzę, że spuściłaby ją pani z oczu, nie wiedząc, dokąd się wybiera. Na szczęście - dodał, jeszcze bardziej jej dopiekając. - Mam dzisiaj dużo wolnego czasu. - Z tymi słowami rozsiadł się wygodnie i położył nogi na stoliku do kawy.

- To osiemnastowieczny francuski antyk!

- Domyślam się. - Założył ręce za głowę i czekał. Westchnęła poirytowana.

- Nie raczyła mnie poinformować, dokąd się wybiera - powiedziała oschle Genevra - ale domyślam się, że pojechała do muzeum dopilnować pakowania eksponatów.

- Dziękuję. - Opuścił nogi i wstał. Był już przy drzwiach, gdy go zatrzymała.

- Panie Pearce... Ray.

Odwrócił się. Nadal siedziała przy biurczku, przeglądając terminarz.

- Jeśli skrzywdzi pan moją wnuczkę, będzie pan miał ze mną do czynienia.

- Ja ją? - Ze smutkiem pokręcił głową. - Zna ją pani lepiej niż ja i chyba pani wie, że prędzej to ona skrzywdzi mnie.

Koszmarne wirowanie palety ustało i Gillian znalazła się przodem do ściany, którą dotychczas miała za plecami. Zrobiło jej się zimno na widok scenografii ustawionej w kącie. Nie dlatego, że



była to wierna kopia kuchni ze zdjęcia, lecz dlatego, że taka nie była.

Podłoga na zdjęciu była czarno-biała - Gillian wybrała wzór szachownicy, żeby bardziej wyeksponować ciało. Kuchnia tutaj była wyłożona zwykłym linoleum, jak u niej w domu. Jak w domu jej matki. Na zdjęciu w oknie wisały zielono-różowe zasłony. Pastelowe kolory miały podkreślić banalność miejsca zbrodni. Na kuchni Aubreya zastąpiły je grube, staroświeckie rolety ze znajomym czerwono-białym wzorkiem na szczycie. Na parapecie stała zielona butelka po winie, a w niej trzy żółte kwiatki.

Między Gillian a scenografią stał statyw z założonym aparatem. Poczowała mdłości.

- Podoba ci się? - zapytał Aubrey miękko.

Nie mogła oddychać. Jej umysł wrzeszczał. Skąd on wie? Skąd?

- Kim... kim ty jesteś? - wykrztusiła.

- Jestem Aubrey, panienko Gillian. - Pogłaskał ją tak, jak się pieści małe dziecko. Albo psa. -

Pamiętasz Aubreya, prawda? Przychodziłem do was do domu z tatusiem, kiedy kosił trawnik. Albo naprawiał płot.

Ten płot ciągle się psuł, pamiętasz? Siedziałem w samochodzie, bo mi tak kazał, a nie znam takiego, który sprzeciwiłby się tatusiowi i przeżył.

Siedziałem, gdy było tak zimno, że widziałem własny oddech, i tak gorąco, że w ogóle nie mogłem oddychać. Obserwowałem cię przez okno.

Bawiłaś się na dworze, śmiałaś się, biegałaś, tańczyłaś. W życiu nie widziałem tak pięknych istot, jak ty i twoja mama. Uwielbiałem was obserwować.

Złota rączka? Aubrey jest synem złotej rączki?

Zrobiło jej się niedobrze. Skoncentrowała się,

gorączkowo szukając we wspomnieniach śladu po chłopcu, którym był, ale na darmo.

- Siedziałem w kabinie pikapa, patrzyłem i coś się we mnie rodziło, jakieś uczucie szykowało się do ataku jak grzechotnik, wredne i groźne. Ja nie miałem ślicznej mamy ani domku z zielonym trawnikiem. Miałem tylko tatusia. No i jego mamę. Nie mogę zapominać o babci, która się tylko modliła, modliła i modliła, i nigdy nie zrobiła nic, by go powstrzymać. To strasznie niesprawiedliwe, panienko Gillian, nie uważasz?

- Nie wiem.

- Właśnie, że wiesz. - Złapał ją za włosy, szarpiąc mocno. - Mówiłem, że masz mnie nie okłamywać.

- Skoro... - Zacisnęła zęby z bólu. - Skoro siedziałeś w kabinie, skąd wiesz, jak było w domu?

- O, to dzięki twojej mamie. - Puścił ją, jakby myśl o jej matce wzbudziła w nim cieplejsze uczucia. -

Kiedyś, gdy tatuś naprawiał płot za domem, zobaczyła mnie w samochodzie. Chyba zrobiło jej się mnie żal, bo o mało nie udusiłem się w środku. Otworzyła drzwiczki, wzięła mnie za rękę i zabrała do środka. Nie wierzyłem własnym oczom.

Obrazki, dywaniki, wszystko czyste i kolorowe. Jak w filmie Disneya -umilkł, wpatrzony w kuchnię. -

Dała mi puszkę coli - ciągnął rozmarzony, uśmiechając się do swoich wspomnień. - To była najlepsza cola, jaką w życiu piłem. - Westchnął. - Szkoda, że tak się potem stało.

Powiedział to jakoś dziwnie, intymnie. Gillian znieruchomiała. Widział to? Był przy tym? Miał wtedy pewnie z dziesięć, jedenaście lat, ale jego ojciec...

- Czy to... - Przełknęła ślinę. Strach walczył w niej z podnieceniem. Może za chwilę pozna odpowiedź na najważniejsze pytanie jej życia. - Czy twój

tata...

- Załatwił twoją mamę? Nie, akurat wtedy odsypiał dwudniowe pijaństwo.

Poczuła miazdzący ciężar rozczarowania.

- Więc co wiesz o zabójstwie?

- Cóż, trochę wiem. - Ukląkł i musnął palcem jej policzek. - Wiem, jakie to uczucie pozbawić kogoś tchu. Patrząc, jak się miota w moich rękach. Jak słabnie, jak w jego oczach gaśnie światło. Wiem więcej niż ty, Gillian.

- Mówisz o rzeczach, które mnie nie interesują.

- Więc dlaczego robisz akurat takie zdjęcia? Bo to cię nie interesuje? - Jego palec błędził po jej ustach, szyi. Zesztywniała pod jego dotykiem. - Znowu kłamiesz. Nie myśl, że tego nie wiem.

Bardzo cię to interesuje. Bardzo chcesz wiedzieć. -

Przejechał językiem po jej policzku, od szczęki do ucha. - Jakie to uczucie odetchnąć po raz ostatni?

Jakie to uczucie wiedzieć, że już nigdy się nie roześmiejesz, nigdy nie zatańczysz. Że już nigdy nie będziesz cierpieć, choć w tej chwili oddałabyś za to wszystko. -

Odchylił jej głowę. Jego usta zawisły nad jej aortą. Wyglądał jak wampir przed ukąszeniem. - Myślisz, że obiektyw aparatu cię ochroni? Pod całym nowojorskim blichtrzem za wszelką cenę chcesz wiedzieć. -

Zacisnął dłoń na jej szyi. Pochylił się jeszcze niżej

i szepnął jej do ucha: - A ja ci pokażę.

Robiła co w jej mocy, by się nie ruszać, by nie ulec panice, by nie okazać, jak bardzo zbliżył się do prawdy.

- To będzie moje dzieło - powiedział, wskazując ręką scenografię. - Moja sztuka.

Spojrzała na pieczołowicie odtworzoną kuchnię jej dzieciństwa. Umrze tam. Na podłodze, jak jej nieszczęsna matka. Zawsze to wiedziała.

Wyczuwała, że zginie z ręki potwora. Nieważne, czy to przeznaczenie, czy pech na loterii życia. Zerknęła na wilgotne oczy i roześmiane usta Aubreya. Duma i radość, które zobaczyła, przeraziły ją do głębi. Czyjej matka widziała to samo? Czy było to ostatnie, co zobaczyła w życiu? Nie, Aubrey to potwór Gillian, nie Holland. A skoro potwór jest inny, może i zakończenie nie będzie takie samo.

A może wszystko jest jednością. Każdy potwór to jedno i to samo monstrum. Zło powraca w tysiącu masek, ale w gruncie rzeczy zawsze jest złem. Pomyślała o Rayu. O jego bólu i empatii na widok blizn na jej ramionach. Gdyby tu był, nie wahałby się, starałby się ją chronić. Osłonić. Ocalić. Czy gdyby się tu zjawił, oddałaby mu kolejne tysiąc lat życia? Czy przysięgłaby mu miłość i nadzieję?

„Nikt się tobą nie opiekował?“, zapytał wtedy. Tylko ja sama.

- Jesteś gotowa, panienko Gillian? Gotowa, by wreszcie poznać to, czego tak rozpaczliwie szukasz?

Panika przeszła ją jak włócznia. Ostro, boleśnie. Jeszcze nie. Za wcześnie. Jeszcze godzinę. Dzień. Tydzień. Rok. Proszę. Jeszcze trochę czasu. Czy wszyscy tak się targują ze śmiercią? Czy każda agonია ma miejsce na bazarze? Wcale nie jest tak łatwo umrzeć, przemknęło jej przez głowę. Szarpnęła się, ale taśma trzymała mocno. Była bezradna. Nie ma wyjścia. Aubrey go nie zostawił. I nie ma czasu.

Stał tuż przy niej, coraz bardziej zniecierpliwiony. Zawsze jest jakieś wyjście. Wybór. Zawsze. Nawet jeśli pozostaje tylko cień nadziei, lepsze to niż nic. Przestała się szamotać i odwróciła od niego.

Celowo. Z wyższością.

- I co zrobisz, Aubrey? - Jego imię zabrzmiało jak drwina. - Włożysz mi na głowę plastikową torbę, jak innym? Udusisz mnie? I ułożysz na podłodze w mojej kuchni? - prychnęła. - Zrobisz kolejną kopię fotografii Gillian Gray? Zmrużył oczy. Zrobiło jej się słabo, ale twardo mówiła dalej:

- Nie jesteś artystą, tylko naśladowcą. Kopistą. Kserokopiarką. Uderzył ją, aż głowa odskoczyła jej do tyłu, a oczy podeszły łzami.

- Robię to, na co tobie brak odwagi - odparł.

- Właśnie, porozmawiajmy o odwadze. Wiesz, co to takiego? Odwaga to stanąć nad przepaścią i ją formować, a nie tylko w nią runąć. Odwaga to punkt widzenia, pomysł. Jeden, jedyny oryginalny pomysł. A na to nigdy nie było cię stać.

Znowu się zamachnął.

- Mogę ci pomóc - dodała szybko. - Pokażę ci, jak zrobić coś nowego. Przyglądał jej się podejrzliwie.

- Niby dlaczego miałabyś to zrobić, panienko Gillian?

- Bo nigdy się nie powtarzam. Prawdziwy artysta nigdy się nie powtarza. Bo jeśli masz mnie zabić, a wiem, że tak będzie, chcę przyłożyć do tego rękę.

- Poruszyła zdrętwiałymi dłońmi i zacisnęła je, nie zważając na ból. - Bo miałaś rację, Aubrey. -

Roześmiała się histerycznie, radośnie, niemal do łez. - Bo masz rację. - Spojrzała prosto w jego puste, zabójcze oczy. - Rzeczywiście chcę wiedzieć.

## Rozdział 51

Ray zatrzymał się na muzealnym parkingu. Gazety poinformowały o wycofaniu z wystawy prac Gillian Gray i kolejki zniknęły.

Wbiegał po dwa stopnie, chcąc jak najszybciej znaleźć się w środku. Chciał mieć to już za sobą. To jego ostatnia szansa, by przekonać Gillian do czegoś, czego sam nie był pewien.

W środku przy wejściu do sali z jej zdjęciami zobaczył wielki napis: „Zmiana ekspozycji”.

Zaczepił jednego z pracowników muzeum i wyjaśnił, po co przyszedł, po czym zgodnie ze wskazówkami skierował się do pracowni, w której pakowano fotografie.

Wjechał windą na piętro. Łudził się, że szaleństwo, które zawładnęło jego umysłem, lada chwila minie i będzie mógł zawrócić, wyjść i nie ryzykować duszy, oddając ją w ręce Gillian Gray.

Ledwie otworzyły się drzwi, wysiadł i pobiegł ku swojemu przeznaczeniu. Ale Gillian nie było w pracowni, a gdy zaczął rozpytywać, okazało się, że nikt jej jeszcze nie widział. Jeden z pracowników rzucił, że pewnie jest u kurator wystawy, więc Ray wrócił do windy i pojechał dwa piętra wyżej, do biura Stephanie Bower.

Bower uprzejmie poinformowała go, że Gillian jest w pracowni.

Zamrugnął szybko.

- Nieprawda, właśnie tam byłem. Stephanie się zdziwiła.

- Miała dopilnować pakowania. Powiedziałam jej, że zaczniemy dziś rano i odniosłam wrażenie, że chce przy tym być.

- Nie widziała jej pani?
- Jeszcze nie, ale zaczęliśmy bardzo wcześnie. Miała tu być o siódmej. Pewnie się spóźnia. Ray wyszedł. Instykt dzwonił na alarm. Babka sądziła, że Gillian jest w muzeum. Nie, nie sądziła. Była pewna. Z drugiej strony, starszej pani bardzo nie podobało się zainteresowanie Raya jej wnuczką. Aż za dobrze wiedział, do czego zdolni są Grayowie. Wyjął komórkę, wybrał numer i czekał na połączenie.
- Pani Gray, tu Ray Pearce. Gdzie naprawdę jest Gillian? Chwila wahania Zaskoczenie czy kolejna gierka?
- Mówiłam panu...
- Nie, pani Gray. nie mówiła pani. Nie lubię, gdy się mnie okłamuje.
- Ho, ho, ale dzisiaj mamy humorek.
- Nie mam czasu na konwenanse. Znajdę ją, to już tylko kwestia czasu.
- Już panu mówiłam, że jest w muzeum.
- Nie ma jej tu. Domyśla się pani, gdzie indziej mogła pojechać?
- Nie. - W głosie Genevry Gray pojawił się niepokój. - Na pewno nie ma jej w muzeum? Ray miał złe przeczucie.
- O której wyszła z domu?
- Ja... nie wiem.
- Ktoś ją podwiózł?
- Pożyczyła samochód i pojechała sama. A dlaczego? Coś się stało? - Strach w głosie starszej pani świadczył o jej prawdomówności. Nie czekając na windę, Ray zbiegł po schodach. Przypomniał sobie wóz patrolowy.
- Niech jedna z pokojówek idzie do policjanta pilnującego bramy i zapyta, o której Gillian

wyjechała. I czym.

- Czym...? Co się stało?

Nie chciał wyciągać pochopnych wniosków - Gillian mogła być wszędzie - ale nie zamierzał też kłamać.

- Jeszcze nie wiem. Może to nic takiego. Ale nie dowiemy się tego, jeśli nie zrobi pani tego, o co proszę.

- No dobrze. Chwileczkę. - Wróciła po kilku koszmarne długich minutach, zdyszana. Czyżby pobiegła sama? - Wyjechała mniej więcej za kwadrans siódma. - Szarym... - Gorączkowo zaczerpnęła tchu. - Szarym bmw. Sedanem.

- Numery rejestracyjne?

- Numery rejestracyjne? Ja...

- Proszę się natychmiast dowiedzieć.

Znowu kazała mu czekać. Był już na parterze, wybiegł na dwór i skręcił na parking. Muzeum otworzyło podwoje kilkanaście minut temu i na parkingu stało już sporo aut. Zatrzymał się. Cholera. Było ich kilkadziesiąt. A Gillian może nawet tu nie dotarła.

Jeśli jednak przyjechała tu o siódmej, kilka godzin przed otwarciem muzeum, na parkingu stało najwyżej kilka wozów. Pewnie wybrała miejsce blisko wejścia. Podbiegł do pierwszego rzędu i modlił się, by nie zobaczyć szarego bmw.

- Dawaj, Genevro - mruknął pod nosem.

Zanim starsza pani podała mu numery rejestracyjne auta Gillian, znalazł trzy szare bmw.

- Dzięki - rzucił do telefonu.

- Chwileczkę! Panie Pearce, czy mógłby się pan nie rozłączać? Nagle Ray przypomniał sobie tamten moment w hotelu, tę chwilę miłości między dwiema twardymi kobietami, i zrobiło mu się żal Ge-nevry Gray.

- Dobrze.



Podbiegł do pierwszego sedana. Spojrzał na tablicę rejestracyjną i serce podeszło mu do gardła.

Samochód Grayów.

- Mam. Auto jest na parkingu.

- Dzięki Bogu. Więc nic jej nie jest?

- Nie wiem. Mam wóz, ale nie Gillian. Wygląda na to, że w ogóle nie weszła do środka.

Gillian od razu wiedziała, że ma za mało światła, w dodatku niewłaściwego. Rozstawione na stojakach niewielkie reflektory Fresnel były za małe, by oświetlić tak dużą scenografię. Powinien dodać więcej lamp i wzmocnić jasność. Kolorom brakowało głębi. Ona ustawiłaby więcej reflektorów i dodała filtry. Postarałaby się też o dodatkowe źródła światła w samej kuchni. I o specjalną aurę dla ciała. No i oczywiście o okno. Zazwyczaj używała silnego HMI, by nadać zdjęciu złowrogi blask, który stał się jej znakiem rozpoznawczym. Eksperymentowała z różnymi materiałami, ale najlepiej sprawdzał się indyjski muślin.

Oczywiście nie powiedziała mu tego wszystkiego, bo gdy scenografia będzie gotowa, oświetlenie przestanie mieć znaczenie - w każdym razie dla niej. Zamiast tego skupiła się na kompozycji.

- Daruj sobie kuchnię - powiedziała mu. - Ustaw stół przy oknie. Niech to będzie osobna przestrzeń, niech tam się skupia światło. -

Wciągnęła powietrze, próbując dostrzec prawy skraj scenografii.

Nie reagował i przez moment obawiała się, że wszystko stracone.

- Posłuchaj, tylko spróbuj. Jeśli ci się nie spodoba, możesz ustawić wszystko tak, jak było. Chyba nie

chcesz, żeby twoje dzieło przypominało moje zdjęcie. Musi być jedyne w swoim rodzaju, wyjątkowe. Inaczej Larry King cię nie zaprosi. Rozpromienił się, gdy padło nazwisko słynnego dziennikarza. Przez chwilę uśmiechał się szeroko, z niedowierzaniem, jak dziecko czekające na tort urodzinowy.

- Larry King? Ojejku, Gillian. - Zatarł ręce i zachichotał. - Tak myślisz?

- Chciał mnie, więc czemu nie ciebie? Tylko że on chce czegoś nowego. Oryginalnego.

Aubrey się zamyślił.

- Zawsze mogę ustawić wszystko tak, jak było - powiedział, jakby sam wpadł na ten pomysł.

Opadła na plecy, gdy mocował się ze stołem. Nogi drapały po podłodze. Próbowwała oddychać, ale płuca odmawiały jej posłuszeństwa. Nagle przypomniała sobie metodę Raya i zaczęła liczyć. Z początku było ciężko, ale przy trzeciej próbie poczuła, że się uspakaja, a serce zwalnia na tyle, że znów może logicznie myśleć.

Cały Ray. Ofiarował jej spokój i logikę.

Chciałaby jeszcze trochę z nim pobyc, nabrać jego siły, zanurzyć się w jego współczuciu, ale Aubrey już ustawił krzesła i musiała wymyślić coś innego, żeby go zająć.

- Tylko dwa. - Pokręciła głową. - Taka osoba nie zaprasza znajomych na kolacyjki.

Odstawił dwa pozostałe krzesła poza kadr, dając jej dodatkową chwilę. Kolejne cenne sekundy, by zdecydować. Co zrobi? Wybierze życie czy śmierć?

- Teraz dobrze? - zapytał. Oparł dłonie na biodrach i krytycznym okiem oceniał nową scenografię.

- Idealnie - odparła. Gdyby to miała być jej praca, na stole stałoby pudełko płatków. I karton mleka. Ale to nie jej zdjęcie. To łożo śmierci. Jej własne

łóże śmierci.

- Jak to zrobimy? - zapytał Aubrey

Zwilżyła usta językiem. Jej spierzchnięte wargi zaczynały pękać.

- Mówiłam ci. Tłumaczyłam. Inaczej to nie ma sensu. Położył dłoń na pistolecie za pasem z narzędziami.

- Sam nie wiem...

Wzruszyła ramionami na tyle, na ile pozwalały jej więzy.

- Rób, jak chcesz. - Odwróciła głowę, ryzykując, kładąc wszystko na jedną kartę. - Jeśli nie jesteś przekonany...

- Będzie za dużo krwi - jęknął. - Nie lubię krwi.

- Nie ma sprawy. Idź po plastikową torbę, odpal komputer i pożegnaj się z Larrym Kingiem.

- Dobrze, już dobrze. - Nadal był niezdecydowany, ale i tak było o wiele lepiej niż pół godziny temu, gdy stanowczo się sprzeciwiał jej pomysłowi.

Różowy koniuszek języka wysunął się spomiędzy drobnych, ostrych zębów i znieruchomiał w kąciku warg, gdy Aubrey myślała. - Ale ja sam chciałem to zrobić.

Boże, ale jest zmęczona. Ile wysiłku kosztuje ją zachowanie przytomności. I myślenie.

Wy tłumaczyła cierpliwie:

- Ale wtedy nie ja się zabiję, tylko ty mnie, prawda, Aubrey? A wtedy nie wystąpisz u Larry'ego Kinga jako ten, który patrzył, jak Gillian Gray odbiera sobie życie. Będiesz tym, który odebrał jej życie. Kumasz różnicę?

W ułamku sekundy złapał ją za gardło.

- Po co te złościwości, Gillian? - Zacisnął palce.

Gwiazdy stanęły jej przed oczami. - Po co?

- Przepraszam - wykrztusiła z trudem. - Bardzo... przepraszam. Odepchnął ją i puścił. Zakaszłała

głośno.

- Mam wątpliwości - syknął.

- Sprawdź ujęcie - wychrypiąca. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Będzie dobre - zapewniła. - Przesuń statyw i zobacz. Wtedy zdecydujesz.

Niechętnie spełnił jej prośbę. Roześmiał się, jak tylko spojrział

w wizjer.

- O, kurczę, ale ślicznie! - Odskoczył, chichocząc z przejęcia -Dobra. - Spojrzał na nią. - Gotowa? -

Wyjął pistolet. - Bo ja tak. -Odetchnął głęboko. -

Jak to zrobisz? Tu? - Przyłożył pistolet do swojej

skroni. - A może tu? - Umieścił lufę pod brodą. -

Albo... - Ukląkł i pogładził pistoletem jej policzek.

Potem siłą otworzył jej usta i wsunął lufę. - Tu?

Poczuła smak metalu i brud. Ze strachu zrobiło jej się niedobrze, ale dzięki metodzie Raya opanowała mdłości. Wdech. Dwa. Trzy. Cztery. Wydech.

Znowu chichot.

- Ojejku, Gillian, ale mnie kusi. - Wyjął pistolet z jej ust i połaskotał ją lufą w podbródek. - Co ty na to? Wsadzę do bębna jedną kulę, jeden jedyny nabój. Nie będziesz wiedziała, kiedy zginiesz. A ja będę fotografował wszystkie twoje strzały.

Przełknęła ślinę. Tego się nie spodziewała. Myślała, że będzie musiała podjąć jedną decyzję. Jeden strzał i po wszystkim.

- Porobię różne zdjęcia. - Aubrey cieszył się jak dziecko. - Jak się pocisz. Jak dowiadujesz się tego, co tak bardzo cię interesuje: jakie to uczucie, patrzeć śmierci w oczy. - Uśmiechnął się z samozadowoleniem. - Jak myślisz, ile razy zdołasz pociągnąć za spust?

Spojrzała mu w oczy, śmiało, prosto, choć żeby to zrobić, musiała zacisnąć skrępowane dłonie i

wyprostować plecy.  
- Wkrótce się przekonamy.

## Rozdział 52

Grayowie zjawili się w muzeum przed policją, podenerwowani i władczy. Wpadli do gabinetu Willa Davenporta, gdzie Ray zebrał niewielką grupkę osób, które tego dnia zjawily się w muzeum jako pierwsze.

- Co się stało? - huknął Chip. Will podniósł ręce w uspokajającym geście.

- Jeszcze nie wiemy.

Niezadowolony z odpowiedzi, Chip zignorował Willa i skupił się na Rayu, który opierał się o biurko dyrektora muzeum.

- Gdzie moja wnuczka? Ray starał się zachować spokój.

- Dotarła na parking. Coś się wydarzyło po tym, jak wysiadła z auta i zanim weszła do muzeum.

- Co?

- Właśnie tego usiłujemy się dowiedzieć.

Nagle Genevra się zachwiała. Złapała się krawędzi krzesła, by nie upaść.

- Ludzie tak po prostu nie znikają, panie Pearce. - Choć jej głos był lodowaty jak zwykle, Ray wyczuł w nim drżenie.

- Może państwo usiądą - zaproponował Will.

- Nie chcę siadać! - Głos Genevry przeszedł w pisk. Zapadła pełna skrepowania cisza. Pierwszy

odezwał się Ray.\_

- Właśnie analizowaliśmy wydarzenia dzisiejszego ranka. Proszę usiąść i posłuchać. Może coś się państwu przypomni.

Chip przysunął żonie krzesło i oboje niechętnie zajęli miejsca. Ray spojrzał na Willa.

- A więc, przyjechał pan o...

- Kwadrans po siódmej.

- Ile samochodów stało na parkingu? Davenport się zamyślił.

- Chyba trzy. Poznałem wóz Stephanie i dwa inne.

- A szare bmw?

- Chyba tak. Nie jestem pewien, ale chyba tak.

- Coś jeszcze?

- Czerwony wóz. Minivan.

Steve, jeden z projektantów, podniósł rękę.

- Mój. Odbieram dzisiaj dzieciaki ze szkoły, więc zamieniłem się z żoną na samochody.

- Dobra. Mamy hondę Stephanie, pańskiego minivana i bmw Gillian.

- Ja też byłem kwadrans po siódmej - zauważył Dan, inny projektant. - Jeżdżę starym zielonym volvo.

- Czyli mamy cztery. - Ray rozejrzał się po zebranych. - Czy ktoś widział coś jeszcze?

Wszyscy umilkli.

- Ja chyba byłem pierwszy - powiedział Steve od minivana - bo kiedy przyjechałem, parking był pusty.

Genevra nie wytrzymała.

- Coś się stało z Gillian, a wy paplacie o parkingu?

- Pani Gray...

- Nie, nie pozwolę na to. Nie tym razem. - Jej głos się załamał. Chip posłał jej błagalne spojrzenie.

Ray zauważył ich bezgłośny dialog. Chip pyta,

Genevra odmawia.

- Co? - Nagle widział tylko ich. - Co tu się dzieje? -  
Czekał. Starsi państwo znieruchomieli. - Jeśli  
państwo coś wiedzą...

Chip zwiesił ramiona. Spojrzał na Willa.

- Przepraszam bardzo, ale chciałbym porozmawiać  
z panem Pearce'em w cztery oczy.

- Nie - zwróciła się Genevra do męża. Wstała z  
trudem. - Błagam cię. Nie. — Na jej twarzy  
malowała się prośba.

- Nie mamy wyboru - odparł cicho Chip.

Skinieniem ręki poprosił pozostałych, by wyszli.

Davenport wyglądał na zaintrygowanego, ale  
powiedział tylko:

- Oczywiście, poczekamy w gabinecie pani kurator.

- Wyprowadził pozostałą trójkę i Ray został sam z  
państwem Gray.

## Rozdział 53

Atmosfera w pustym już gabinecie nagle się  
zmieniła. Ray wodził wzrokiem od Chipa do  
Genevry. Starszy pan stał przy oknie, wpatrzony w  
panoramę miasta. Genevra zaciskała dłonie na  
oparciu krzesła.

Ray czekał. Miał wrażenie, że odlicza sekundy do  
wybuchu miny lądowej. Stoisz na zapalniku i jest  
tylko kwestią czasu, zanim się poruszysz i stracisz  
stopę, nogę albo życie. Jak będzie tu?

- Jadł pan z nami kolację - zaczął w końcu Chip. -  
Pamięta pan?

- Tak. - Takiego wieczoru szybko się nie zapomina.
- Pytał pan o ojca Gillian.

Ray starał się nie okazywać zaskoczenia. Nie wiedział, czego oczekiwać, ale na pewno nie spodziewał się pogadanki o genealogii.

- Tego, który nie żyje.
- Tego, który nie żyje.

Genevra Gray miała typową cerę damy z Południa, która nigdy nie wychodzi na słońce bez kapelusza. Jednak teraz była nie tyle blada, co przezroczysta. Wyglądała jak duch.

- On żyje - szepnęła, a raczej wychrypiała. Ray uniósł brwi.

- Jest tu, w Nashville - ciągnęła Genevra. - I chce pieniędzy. Dużo pieniędzy.

Chip odwrócił się od okna. Wbił ręce w kieszenie. Wzruszył ramionami, pokonany, zawstydzony.

- Płaciliśmy mu od lat, ale teraz... - Odetchnął głośno. - Wygląda na to, że chce coraz więcej. A ja... ja mu odmówiłem. - Zawahał się, ale ciągnął dalej: - I wtedy doszło do pierwszego zabójstwa. Ray poczuł, jak pulsuje mu żyła na szyi.

- Kto to?

- Nikt. Śmieć. - Chip machnął ręką, jakby odpędzał komara. -Fo-

tograf. Kiedy mu się chce, prowadzi trzeciorzędą agencję modelek. Ray wycedził:

- Chce pan powiedzieć, że pana zdaniem mordercą może być ojciec Gillian, który, o dziwo, żyje? I nie pisał pan o tym ani słowa?

- Mieliliśmy swoje powody - mruknął Chip.

- Trzy osoby nie żyją!

- Nie tym tonem - warknęła Genevra. - Ten człowiek jest słaby i zły, to chodzące nieszczęście...

- Nieszczęście? To mało powiedziane, jeśli to on



jest mordercą. Jeśli to on prześladowa Gillian. Jeśli to on ją teraz przetrzymuje.

Cisza nabrzmiała strachem.

- Powinni byli państwo jej powiedzieć - powiedział w końcu. - I to już dawno. - Pomyślał o latach kłamstw, o wszystkim, co Gillian utraciła. O rzeczach, których wartość mogła określić tylko ona.

- Nigdy - odparła Genevra.

- To jej ojciec, do cholery! - ryknął Ray. - Ma prawo...

- Nie ma żadnych praw. - Chip obstawał przy swoim. Ray miał ochotę go uderzyć.

- Pan chyba żartuje. Za kogo pan się uważa, do cholery, żeby...

- Zgwałcił jej matkę! - wrzasnęła Genevra.

Ray spojrzał na nią. Miał wrażenie, że czas się zatrzymał.

- Co?

Genevra z jękiem podniosła rękę do ust. Miała łzy w oczach. Odwróciła wzrok.

- Zgwałcił Holland - odparł cicho Chip. - Gillian jest owocem gwałtu.

Ray nie mógł wydobyć z siebie słowa. Zamurowało go. Przez chwilę, wszyscy trwali w milczeniu, znieruchomieli. Ray pierwszy odzyskał głos.

- Proszę... proszę powiedzieć mi wszystko pod początku. Co się stało?

Chip westchnął. Był szary na twarzy.

- Początkowo też o niczym nie wiedzieliśmy.

Holland nie chciała powiedzieć, kto jest ojcem. - Spojrzał w dół na swoje dłonie, pokryte starczymi plamami. - Nie wiem, czy w ogóle komuś powiedziała.

- Wiedział tylko on? - Tak, to ma sens.

- Do dziś nie wiem, jak się dowiedział - ciągnął

Chip. - Holland  
nam nie powiedziała.

- Kiedy to było?

- Gillian miała wtedy sześć lat. Sześć. Rok przed śmiercią matki.

- Tak czy inaczej, dowiedział się, że ma dziecko. - Ray dopasowywał fragmenty układanki. - I dostrzegł dobrą okazję na zdobycie pieniędzy.

- Groził, że wystąpi o prawo opieki, jeśli Holland mu nie zapłaci.

- Nie miał szans - zauważył Ray. - Żaden sąd na świecie nie przyznałby mu prawa do opieki nad dzieckiem.

- Nie chodziło o odebranie dziecka! - Genevra straciła cierpliwość. - Holland bała się o rozgłos, jakim taki proces odbiłby się w mediach.

Gwałt, o którym wszyscy wiedzą. Świadomość, że inni znają prawdę o poczęciu jej córki. To robiło wrażenie, nawet teraz, po dwudziestu latach.

- Więc zapłaciła?

Genevra milczała, wpatrzona w przestrzeń. Na jej chudej szyi pulsowały nabrzmiałe żyły. Po chwili się odezwała:

- Nie - rzuciła krótko.

- Zakończyła karierę - dodał Chip. - Wróciła do domu. Wymyśliła sobie, że jeśli wycofa się z życia publicznego, on nie będzie już mógł jej szantażować.

Ray odwrócił wzrok od twarzy załamanych dziadków Gillian. Ich opowieść zawierała odpowiedzi na większość pytań, które miał w związku z nagłym powrotem Holland do Nashville, długo po tym, jak urodziła córkę. Pomyślał o legendzie, którą żyła Gillian - historii o pięknej matce, która rzuciła wszystko dla ukochanej córeczki. Gdyby Gillian wiedziała, ile Holland

naprawdę dla niej poświęciła.

- Dlaczego nie spełnił groźby? Brukowce zapłaciłyby mu majątek.

- Nie musiał. Zwrócił się do nas - wyjaśnił Chip.

- A my płaciliśmy - dodała Genevra z goryczą. - Regularnie, co miesiąc, jak ratę za szczęście wnuczki.

- I bez tego miała dość przeżyć - zauważył Chip. -

Gdyby się dowiedziała, jak została poczęta... -

Spojrzał na żonę. Starsza pani się wzdrygnęła.

- Niestety... - Uśmiechnęła się. - Straciliśmy nie tylko pieniądze. Ray wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Zobaczył w ich twarzach gorzką prawdę.

- Holland była na nas wściekła - ciągnął Chip. -

Nienawidziła drania i sama myśl o tym, że bogaci się na tym, co jej zrobił...

- Zrobiliśmy to, żeby ją chronić. - Oczy Genevry pociemniały od wspomnień. - Ją i jej córkę.

I nagle Ray zrozumiał.

- To dlatego się wyprowadziła. - Przeszył go dreszcz. Pasuje. Wszystko do siebie pasuje.

- To jego wina - rzuciła z ogniem Genevra. - To przez niego spotkał ją taki los. Skrzywdził ją. Odebrał nam. - Rozpłakała się. Chip położył jej na ramieniu ciężką dłoń.

- Byliśmy bardzo hojni i trzymał się z daleka.

- Aż do teraz - zakończył Ray.

- Aż do teraz - powtórzył tępo Chip. - Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to on stoi za morderstwami. Ale jest fotografem. A raczej był... ja... po prostu musimy mieć pewność.

- Jak się nazywa? Jak się z nim państwo kontaktują?

- Jerry Sklar. Mam telefon...

- Niewykluczone, że to on zabił Holland. Nie

mówiliście państwo  
policji...?

- Ma żelazne alibi - wyjaśniła Genevra.

Ray patrzył na nią wyczekująco, ale to Chip przemówił:

- Tamtego ranka... - Urwał. - Płaciłem mu. - Pokręcił głową. Miał łzy w oczach. - Był ze mną, gdy Holland... Dopomóż mi, Boże, byłem wtedy z nim.

Raya ogarnęła fala współczucia. Biedni ludzie. Tyle przeszli, musieli dokonywać takich wyborów.

Pukanie do drzwi. Do gabinetu zajrzał Will.

- Przyjechała policja - oznajmił.

- Zaraz przyjdziemy - obiecał Ray. Genevra złapała go za ramię.

- Nie może im pan powiedzieć. Ray pokręcił głową.

- Nie mam wyboru. Jeśli Sklar jest podejrzany, policja musi się nim zająć.

Wbiła mu paznokcie w skórę.

- Jeśli Gillian coś dla pana znaczy, zachowa pan to dla siebie.

- Mamy złe doświadczenia z policją- wyjaśnił Chip.

Sięgnął po portfel. - Jeśli jest jakiś sposób, żeby pana przekonać, by najpierw sprawdził pan to dyskretnie... Sam. Zanim poinformuje pan władze.

Ray zacisnął zęby. Chip Gray już raz machał mu pieniędzmi przed nosem i wtedy dał się przekonać. Wkurzało go, że sytuacja się powtarza.

- Niech pan schowa portfel! - warknął.

Wodził wzrokiem od Genevry do Chipa. Starzy, znużeni ludzie, żyjący w okowach przeszłości, tej samej, od której Gillian próbowała się uwolnić każdym zdjęciem. A jednak przeszłość zawsze wciągała ją na nowo. A on chciał, by była wolna. Nieskrępowana.

I żywa. Przede wszystkim żywa.

## Rozdział 54

Ray otworzył drzwi. W progu gabinetu stanął Jimmy oraz inny policjant, Ned Mills, który prowadził sprawę. Steve i Dan wrócili do pracy, ale pozostali weszli do pokoju. Korzystając z zamieszania, Ray wymknął się na korytarz, wyjął komórkę i wystukał numer, który dostał od Chipa. Nikt nie odbierał.

Dziwne, że szantażysta nie odbiera.

Zadzwoił do Carleco, poprosił, żeby znaleźli adres abonenta i dowiedzieli się jak najwięcej o Jerry'm Sklarze. Potem wrócił do gabinetu.

- Pan Davenport powiedział nam, co się stało - zaczął Mills, starszy mężczyzna w okularach ze złotymi oprawkami. Od emerytury dzieliło go jakieś dziesięć lat. Ray pamiętał go jako metodycznego i drobiazgowego policjanta. Kusiło go, by powiedzieć mu o Sklarze, ale milczał. Póki nie dowie się więcej, sam zrobi to, co na jego miejscu zrobiłaby policja.

Były szwagier przyglądał mu się uważnie.

- Jakim cudem się w to wplątałeś? - zapytał z nutą dezaprobaty w głosie.

Ray opowiedział mu o porannej wizycie w rezydencji Grayów, o tym, jak pani Gray wysłała go do muzeum i jak znalazł samochód Gillian, ale jej samej nie.

Jimmy zmierzył go podejrzliwie.

- Carleco już nie pracuje dla Grayów, a z tego, co słyszałem na posterunku, panna Gray z tobą zerwała. Więc co to za ważna sprawa, przez którą latasz za nią po całym mieście?

Ray poruszył się niespokojnie. Tak naprawdę, sam do końca nie znał

odpowiedzi na to pytanie. Jednak jakakolwiek by ona była, czegokolwiek chciał się dowiedzieć z uśmiechniętych oczu Gillian lub jednej z jej ciętych ripost, nie zamierzał mówić o tym Jimmy'emu ani Nedowi.

- Nie twoja sprawa.

- Wszystko, co ma związek z tą sprawą, to nasz interes - poprawił Jimmy.

- Nie sprawy osobiste.

- Osobiste? - Mills podniósł głowę. - Jak bardzo osobiste?

Ray poczerwieniał, nagle świadomy obecności Willa Davenporta i Grayów.

- Jeśli chcesz wiedzieć, gdzie byłem dziś rano, to powiem ci, że zaniósłem sierżantowi ciasto cytrynowe i zostałem na kawę.

- Co? - Jimmy wydawał się nieprzyjemnie zaskoczony.

- Dobrze, że kogoś zatrudniliście - powiedział Ray.

- Było mu to potrzebne.

Niechęć na twarzy Jimmy'ego zmieniła się w zadumę.

- Miło z twojej strony, że go odwiedziłeś - mruknął Mills. - Też powinienem to zrobić.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele - odparł Ray. -

Najpierw mnie poznał, ale potem znowu odpłynął.

- Dzięki - wydusił Jimmy. Ray zbył go machnięciem ręki.

- Nie ma sprawy. Joseph potwierdzi czas mojej wizyty. Prosto stamtąd pojechałem do Grayów, a

resztę znacie.

- Nie sądzę, by pan Pearce miał coś wspólnego ze zniknięciem mojej wnuczki - wtrąciła cierpko Genevra.

- Nie ma sprawy - powiedział Ray. - Muszą sprawdzić wszystkie możliwości.

- Podczas gdy oni sprawdzają możliwości, a mówiąc wprost, troszczą się o szczegóły własnej anatomii, Gillian...

Przerwały jej krzyki dobiegające z korytarza. Will wytknął głowę z gabinetu.

- Tutaj.

Dwaj projektanci wpadli do środka, zdyszani po biegu korytarzem.

- Właśnie sobie coś przypomniał - sapnął Steve, właściciel minivana. - To znaczy Dan sobie przypomniał, a wtedy ja...

- Co? - Ray wpadł mu w słowo. - Co sobie przypomniał?

- Furgonetkę - wyjaśnił Dan. - Wóz jakiejś firmy usługowej.

- Stał przy wejściu służbowym - dodał Steve. - Wydaje mi się, że tylne drzwi były otwarte.

- Kiedy przyjechałem, nie było żadnej furgonetki - zapewnił Will. Wszyscy przez chwilę przyswajali nowe wiadomości. Will przedstawił nowoprzybyłych policjantom.

Jimmy zwrócił się do niego.

- Czy ktoś miał tu dzisiaj pracować? Will pokręcił przecząco głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Wykonał kilka telefonów do swoich zastępców i kuratorów poszczególnych wystaw. - Nie, nikt na dzisiaj nie zamawiał usług zewnętrznych.

- Dobrze, zastanówmy się nad czasem. - Ray spojrzął na Steve'a. - Ty przyjechałeś pierwszy. O

której?

- Mniej więcej za dziesięć siódma.

- I furgonetka już tu była?

- Tak.

- I stała nadal, gdy ty przyjechałeś? - zwrócił się do Dana, właściciela volvo.

- Tak.

- Ale kwadrans po siódmej, gdy pan przyjechał... - zwrócił się do Willa - już jej nie było.

- Nie.

Ray, Ned i Jimmy wymienili spojrzenia.

- Co to za furgonetka? - zapytał Ned Mills.

- No właśnie w tym problem - jęknął Dan. - Nie pamiętam.

Aubrey odwrócił Gillian twarzą do prawego rogu scenografii. Tam, gdzie stał stolik. Stolik, przy którym wyda ostatnie tchnienie.

- Dobrze się bawisz? - Pochylił się nad nią, uśmiechając się szeroko.

Posłała mu lodowate spojrzenie.

- Nie za bardzo.

- Hej, nie bądź taka. To twój szczęśliwy dzień.

Spełnią się twoje najskrytsze marzenia.

Wyjął z pasa z narzędziami długi ostry nóż i dopilnował, by dokładnie mu się przyjrzała. Potem z drwiącym uśmieszkiem rzucił się na nią.

Zachichotał, gdy się wzdrygnęła.

- Nie bój się, nie skrzywdzę cię. - Powoli przeciął więzy na jej kostkach. Stał przed nią okrakiem, obserwując jej reakcję. - Sama to zrobisz. -

Starła się nie cofać z obrzydzeniem, gdy przecinał taśmę między jej kolanami, a potem na biodrach.

- Jesteś w tym dobra.

Żołądek podszedł jej do gardła. Z trudem powstrzymała wymioty. Zostały jeszcze jedne



więzy. Pod piersiami.

- Uciekniesz mi, Gillian? - Przełożył nóż do lewej ręki, a prawą wyjął rewolwer. Powoli, z namaszczaniem, przeciął ostatni kawałek taśmy. - Masz okazję - szepnął jej do ucha.

Nie był duży, nawet nie umywał się do Raya, ale bez trudu przytrzymał ją swoim ciężarem. Był tuż nad nią, wciskał nóż w jej żebra, a lufę w szyję. Czuła zapach jego podniecenia, jego erekcję, oddech. Gra, którą podjęła, teraz wydała jej się głupia. Naiwna. Przegrana.

Przerażona, zebrała resztki sił i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie boję się ciebie, Aubrey. - Za wszelką cenę starała się sprawiać wrażenie opanowanej, znudzonej, spokojnej. - Nie boję się.

Szarpnął ją, aż wstała. Wyraźnie popsuła mu humor.

- No to udawaj, do cholery. Bardziej mi się podoba, kiedy się boisz.

Jedną ręką ściągnął ją z palety. Nawet nie mrugnął, gdy upadła i mało brakowało, a wyrwałby jej ramię ze stawu. Zręcznym ruchem postawił ją na nogi i pchnął w stronę stołu. Cały czas trzymał lufę przy jej policzku. Zmusił ją, by przykleiła sobie nogi do nóg krzesła. To samo zrobił z jej tułowiem. Zostawił jej wolną tylko jedną rękę. Znalazł sweter i narzucił jej na ramiona, tak że zakrywał więzy. Była skrepowana i gotowa. Uśmiechnął się.

- Jak tam?

Nie odpowiedziała. Bo i po co?

Roześmiał się i teatralnie wyjął naboje z bębena.

Schował wszystkie do kieszeni, poza jednym.

Pocałował go i umieścił we wnętrzu rewolweru.

Obrócił bębenek.

- Ciekawe, jak ci pójdzie. - Położył broń na stoliku i podszedł do aparatu.

Gillian wpatrywała się w rewolwer. Sześć strzałów, pięć komór pu-stych. Jedna kula. Usłyszy ją czy najpierw poczuje?

Tak bardzo chciała zachować spokój. Sięgnąć po pistolet pewną ręką.. Wyobraziła sobie Raya, ale myśl o tym, co mogła mieć, nie powstrzymała drżenia. Zacisnęła don na rękojeści. Poczwała chłód metalu. Usłyszała pierwszy trzask migawki.

Ma jedną szansę. Wykorzystać ją teraz, czy spróbować zmniejszyć ryzyko?

Powoli przyciągnęła broń do siebie. W rogu pomieszczenia dostrzegła pajęczynę. W świetle reflektorów wydawało się, że na nitkach osiadł magiczny pył. Jakie to wyraźne. Jakie piękne. Spojrzała na Aubreya. Kolejny trzask migawki. Podniosła pistolet do skroni. Nacisnęła spust.

## Rozdział 55

A kolor furgonetki? - dopytywał się Jimmy.

- Albo napis - dodał Ray. - Jakieś litery. Cokolwiek.

Dan i Steve wymienili spojrzenia.

- Chyba biała - zaczął Steve.

- Był jakiś napis - dodał Dan. - Nazwa firmy.

Chyba zielony.

- Dobra. - Mills podniósł głowę. - To już coś. Teraz postarajcie się przypomnieć sobie choć jedno słowo. Kilka liter.

Dan zmarszczył brwi. Pokręcił głową.

- Może coś na H? Harold? Harvey? Ray wpadł na pewien pomysł.

- Ma pan książkę telefoniczną? - rzucił do Willa i czekał niecierpliwie, gdy tamten grzebał w biurku. Davenport podał mu spis abonentów prywatnych. Ray miał ochotę krzyknąć. - Potrzebna nam książka firm - uściślił. Dyrektor wypadł z gabinetu. Po dwóch minutach wrócił z odpowiednim spisem znalezionym w sekretariacie na końcu korytarza. Ray gorączkowo przeglądał spis firm.

Po pół godzinie żmudnych poszukiwań, z Harolda lub Harveya zrobił się Harpeth. Po kolejnym kwadransie doszli do Harpeth Valleys. Nagle Ray znieruchomiał.

- Co jest? - zdziwił się Jimmy. - Czytaj dalej. - Zniecierpliwiony, zabrał Rayowi książkę i zjechał palcem do miejsca, w którym ten się zatrzymał. - Harpeth. Mycie okien - przeczytał i spojrzał na Dana.

- Nie wiem. - Dan wzruszył ramionami. - Może tak. Przykro mi, po prostu nie pamiętam.

Ale Ray pamiętał. Noc. Centrum. I on, w pikapie.

- W dniu aukcji - zaczął powoli.

- Jasne, wróćmy i do tej klęski - mruknęła Genevra.

- Co? - zapytał Ned Mills.

- Zaparkowałem za furgonetką. - Podniósł wzrok. - Za furgonetką firmy myjącej okna.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego. Szok rozniósł się falą po całym pomieszczeniu.

Jimmy zaklął pod nosem.

- O Boże. - Genevra gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co? - Will przyglądał się im po kolei. - O co chodzi?

- On tam był - wyjaśnił Ray. - Na aukcji. Był tam cały czas. Jimmy i Mills wymienili znaczące spojrzenia. Wstali jednocześnie.

Ray wiedział, że wrócą na posterunek, pójdą do szefa, rozdadzą zadania, zadzwonią gdzie trzeba i zbiorą potrzebne informacje. Pewnie trafią w sedno, tyle że dopiero za kilka godzin.

- Pomogę wam. Mogę się przydać.

- Przykro mi, Ray. — W głosie Millsa nie było wrogości. - Ale nie pracujesz już w policji. A my musimy przestrzegać określonych procedur. - I nie czekając na Jimmy'ego, wyszedł z gabinetu.

- Posłuchaj, Ray... - Jimmy wydał usta, jakby walczył sam ze sobą. Ray oczekiwał kolejnej złośliwości, kolejnego ciosu, ale kiedy był szwagier znowu się odezwał, mówił cicho, tak że tylko Ray go słyszał: - Ktoś powinien sprawdzić tę firmę.

Ich oczy się spotkały.

- Ktoś, kto nie musi... przestrzegać określonych procedur - dokończył Ray.

Jimmy nie odpowiedział. W ślad za Millsem ruszył do drzwi.

Ray od razu pojechał do małego biura. Mieściło się obok sklepu monopolowego w jednej z biedniejszych części miasta. Kierownik - Floyd Burdette, jeśli wierzyć tabliczce na biurku - miał poplamiony krawat i włosy zaczesane na pożyczkę. Ray podał mu fikcyjną nazwę firmy i wymyśloną na poczekaniu propozycję zlecenia:

- W sobotę wieczorem widziałem wasz wóz na mieście. Pomyślałem, że warto was sprawdzić, skoro pracujecie też w weekendy.

Burdette wyglądał na zadowolonego. Dumnie bujał się na krześle.

- W sobotę? W centrum? Jasne, budynek Graya.

Duże zlecenie.

Ray poczuł przyptyw adrenaliny. Budynek Centrum Sztuk Plastycznych Graya mieścił się naprzeciwko hotelu, w którym odbywała się aukcja.

Floyd pokręcił głową, dumny z rangi zlecenia.

- Ogromny gmach. Zajmuje dwa, trzy dni.

Wysłałam tam mojego najlepszego chłopaka.

Ray zwalczył pokusę, by wyrwać mu nazwisko z gardła.

- Ja też go chcę. Szeroki uśmiech.

- Zaraz zobaczę, jak pracuje Aubrey. Ray się pochylił.

- Aubrey?

- Aubrey Banks. - Floyd patrzył na monitor komputera. - Dobry pracownik. Uprzejmy. Cichy. Świetnie pracuje.

- Tak, zawsze są cisi - mruknął Ray pod nosem.

- Słucham?

Uśmiechnął się słabo, wstał i podał Burdette'owi rękę.

- Nieważne - odparł. - Dzięki.

Wybiegł na zewnątrz, zadzwonił do biura numerów, podał dane i po niecałej minucie miał adres. Odjeżdżał z piskiem hamulców. Jechał na północ. Po drodze zadzwonił do Jimmy'ego.

- Mam nazwisko - powiedział. - Banks. Aubrey Banks. - Podał mu adres. - Spotkamy się na miejscu.

- Nie ma mowy. Wiesz dobrze, że najpierw muszę mieć nakaz.

- Super. Jedź po nakaz. Ja w tym czasie zrobię co należy.

- Ray, trzymaj się z daleka od tego domu.

Zbieranie informacji to jedno, ale szwendanie się po miejscu przestępstwa to co innego. Jak nam to schrzaniś, nigdy go nie skażą.

- Hej, Jimmy, może przymkniesz go za morderstwo. Zanim tu się zjawisz, załatwi ją dziesięć razy.
- Do diabła, Ray, nie wiemy nawet, czy to ten facet.
- Właśnie to chcę sprawdzić.
- Ray...

Ale on już się rozłączył.

Wcisnął gaz do dechy, minął kapitol i skręcił w Ósmą Aleję. Park wabił czerwienią tulipanów i żółcią bratków. Denerwował go ten radosny widok, ale potraktował go jako znak. Mógł rozpaczać albo mieć nadzieję. Dlaczego nie postawić na nadzieję? Pod adresem, który uzyskał z biura numerów, mieścił się mały domek, który wyglądał, jakby pamiętał czasy wojny secesyjnej. Ray wyskoczył z samochodu i wbiegł po przegniłych stopniach na werandę. Na drzwiach nie było żadnego napisu, ale chyba nie było takiej potrzeby. Aubrey Banks najwyraźniej nie przejmował się opinią sąsiadów. Ray zapukał i czekał. Po chwili zapukał ponownie.

- Panie Banks?

Na wszelki wypadek obiegł drewniany budynek. Ogrodzenie z drutu oddzielało zachwaszczone podwórko na tyłach domu od zarośniętych starych torów. Stare szyny prowadziły do wiekowego magazynu z powybijanymi szybami. W oddali majaczyła sylwetka budynku US Tobacco. Czyżby w magazynie składowano kiedyś papierosy? Jeśli tak, było to bardzo dawno temu.

Znalazł tylne drzwi, zakryte brązowym papierem i poszukał dziury, którą, jak się domyślał, zamaskowano. Znalazł, pchnął. Dziura była za mała, by mógł się przez nią przecisnąć, ale powiększył ją bez trudu. Wybił łokciem resztki szyby z framugi i wszedł do środka.

Był w małej, ciasnej, wilgotnej kuchni.

- Gillian!

Pobiegł w głąb domu. Panował tu większy porządek, niż przypuszczał. No, może nie do końca. Meble stały tam, gdzie powinny i nie poniewierały się tu stosy gazet ani puste puszki po zupie jak w jakiejś norze pustelnika. W środkowym pokoju na podłodze leżał sprany chodnik, na którym byle jak ustawiono fotel i zapadniętą kanapę. Dookoła stały plastikowe kubły i płyny do czyszczenia. Gąbki, szczotki, ścierki.

W wąskim korytarzu znalazł jeszcze dwa pokoje - otwartą sypialnię z rozgrzebanym łóżkiem i drugie pomieszczenie, zamknięte na klucz.

Jego żołądek fiknął salto.

- Gillian? - Szarpał za klamkę i uderzył w drzwi. - Gillian!

Zacisnął zęby. Nawet jeśli tam jest, może nie być w stanie mu odpowiedzieć. W panice natarł na drzwi barkiem. Stary zamek ustąpił z łatwością. Jeśli liczył, że zobaczy Gillian - związaną, zakneblowaną, skuloną gdzieś w kącie - gorzko się rozczarował.

Okazało się, że to kolejna sypialnia. Bardzo schludna, nawet nieskazitelna, jak pokój w skansenie. Stało tu starannie zaścielone łóżko z białą narzutą i poduszką z wyhaftowanym napisem: „Bóg cię kocha”. Obok łóżka znajdował się nocny stolik, a na nim lampa ze szklanym barankiem u podstawy. Szafa pełna była staroświeckich sukienek i butów ortopedycznych.

Ray odsunął ubrania. Szukał na tylnej ścianie nietypowych wypukłości, stukał w drewno, by się upewnić, że nie ma tam schowka. - Gillian!

Nic. Sfrustrowany, uderzył pięścią w ścianę. Był już blisko, tak blisko. Błyskawicznie odwrócił się

twarzą do pokoju.

Kim jest Aubrey Banks? Po co mu Gillian? Nie wyobrażał sobie, gdzie i kiedy ich drogi mogły się skrzyżować. Więc to przypadek? Wybrał ją ot tak? Bo jest stąd? Ale przecież są inni, bardziej znani. Ray opadł na łóżko. Coś tu jest, coś, co przeoczył. Czy to pokój matki Banksa? Nie, ubrania są zbyt staromodne. Chyba że matka urodziła go późno. To możliwe. Albo to pokój babki. Ciotki. Innej krewnej, która go wychowywała. Nie widział męskich ubrań, więc to pewnie stara panna. Albo wdowa.

Czemu zamykać drzwi? To jasne - żeby coś ukryć. Przed kim?

Przed obcymi.

Ale tu nic nie ma.

Przed kim jeszcze coś chowamy?

Pomyślał o swojej matce, o jej szafie, o schowkach we własnej głowie. Tyle rzeczy chciał ukryć - ból, klęskę, stracone szanse.

Rozejrzał się po pokoju. Może Aubrey Banks zamyka ten pokój nie przed innymi, ale przed samym sobą. Może nie chce tu zaglądać.

Dlaczego? Co tu się stało?

Poderwał się na nogi, przygotował i zdarł narzutę z łóżka.

Nie zobaczył krwawej plamy na prześcieradle.

Naprzeciwko łóżka stała toaletka, a na niej - zdjęcia w drewnianych oprawkach. Przyjrzał się pierwszemu z brzegu. Przedstawiało młodziutką kobietę w ciemnej sukni, ze starannie ułożonymi falami nad czołem, modnymi w latach czterdziestych. Wydawała się nieśmiała. Bierna. Spojrzał na sąsiednie zdjęcie.

Mrugnął.

Odwrócił wzrok i zaraz wrócił do fotografii.



I tak zastał go Jimmy i jego ludzie. Ze zdjęciem domu Holland Gray w dłoni.

## Rozdział 56

Kliknął spust.

Gillian westchnęła głośno. Nadal żyje.

Gdzieś w oddali Aubrey śmiał się jak hiena.

Słyszała trzask migawki. Jego głos docierał do niej z opóźnieniem: - No, dalej. Jeszcze raz. Jeszcze raz.

Spływała potem. Rękojeść rewolweru ślizgała się jej w dłoni. Poprawiła uchwyt, wpatrzona w opuszczony magazyn, jego ceglane ściany i zabite deskami okna. Zapomniana. Pozostawiona samej sobie. Na śmierć.

„Mamusi! Mamusi!”

Serce zabiło jej żywiej, gdy siatkowe drzwi w jej wspomnieniach zamknęły się z łoskotem.

„Mamusi!”

- Na co czekasz, Gillian?

Przeniosła wzrok na mężczyznę za obiektywem.

Cztery szanse. Jeszcze cztery razy podejmie decyzję, kto przeżyje, a kto nie.

- Na nic - odparła i była to najprawdziwsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziała. Bo wszystko, na co w życiu czekała, działo się tu i teraz.

Przyłożyła lufę do skroni. Choć bardzo pragnęła to zrobić, nie zamknęła oczu.

Po raz ostatni nabrała tchu. Nacisnęła spust.

- Jesteś pewien? - zapytał Jimmy.  
- Na rany boskie, byłem tam kilka dni temu. -  
Jimmy nie wydawał się przekonany. - Wyciągnij  
zdjęcia z akt sprawy. To dom Holland Gray. - Ray  
odłożył fotografię. - Tylko że...  
- Tylko że co?  
- Coś jest nie tak.  
Cofnął się, by obejrzeć zdjęcie z odległości. Jimmy  
wyrzwał na korytarz.  
- Znaleźliście coś?  
- Karaluchy - zawołał mundurowy. - Całe stado w  
kuchni.  
Jimmy wyszedł na chwilę, żeby zobaczyć, co robią.  
Ostatnia wymiana zdań błąkała się Rayowi po  
głowie.  
- Mam - mruknął. Ze zdjęciem w ręku pobiegł za  
Jimmym. - Mam! - Zatrzymał się w kuchni i wcisnął  
mu fotografię. - Spójrz na płot.  
Jimmy przyjrzał się zdjęciu i podniósł na niego  
wzrok.  
- No i?  
- Ogrodzenie jest drewniane, tak?  
- Aha.  
- Teraz jest tam metalowa siatka. I popatrz. -  
Wskazał zachodnie skrzydło domu. - Nie ma  
komina. A dzisiaj jest. Z kamienia.  
Patrzyli na siebie przez chwilę.  
- Chcesz powiedzieć, że to dom sprzed lat? -  
Jimmy stuknął palcem fotografię. - Że tak  
wyglądał...  
- Gdy mieszkała w nim Holland Gray - dokończył  
Ray. - On ją zna. Cholera, on ją zna.

Klik.

Gillian krzyknęła cicho. Serce waliło jej tak mocno,

że była pewna, iż będzie to widoczne na zdjęciach. A jednak znowu przeżyła. Dzięki Bogu nadal żyje. Żyje. Dlaczego? To pytanie gorączkowo tłukło jej się po głowie. Nigdy nie uważała, że ma szczęście. Była przeklęta, skazana, skażona. Zawsze myślała o sobie jak o zabawce w rękach losu. Więc dlaczego los nie spełnia obietnicy?

Aubrey zmarszczył brwi. Wyszedł zza aparatu. Nawet z oddali widziała jego złość. Szedł w jej stronę, wyraźnie niezadowolony z rozwoju sytuacji.

Zwilżyła usta. Jeszcze trzy szanse. Wóz czy przewóz?

Jimmy zadzwonił do Millsa.

- Mamy związek - rzucił do słuchawki. - Znajdź wszystko, co się da. Facet nazywa się Aubrey Banks. Urodzony drugiego sierpnia 1969 roku. Adres... - Podał go szybko.

- Rozejrzę się na zewnątrz - powiedział Ray.

- Truitt - Jimmy zawołał jednego policjantów. - Idź z nim. Znaleźli piwniczkę, niemal całkowicie zagrzebaną w ziemi. Truitt uniósł ciężką klapę i zaczął schodzić w ciemność. Był już do pasa pod ziemią, gdy Ray usłyszał coś w oddali.

- Słyszałeś? - zapytał Ray.

- Słyszałem - odparł Truitt. - Może to sztuczne ognie.

- Albo rura wydechowa.

- Możliwe. - Policjant wskazał głową stary magazyn. - Dźwięk dobiegał stamtąd, ale nie widzę żadnego samochodu.

- Sprawdzę to.

Ray odbiegł, a Truitt włączył krótkofalówkę na ramieniu.

- Chyba coś mamy.

Ogrodzenie sięgało mu do kolan i Ray przeskoczył je bez wysiłku. Nasłuchiwał, czy dźwięk się powtórzy, ale słyszał tylko chrzęst żwiru pod nogami.

Czy to był strzał?

A może wyobraźnia płata mu figle?

Schylony, przebiegł zarośnięte tory i wyjął broń.

Przywarł plecami do ceglanej ściany. Po lewej stronie miał szerokie drzwi, zardzewiałe, zamknięte na kłódkę. Podeszedł do nich.

Po drugiej stronie podwórza Truitt konferował z Jimmym. Truitt wskazał kierunek i obaj spojrzeli w jego stronę.

Ray dopadł drzwi. Jimmy puścił się biegiem. Ktoś rozwalił zamek. Jedno skrzydło drzwi było lekko uchylone. Serce Raya zaczęło walić jak szalone. Przysunął się bliżej. Słuchał. Odpowiedziała mu tylko cisza. Jimmy był już przy nim.

- Masz coś? - szepnął. Ray pokręcił głową.

- Wchodzę. Jimmy skinął.

- Idę za tobą.

Ray wpadł do środka z bronią wycelowaną przed siebie. Skręcił w lewo, a Jimmy w prawo.

W głębi magazynu zobaczyli coś niesamowitego. Zwykłą kuchnię z jasno oświetlonym kątem. Ciało na stole. I drugie, na podłodze.

Przerażenie chwyciło Raya za gardło.

Wiedział, co to jest.

Ostatnie zdjęcie śmierci autorstwa Gillian Gray.

Ruszył do niej na słomianych nogach, ale ktoś go zatrzymał.

- Nie - szepnął Jimmy. - Ja pójdę. - Ray zobaczył współczucie w jego oczach. Były partner nie powstrzymywał go ze względu na procedury, tylko z litości. Żeby mu tego oszczędzić.

Ale Ray wcale tego nie chciał. Delikatnie odepchnął

jego rękę i szedł dalej.  
I wtedy stał się cud. Gillian się poruszyła.  
Powoli podniosła głowę. Widział jej twarz. Szarą.  
Spiętą. Oblepioną włosami.  
- Farmerze - wychrypiła ze znajomą kpina. -  
Wiedziałam, że przyjdiesz. W końcu.

## Rozdział 57

Patrzyła, jak Ray się zbliża. Jak pokonuje dzielącą ich odległość w trzech długich susach. Tarcza jego ciała zasłoniła jej cały świat.

- Nic ci nie jest? - Scyzorykiem przeciął jej więzy na piersi i rękach.

Krzyki zlewały się w jedno. Raz je słyszała, a raz nie. Świat nie istniał poza mężczyzną u jej stop. Przecinał taśmę, którą sama skrępowwała sobie kostki. Patrzył na nią i w jego wzroku widziała, że może na nim polegać.

Pochyliła się i obrysowała palcami zarys jego ust. Miękkie wargi, twardy podbródek. Oczy zasły mu łzami. Jej również, co przyznawała ze wstydem. Nie wiedziała, jakim cudem znalazła się na ziemi, w jego ramionach. Bezpieczna. Żywa.

Jednak jedyne, o czym mogła w tej chwili myśleć, to prośba o przysługę.

Gdy powiedziała mu, o co chodzi, znieruchomiał, a jej przemknęło przez głowę, ile razy w ciągu najbliższych lat będzie go prosiła o rzeczy, na które nie będzie miał ochoty. I ile razy je dla mej

zrobi.

Ujął jej twarz w wielkie dłonie.

- Jimmy! - zawołał, ciągle w nią wpatrzony, ciągle czujny.

- Bębenek jest pusty. - Burke podszedł z pistoletem w wyciągniętej dłoni. Komora była pusta. - Co tu się działo?

Ray pomógł jej wstać i odciągnął Jimmy'ego na bok. Nie wiedziała, co mu opowiada, ale zajął go na tyle długo, że zdążyła wyjąć z aparatu kartę pamięci.

Nastąpiły dwa dni. Oświadczeń, przesłuchań, wyjaśnień. Aubrey Banks mył okna bezpośrednio w miejscu zamieszkania lub pracy ofiar albo w pobliżu. W piwnicy znaleziono kolekcję artykułów o Gillian, powiększenia jej zdjęć, wycinki prasowe o morderstwach i gumkę do włosów Dawn Farrell. Na podwórku znaleziono dwa groby - babki i ojca Aubreya. Oboje zatłuczono na śmierć przed dziesięciu laty.

W małym puzderku w alkowie odkryto ślubną obrączkę i naszyjnik niejakiej Sary Beth Henderson i informację prasową o jej zaginięciu przed pięciu laty.

Gillian zachowała dla siebie zdjęcia, które zrobił jej Aubrey. Burke domyślał się, co zrobiła, ale policja nie potrzebowała ich do zamknięcia sprawy, a sama Gillian nigdy nie potwierdziła ich istnienia. Teraz, tydzień później, była gotowa do drogi.

Czekała, aż Ray odwiezie ją na lotnisko.

Wyobrażała sobie ich pożegnanie. Nie mogła się skupić.

Ma jeszcze tylko jedno do zrobienia. Poszła do łazienki i wyjęła kafel znad lustra. Już wcześniej musiała wyjąć nożyczki, żeby zmieściła się karta pamięci z aparatu Aubreya. Wyjęła ją,

pozostawiając pusty schowek.

Zacisnęła kartę w dłoni. Taka malutka, niewiele większa od gumy do żucia. A jednocześnie tak wielka. Tak ważna.

Z rozmysłem, powoli, otworzyła dłoń. Patrzyła, jak karta wpada do ustępu.

Nadal nie wiedziała, kto zamordował jej matkę. I może nigdy się tego nie dowie.

Ale stanęła twarzą w twarz z potworem i wyszła z tego cało. Nie potrzebuje zdjęć, by to sobie udowodnić.

## Rozdział 58

Rav stał w progu szpitalnego pokoju, obserwując umierającego mężczyznę na łóżku. Odnalezienie Jeny'ego Sklara nie było trudne. Facet zadekował się w obskurnym mieszkaniu nad rzeką. Któregoś dnia stracił przytomność i trafił do szpitala miejskiego, gdzie lądowali ci, których nie stać było na ubezpieczenie.

Ray rozumiał, dlaczego Sklar potrzebował pieniędzy, jednak biorąc pod uwagę jego obecny stan, nie na wiele mu się one zdały.

Odszedł, zostawiając za plecami pokój i jego tajemnicę.

Pół godziny później pokojówka Grayów wprowadziła go do ogrodu zimowego. Pełne słońca, przytulne pomieszczenie o morelowych

ścianach stanowiło ostry kontrast z posępną szpitalną kłitką.

Grayowie powitali go z rezerwą, ale bez dawnej wrogości. Wyczuwał ich zdenerwowanie i chciał je jak najszybciej złagodzić.

- Znalazłem go - oznajmił.

Genevra złapała się oparcia kanapy i usiadła ciężko.

- Umiera - ciągnął Ray. - Rak wątroby.

Może to okropne, ale na twarzy Genevry zagościła ulga. Sięgnęła po dłoń męża i przez chwilę trzymali się za ręce jak przerażone dzieci.

- Pewnie dlatego chciał wyciągnąć od państwa więcej pieniędzy.

Nie jest ubezpieczony.

Nie zaproponowali mu, by usiadł. Chip także stał, wielki i imponujący, nad drobną sylwetką żony.

Ray podał mu skrawek papieru z numerem pokoju.

- Leży w szpitalu miejskim. Możecie się z nim państwo zobaczyć. Albo nie. Jak chcecie.

Ale pytanie, które wisiało w powietrzu, nie dotyczyło odwiedzin u chorych. Ray patrzył na starszych państwa. Krewnych Gillian. Jej rodzinę.

- Ona ma prawo wiedzieć - powiedział miękko.

- Wie dosyć - uciął Chip.

Ray się zamyślił. Dziadkowie tak długo i usilnie starali się ją chronić. Osłaniać przed wszystkim, co mogłoby ją zranić. Tak jak on.

A zarazem ile szkód wyrządzili! Blizny na ramieniu wnuczki były wysoką ceną za ich milczenie.

Co bolało bardziej?

Zanim zdecydował, do pokoju wbiegła Gillian.

- Spiskujecie? - zapytała i atmosfera wyraźnie zgęstniała.

Genevra zeszywniała, Chip znieruchomiał. Ray otworzył usta, ale nic nie powiedział. Trwali nieruchomo, okazy pod lupą



badacza. Gillian przyjrzała się im uważnie. - O co chodzi?

Uśmiechała się szelmowsko, psotnie, ale i z odwagą. Może wygląda jak porcelanowa laleczka, ale zawsze staje pod wiatr. A jeśli wichura ją przewróci, zawsze się podnosi.

Spojrzał na starszych państwa i zdecydował. Genewa od razu wiedziała, co zamierza. Jej twarz wykrzywił spazm bólu, ale szybko się opanowała. To oni muszą to powiedzieć i ona o tym wiedziała. Wstała. Wyprostowała się, przygotowując na rychły cios.

- Gillian, musimy ci coś powiedzieć. - Głos jej się załamał. Spojrzała na Chipa.

- O twoim ojcu - dodał ponuro dziadek.

- O moim ojcu? - Gillian wodziła wzrokiem od dziadków do Raya i z powrotem. Coś wisi w powietrzu. Coś wielkiego, przytłaczającego. - Rozmawialiście o moim ojcu?

Genevra z trudem zaczerpnęła tchu.

- On jest...

- Martwy - dokończyła Gillian. Chip interweniował.

- Nie Gillian, on...

- Nie żyje.

- Pozwól im powiedzieć - poprosił Ray.

- Nie muszą - odparła.

- A właśnie, że tak.

- Nie. - Pokręciła głową. - Podeszła do babki i ukryła jej dłonie w swoich. - Nie muszą.

Na krótką chwilę ulegli zrozumieniu i współczuciu. Czyżby Gillian знаła prawdę? Ale może nie ma ona dla niej znaczenia?

- On nie żyje - powiedziała cicho. - I niech tak zostanie.

Rayowi nie pozostało już nic innego do roboty, jak zanieść jej torbę do samochodu i pożegnać się z

Grayami. Podał rękę Chipowi, skinął głową Genevrze i czekał, aż Gillian ich uściska. Jazda na lotnisko trwała piętnaście minut. Niewiele rozmawiali. Zatrzymał się przy hali odlotów. Wyjął jej torbę z bagażnika i postawił na krawężniku. Gillian rysowała coś butem na ziemi. Nagle podniosła głowę.

- Słuchaj, mogłabym teraz wygłosić długą mowę o tym, jaka ci jestem wdzięczna i w ogóle.

- Mogłabyś.

- Ale... - Sięgnęła do torebki i wyjęła złożony arkusik. Przez moment się nim bawiła, jakby nie wiedziała, co zrobić. Nagle się zdecydowała.

Wcisnęła mu kartkę w dłoń. - Wolałabym to zrobić gdzie indziej.

Rozłożył arkusik. Bilet lotniczy. Na jego nazwisko. Do Nowego Jorku.

- O ile masz czas - dodała.

Spojrzał na nią i usłyszał wszystko, czego sobie nie powiedzieli.

- Facet musi pracować, mała. W zadumie pokiwała głową.

- Dla takiego dzielnego młodzieńca zawsze znajdzie się robota. O ile mi wiadomo, w Nowym Jorku też jest departament policji.

Stłumił uśmiech. Sięgnął do kieszeni i wyjął identyczny arkusik. Podał go jej.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Podniosła torbę i weszła do budynku.

- Kto zwraca bilet? - zawołał za nią. Zbyła go machnięciem ręki i poszła dalej.

Wrócił do wozu. Odjechał/Ma mnóstwo pakowania.

Musi zadzwonić do tylu osób. Złożyć wymówienie.

Nareszcie wyjeżdża.